NRLF-1
MAIN

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/gospodapodmodrym0000marj

III. J. 14. 43

MARJA BOGUSŁAWSKA.

GOSPODA POD MODRYM FARTUSZKIEM.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z DZIEJÓW POMORZA XVII W.

1922.

„Księgarnia Polska" Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej
WARSZAWA, Warecka 15.

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

I.

Pielgrzym z Pelplina.

Wczesna noc grudniowa zstępowała w r. 1655 na toruński gród, spowity w gęste opary, ciągnące się od Mokrego, z rozległych błót i topieli, rozgrzanych kilku ciepłemi dniami poprzedniego miesiąca. Skryła opary, nadała im ciemną barwę swego płaszcza, lecz nie sprowadziła ciszy, jaka zwykła była zalegać miasta w dawniejszych wiekach po zapadnięciu zmroku. Przeciwnie od Górska, Rosgartu, Przysiek i Wrzosów dochodził jakiś dziwny huk, jakby zbałwanionego morza, jakby odległej wichury w potężnym borze, co to niesie i szumy koron drzew i trzask konarów i huk walących się olbrzymów leśnych.

I zmrok, jaki jesień spuściła na ziemię nie był zupełny; od Ryńska przez całą szerokość horyzontu złociła się potężna łuna, powietrze raz po raz rozdzierał lecący z sykiem meteor armatniej rakiety.

Oblężenie.

Już dziesięć tygodni mijało od chwili, jak Szwedzi otoczyli półkolem miasto, u-

sypali szańczyki, rozstawili armaty, rozmieścili rajtarję i tłumy ciurów obozowych, szturmując Toruń dniem i nocą. Silna baterja, ustawiona wprost miasta za Wisłą, czyniła niezmierne szkody w murach i basztach.

A gród, posiadający słabe okopy, nieliczną załogę, liche armaty, bronił się ciągle krzepiąc się wspomnieniem r. 1629, kiedy to, nielepiej pod względem wojennym przygotowany, odparł zaciekłe szturmy generała Wrangla, że aż dzień 16-ty lutego, w którym ten zaniechał oblężenia, świętem narodowem czciło miasto.

Ale pod koniec listopada jakiś zły wiatr powiał nad Toruniem; znużenie, niepokój i zniechęcenie coraz liczniejszych ogarniały mieszkańców. Niemiecka część mieszczaństwa z każdym dniem więcej podnosiła głowę, coraz otwarciej okazywała nienawiść Polakom, siejąc w serca prostaczków nieufność i wstręt do garści wojska kwarcianego i komputu okolicznej szlachty, która ściągnęła tu z rodzinami, spokojniejsza o nie za grubemi murami grodu. Protestanci, przyczajeni od czasu, gdy na tronie polskim zasiadł Zygmunt III, posuwający swe katolickie uczucia aż do fanatyzmu, teraz już jawnie i głośno przedstawiali swym współwyznawcom, że Szwedzi są też protestantami i że pod ich rządami polski katolicyzm będzie musiał ustąpić z przodującego miejsca.

Szwedzi musieli być informowani o stanie ducha załogi, musieli wiedzieć jak skutecznemi były zabiegi ich sprzymierzeńców, bo szturmy stawały się coraz słabszemi. Nieledwie jakby dla zamanifestowania tylko dawano kilka razy w dzień i kilkanaście w nocy strzałów armatnich; nie chcąc widocznie nazbyt psuć amunicji, wobec pewności, że miasto i tak się podda.

W dniu jednak, w którym rozpoczyna się nasze opowiadanie — trzecim grudnia — szturm wzmógł się znacznie; o zmroku od jednego ze strzałów armatnich zajął się stary spichrz drewniany, około Krzywej Wieży; ledwie ugaszono pożar, pocisk padając przed kościołem Panny Marji zabił czterech ludzi, wśród wychodzących gromadką z nieszpornego nabożeństwa. Wszystko to zdenerwowało ogół mieszkańców, który jakby w przeczuciu czegoś niedobrego uchodził do domów, zaryglowywał drzwi, gasił światła i zasłaniał okna, kupiąc się przy kominach i w alkowach sypialni.

Na jednym z takich milczących i otoczonych wąskiemi, o pozamykanych oknach kamienicami, placu, przy kościele św. Jakóba, duża lampa zawieszona na misternie wyrzeźbionej sztabie, rzucała snop światła na śnieżny kobierzec i ścianę wąskiej kamieniczki o gotyckim szczycie frontu, uwypuklając malowane godło: błękitny fartuszek.

Przed oberżą stał jakiś wasąg napełniony łubami i dwa piękne konie, osiodłane,

pod strażą pachołka, ubranego w krótką węgierską bekieszę, zielonego koloru, szamerowaną czerwonemi sznurami.

W obszernej izbie gościnnej ciepło było, duszno i gwarno, z powodu kilkunastu osób, dzielących się na trzy grupy: jedna z nich skupiła się przy kominie; druga obsiadła stół; trzecia zajęła ławę z poręczami stojącą pomiędzy oknami.

Gospoda od czasu założenia, to jest od dwustu lat, pozostawała w rękach rodziny Szalitów, cieszącej się ogólną życzliwością z pokolenia na pokolenie. Tradycja z ojca na syna podawała opowieści o królach: Kazimierzu Jagiellończyku, Janie Olbrachcie, a nawet o Władysławie Jagielle, którzy mieli progi gospody pod „Modrym Fartuszkiem zaszczycić. A jeśli ktoś, sceptyczniej usposobiony, podawał w wątpliwość te wersje, wskazując na bliskość zamku i Junkerhofu, które sposobniejsze były na gościnę dla królów, uważany był za śmiertelnego wroga przez każdego, prawego Szalitę.

Gdy wojska króla Karola Gustawa postąpiły pod Toruń, w gospodzie pod Modrym Fartuszkiem rządzili skrzętnie: Franciszek Szalita, młody dwudziestokilkoletni człowiek i poślubiona przez niego przed trzema laty Krystyna z Wendorfów, córka rzeźnika, która mężowi swemu wniosła obok zdrowia, młodości i urody, wcale piękne wiano.

Franciszek Szalita w swej ambicji poszedł dalej, niż przodkowie jego; oto na kominie izby gospodniej stała staroświecka szkatułka z grubych tafli szklanych, oprawnych w żelazo ażurowane i ozdobione imitacjami kamieni. W szkatułce tej znajdowało się kilka przedmiotów, które Szalita nazywał pamątkami po królach i od czasu do czasu jakimś nowym, a godnym gościom zawartość jej pokazywał i objaśniał.

I w tej chwili trzymał ją na lewej ręce, prawą wyjmując przedmioty, które z łubością i namaszczeniem podawał stojącemu przed nim towarzyszowi pancernemu.

— Ejże, mości gospodarzu — mówił towarzysz, biorąc z ręki Szality, krótki zardzewiały nożyk o szerokiem ostrzu, w kształcie minjaturowego łasaka, — żeby to miała być brzytwa Władysława Jagiełły wcale mi się nie widzi.

— Wolno waszmości nie wierzyć, ja mówię to co wiem od mego ojca, który otrzymał tę relikwję od swego dziada, w spuściźnie po pradziadku, na którego miłościwy król był bardzo łaskaw.

— Nie zawracałbyś głowy Szalita — odezwał się od stołu Emil Szwem, rajca miejski — gdzie zaś by się majestat po byle karczmach szargał.

Szalita sponsowiał.

— Pewno, że w karczmach majestatu w żadnej porze nie spotkać, ale tu jest gospoda i najstarsza w naszem mieście.

— Racja, racja, mości gospodarzu, —

z uśmiechem rzekł towarzysz pancerny, — a pokaż nam jeszcze inne pamiątki.

Szalita z niesmakiem zamknął skrzyneczkę.

— Na kpiny tych pamiątek nie podam.

— Musisz pokazać jeszcze ten guzik od hajdawerów Jana Olbrachta, — wołał z pod okna syn mistrza rzeźnickiego Gustaw Ulmach — gdzie to twój dziad go znalazł?.. bo nie w izbie!

Szawiła zaciął usta, zamknął skrzyneczkę na kluczyk i nie mówiąc słowa postawił na kominku.

— A nie omieszkaj Franeczku — śmiał się dalej Ulmach — pójść za majestatem tam, kędy się łacno guziki gubi, jak tu miłościwie nam panujący Jan Kazimierz zjedzie.

— Raczej Karol Gustaw! — krzyknął Szwem.

— Niedoczekanie jego, pludra bezbożnego! — zawołało kilku mieszczan.

— Co to gadać! Jan Kazimierz sam z kraju ubieżał, na dalekim Śląsku pacierze odmawia, kraj cały w krwie pogrążywszy, a Karolus Gustawus ku nam przyciągnął...

— I oną krew wytacza, — dokończył Szalita.

— Prawdęś rzekł, prawdęś rzekł, krzyknęło kilku.

— Musi wytaczać krew, jak mu nasi sztorcem się stawiają, żołnierzy rzezą, do miast nie puszczają!

— Jakże mają ich puszczać, panie rajco Szwemie, skoro Szwed ledwo na ziemie

nasze ze swych okrętów postąpił, wnet krew niewinnych mieszkańców strumieniem płynąć poczęła, a wsie i miasta w kupy gruzów zamieniać.

Szwem podniósł swą szeroką twarz z nad kufla piwa na mówiącego te słowa szlachcica lat średnich; ruszył ramionami, lecz nie przerywał mu, tylko oczy utkwione miał i przybierał coraz bardziej szyderski wyraz twarzy ,w miarę jak szlachcic rozrzewniał się własnemi słowami.

— Mam posiadłość niedaleko morza, wkoło lud kaszubski; pracowity, cichy, zasobny, bo oszczędnością i pracą wzbogacony. Przyszły te zamorskie djabły, niedość że wywlekli ostatni kęs słoniny z komory, ostatni miech zboża z gumna, ale mieszkańców pobili, domostwa ich z dymem puścili.

— Znam ja, znam ich gospodarkę — odezwał się mieszczanin o marsowej twarzy, skutkiem sinej, snać niedawno zabliźnionej rany na policzku i brakującego kawałka górnej wargi. Nie widziałem to, jak Grudziądz rabowali i palili!

— I Chojnice i Chełmno i Wąbrzeźno, wołali inni.

— Psy niewierne! — huknął Szalita, pięścią w stół uderzając.

Szwem zadzwonił palcami w tabakierkę.

— Proszę o głos! — zawołał.

— Uciszcie się! — krzyknął ludwisarz Weigel, który od szeregu lat dom od Szwema na mieszkanie i fabryczkę dzierżawił,

wielmożny pan rajca, Emil Szwem coś powiedzieć raczy.

— Ho, ho, widzicie go! — zaśmiał się jeden ze szlachty — pan rajca już herolda sobie sprokurował.

— A niedawno z bębnem po ulicach chodził, a oznajmiał komu świnia zaginęła, albo który mieszkaniec....

Szwem potężnem uderzeniem tabakierką w stół i pokazaniem zębów z wściekłością, zmusił na chwilę żartownisia do milczenia.

— Takiego monarchę, jak Karolus Gustawus każda wieś, miasto każde chlebem i solą witać powinny — zawołał rajca.

— Karolus Gustawus do wszystkich wsi wejść nie mógł, a generałowie jego.....

— I generałowie zacnie witani być winni, oni w kraj on ciemny, wniosą światło nauki i dobrobyt, jakim Szwecja się cieszy! —

— Jak Szwed w kraju tym zapanuje, zobaczycie jakie porządki a ład zaprowadzi! — odezwał się Skalski, kapelusznik.

— Widzimy! widzimy one porządki!... Ruiny i zgliszcza!

— Tak jest, póki wojna, ale czasu pokoju!...

— Czasu pokoju my na nich patrzeć nie będziemy, bo ich do tej pory precz wyżeniemy!

— Na karkach ich wjedziemy do Szwecji!

Szwem, opierając się na obu rękach, nie bez trudu podniósł się w krześle.

— Chyba wam zamknę gęby, gdy powiem, że dzisiejszego wieczoru Rada miejska postanowiła Toruń poddać.

Szalita rzucił się ku niemu, jakby chciał za gardło go pochwycić!

— Zdrada! — krzyknął — zdrada!

— Zdrada!... — powtórzyło za nim kilku.

— Zdrada! i hańba! — krzyczano.

Zrobił się tumult; ten i ów do szabli sięgał; ten i ów stawał w groźnej postawie, jakby gotowy rzucić się na przeciwnika.

Wtem gwałtowne otwarcie drzwi i fala mroźnego powietrza, która wdarła się od progu, zwróciła wszystkich uwagę w tę stronę. Do izby wszedł człowiek niedużego wzrostu, w szaraczkowej opończy i kapturze na głowie, tak nasuniętym na twarz, że ledwo ciemna, długa broda i orli nos były widoczne.

Nowoprzybyły pozdrowił Chrystusa i posunął się w stronę komina, lecz spostrzegłszy, że wszystkie otaczające go stołki są zajęte, cofnął się na środek izby.

Szalita postąpił ku niemu.

— Należy wam się rozgrzewka przy kominie, — powiedział. Siądźcież na ziemi, ciepło tam łatwiej was obejmie, a wielmożni nie obrażą się za ową konfidencję.

— Bóg zapłać — szepnął podróżny — nie powstydzę się onej zgrzebnej opończy o aksamity i złotogłowy otrzeć, bo legiwała ona na posadzkach miejsc świętych, ocierała się o szaty najzbożniejszych ryce-

rzy, senatorów i paniąt, gdy społem z pospólstwem do Stołu Pańskiego klękali..... Z Częstochowy z Jasnej Góry idę.

Pomiędzy zebranymi rozszedł się szmer zachwytu, podziwu i niedowierzania.

— Możesz to być?... Toć Szwedzi kołem święte miejsce otoczyli!

— Lichy robak, jak ja, byle szparą się przeciśnie!

— Już tu dość takich bywało, co się przychodzącymi ze świętych miejsc opowiadali zawołał Ulmach a w rzeczy oszustami się pokazali.

— Cichoj, — szepnął mu w ucho Szwajgel, — takie pokorne pielgrzymy snadno szablę, albo sztylet pod habitem mieć mogą.

— Dałbym ja radę takiemu wynędzniałemu włóczędze.

— W izbie są towarzysze i mieszczanie, katoliki zagorzałe: Wendorfowie, Kalicki. Zych, co najsilniejszego byka zmoże, wnet ujmą się za tym przybłędą, za to że się różańcami objuczył i mogą poszczerbić nie tylko ciebie, ale nas wszystkich, prawych protestantów.

Ale pielgrzym nie wziął snać do serca zaczepki rzeźnika, a i ogół zebrany w gospodzie nie zwrócił na nią uwagi, zajęty nowoprzybyłym, który usadowiwszy się przed kominem, odpiął skórzaną torbę i począł wydobywać z niej owinięte w kolorowe szmatki, medaliki wiązane mendlami, srebrne i cynowe i na blasze miniaturową robotą malowane; dalej krzyżyki z drzewa

hebanowego, i cyprysowego, figurki Matki Bożej z farfuru i z metalu, różańce misternie w drzewie rzeźbione i z paciorek nizane, wreszcie trzy minjaturowe ołtarzyki zamykane, jeden z hebanu, a dwa z kości słoniowej rzeźbione, wizerunkami Najświętszej Panny Częstochowskiej zdobione.

Rozległy się okrzyki zachwytu.

— Sprzedajcie mi, panie bracie, choć jeden medalik!... Mnie się ten ołtarzyk hebanowy widzi!... Co chcecie za ten różaniec z korali?

Pielgrzym miłosnem spojrzeniem leżące przed nim na niskiej ławeczce przedmioty obejmował.

— Bezcenne to, bezcenne rzeczy!...

— Zaś nie wszystkie siła pieniędzy kosztować muszą, zapołał Pietrek Wendorff, brat Szalitowej.

Ja i na cynowym medaliku poprzestanę.

Pielgrzym podniósł na mówiącego poważne, mądre oczy.

— Cenność onych skarbów nie w srebrze, ani w drzewie, ani w kości słoniowej!... Ale w tem, z jak świętego miejsca pochodzą!

— Jasna Góra po wsze wieki cudami słynęła — zawołał Morwa, towarzysz pancerny.

—A w tym roku nieszczęść i wojny cudowność Najświętszej Panny i jej szczególne narodu naszego umiłowanie tak jak nigdy dotychczas się sprezentowały. Szwed nieprzeliczonem mrowiem obległ Jasną

Górę, dokoła olbrzymie działa ustawił, żygające kamiennemi kulami, które dwóch ludzi z ledwością dźwiga, ale kule one cudowną mocą od murów klasztoru odskakują. Szwed ciska smolne belki płonące, aby pożar wzniecić na folwarku, spichrze zniszczyć, żywności pozbawić załogę, a belki one na słomianych dachach gasną. Wrogowie sami widzieli jako Najświętsza Panna płaszczem swym kościół osłaniała, a kule w on płaszcz uderzywszy, gwiazdami rozsypywały się w powietrzu!

— Ot bajendy waść gadasz!... — krzyknął Szwem — a waszmościowie jak dzieci....

— Zamknij gębę! — wrzasnął Morwa, rzuciwszy mu groźne spojrzenie — a jeśliś bajend nie ciekawy, to wolna do drzwi droga.

Szwem zamilkł, tylko wstał od stołu i zasiadł obok Ulmacha na bocznej ławie, opróżnionej przez mieszczan, którzy skupili się około pielgrzyma. Z drugiej strony zabrał miejsce Wejgel i tak we trzech komentowali słowa pielgrzyma półgłosem, złośliwemi przymówkami.

Nikt na nich nie zwracał uwagi.

— Siądźcie cny panie na stole — proponował Szalita — a ławeczkę ze świętościami postawimy przy tobie i opowiadaj nam jako się tam dzieje, żebyśmy wszyscy dusze nasze ucieszyli, a do oporu wrogowi chęci nabrali.

— Hej na rękach zanieśmy pielgrzyma!

Rzuciło się kilku ku niemu i mimo protestów schwyciło na ramiona i zanim posadziło na stole, obniosło wkoło izby.

— Przypatrzcie się waszmościowie! Oto ten, co na cuda Najświętszej Panny Jasnogórskiej spoglądał! — wołał Śmiechowski, szlachcic ze Sławoczyna.

— Niech żyje!... niech żyje!...

— Cześć szlachetnemu pielgrzymowi, co przedarł się przez szable i miecze, by otuchę w nasze mdlejące serca wlać!

— Najświętszej Pannie Jasnogórskiej cześć!

— Cześć Rzeczypospolitej! cześć!

— Niech żyje Polska!

— Niech żyje i panuje król nasz Jan Kazimierz!...

— Aż do dnia jutrzejszego! — huknął Szwem i porwał się do wyjścia.

Za nimi ruszyli Ulmach i Wajgiel.

— Hej kto śmie naszego prawego króla detronizować! — krzyknął Morwa.

To one pludry!... Trójka sprzedajna, co chyłkiem uchodzi z gospody!

— Zdrajcy!... Heretycy, niemiło im o potędze Najświętszej Matki Chrystusowej słuchać.

— Zastąpić im drogę! nie puszczać!...

— Stać łotry!...

— Odszczekajcie coście gadali!

— Rajca Szwem jeno na majestat szczekał, a poddanie się Szwedowi przepowiadał. Ulmach i Wajgiel milczeli!

Na szable go! warchoła, zdrajcę!...

— Nie godzien szabli szlacheckiej ten mieszczuch świeżo z popychadła magistrackiego na rajcę wykierowany, kijami go zatłuc!

Szwem widząc skierowane ku sobie groźne twarze i liczne pięści, plecami oparł się o ścianę i śmiertelnie pobladłą twarz ku nim obrócił.

— Majestatum nie obraził!... Rzeczypospolitej najjaśniejszej złego końca nie życzyłem, a jeśli w odezwaniach moich jakową ubligę widzicie, każcie mnie zamknąć i sąd nademną złóżcie, jak w wolnym kraju przystoi.

— Do karceru z nim! na ratusz!

— Niech odstoi jutro pod pręgierzem, niech wiedzą ludzie, że i rajcowska godność nie osłoni nikogo od kary za ubliżenie ojczyźnie i majestatowi!

— Kto poprowadzi tych trzech na ratusz?

— Upamiętajcie się wiatrogłowy — zawołał Bartłomiej Wendorf, teść Szality, najbogatszy człowiek w cechu rzeźników. — Cóż z tego, że ich w ratuszu osadzicie i pod sąd oddacie. Kto pilnuje więźniów w ratuszu?... jakich mamy sędziów, jurystów?... Wszędy Niemcy, heretycy!... Potępiż który onych przestępców za to, że Najświętszej Pannie, a polskiemu królowi urągali?... Uwolnią ich, jeszcze nowemi godnościami obsypią!

— Nie paktować! nie paktować! a rozsiekać!... Na szablach roznieść!

Nagle małe drzwi boczne rozwarły się z trzaskiem i do izby wpadła Krystka Szalitowa. W jednym mgnieniu oka znalazła się na stole, obok pielgrzyma. Miała na sobie suknię z różowego tyftyku, krótką, odkrywającą zgrabne i małe nogi w ciżemkach srebrnolitych, nieco podniszczonych. Na rozwianych włosach czepeczek koronkowy, kwieciste wstęgami przybrany. Twarzyczka jej ładna, o dziecięcej okrągłości policzków i zarysie nieco grubych i krótkich ust, miała w tej chwili wyraz gniewny i zadąsany.

— Cichojcie! — krzyknęła, tupnąwszy nogą. Cichojcie na Boga! Przystoi — li tak zacnej kompanji takowy rwetes czynić, jakby się tu ciury obozowe, tatary, albo i bezbożne Żydy do kupy zebrały? Do moich pokoi przez tylo grube sklepienie on harmider doszedł i dziecka mi pobudził, że płacz we dwoje uciały, którego ani miodem, ani biciem uspokoić nie mogę! Franek! zwróciła się do męża! Wyproś gości i gospodę zamknij, a komu nocować trza, na drugą stronę proś!

— A to ci energiczna białogłowa! — zawołał ze śmiechem Morwa — tylko patrzeć a chwyci ożoga na małżonka, albo i na nas.

— Ona już taka z przyrodzenia! — z dumą patrząc na ładną kobietkę, rzekł stary Wendorf. To też mąż ją słucha i szanuje!

Jakoż rzeczywiście imci pan Franciszek Szalita, przed chwilą buńczuczny i

najgłośniej domagający się śmierci trzech oponentów, na widok żony spokorniał zaraz i z zakłopotaniem do niej się zbliżył.

— Tak, jako żywo, serce, zachowaliśmy się krzynę za głośno, ale bo tu pielgrzym z świętych miejsc przybył... O patrz, ile to pamiątek przyniósł — dodał pohopnie, z rozpromienieniem, rad widocznie, że może w inną stronę uwagę żony skierować.

Pani Szalitowa spuściła oczy w kierunku wskazanym przez męża, a spostrzegłszy ławeczkę ze świętościami, wydała okrzyk radosny, przypadła na kolana, głowę wsparła na rękach i wołała z zachwytem:

—Ciewy ludzie!... Dziwy! dziwy!

I wszyscy patrzyli z nią razem, wybierając dla siebie przedmioty i dopraszając się o sprzedanie to tego to owego, lecz pielgrzym uparcie powtarzał, że dla swojej parafji w Pelplinie przeznaczył to wszystko, niosąc wśród tylu niebezpieczeństw.

Szwem tymczasem z dwoma towarzyszami wymknęli się nieznacznie.

II.

W alkierzyku gospody „Pod modrym Fartuszkiem".

W gościnnym alkierzu gospody w przeciwstawieniu do tego, co działo się w głównej izbie, cicho było i przytulnie. Sześć małych szybek o szkle stęczowanem przez długie lata, sączyło mdłe światło, zdolne wydobyć z mroku zaledwie biały komin, złote ramy dwóch zczerniałych obrazków,

wiszących ponad nim i białą postać kobiety stojącej przy oknie. Ktoś coby obrzucił jednem spojrzeniem całe to wnętrze mógłby myśleć, że kobieta monologuje, lub przemawia do wytworu własnej wyobraźni, gdy tak niskim, miękkim głosem mówiła pieszczotliwie:

— Miły, zali zawdy wyglądać mam cię całe dnie, by cieszyć się tobą godzinę? Zali ci tam towarzysze bojowi, szczęk i gwar bitwy milejsze, niż żony osoba, dziecka szczebiot, nasze pieszczoty?

W ciemnym kącie, między łożem a stojącą zczerniałą przez lata policą, ktoś się poruszył, wyciągnął ramiona i założył nad głowę, aż rozległ się chrzęst stawów rąk, co się splotły w jakiemś nerwowem zaciśnięciu.

— Zośka!

— Co, chcesz, miły mój?

— Zośką, zamilcz, na Boga zamilcz! Ileć razy mówił ci ja, jakowe p e r i c u l a trzymają mnie tak wśród walczących. Toć nas, prawych katolików i wiernych ojczyzny synów z każdym dniem mniej. Henschel najniebezpieczniejsze stanowiska wyznacza; p. Ładzińskiego dragoni, że to do prymasowskiej chorągwi, konsystującej w Gnieźnie przynależący, posłani byli na mury przy Chełmińskiej bramie, wprost paszczy wielkich armat generała Mardefelda i zginęli co do jednego. Pana Cewskiego pachołki, Bejdy, kuśnierza cztełech synów i ojców dominikanów nowicjusze od tygodnia trzymają straż między bramą za-

konnic a Mostową i też niema dnia, żebyśmy jednemu z nich ziemi na oczy nie sypali. Ale panowie rajcy, ale panowie cechowi i ich czeladź w bezpiecznych kątach, a w ciepłych kordygardach siedzą, w kości grają, wina spijają, nie pomni....

Potężny grzmot dział wstrząsnął powietrzem, jakiś sypiący się w pobliżu mur odpowiedział przeciągłem echem walących się kamieni.

W izdebce rozległ się krzyk dziecka.

— Cicho, Jasieńku, cicho miłeńki.

Młoda kobieta zbliżyła się do łóżka, które zabieliło się w tej chwili białością pościeli, z pod opadłej na ziemię futrzanej opończy. Szepcąc jakieś pieszczotliwe słowa wzięła na rękę dwuletnie dziecko i tuląc swą bladą twarz do jego rozgrzanej, rumianej twarzyczki, wróciła na swe miejsce pod oknem.

Stał już tam mąż jej, którego okazała postać zarysowywała się silnie na tle szybek.

— Spocznij, Zośka.

Podsunął jej niski fotel, obity obdartą skórą i z widoczną lubością patrzał na jej drobną główkę w wianku płowych włosów, na jej twarz o rysach delikatnych a pełnych wyrazu. Podał dziecku rogową tabakierkę do zabawy i ciągnął z widocznem przygnębieniem:

— Jest nas tak niewielu, którzy wierni jeszcze służbie najjaśniejszej Rzeczypospolitej pozostają.... Ale bo i skąd brać?...

— Między kupcami siła ludzi prawdziwie Polskę miłujących.

— Tak, ale cechy niemieckie i luterskie Toć oni, nie kto inny, nasze piękne katolickie kościoły na swoje kirki pozamieniali.

— Czemu zasie Polaki rzemiosła się nie imali; cechy na łup Niemców zostawili?

— Mówisz tak, jako każda białogłowa rzeczy nie świadoma. Atoć od kilkudziesięciu lat protestanci jeno w mieście rządzą, a że świadomi są jako każdy Polak jest zarazem gorliwym katolikiem, prześladują naszą kochaną narodowość, zarówno jak religję świętą, katolicką. Toć r. 1608 toruńska Rada miejska wydała rozkaz, aby extraordinariis ticis de causis *) nie dopuszczano więcej jak 6 mistrzów Polaków w cechu krawieckim, r. 1616 dozwolono cierpieć ich zaledwie 5; r. 1611 zabroniono kapelusznikom przyjmować chłopców innych, jak niemieckiego pochodzenia!

— A król? a senat? nie protestowały onym nadużyciom?

— Król Zygmunt III, choć żarliwy katolik, więcej o ugruntowanie swej dynastji na dwóch tronach się kłopotał, aniżeli o to, żeby się poddanym jego, prawym katolikom krzywda nie działa.

— Papu, mama, papu! — zawołało dziecko.

— Jasinek głodny, trza go lemieszką znów nakarmić.... Jest gotowa, w rynce na kominie.

*) z bardzo ważnych przyczyn.

— I ja głodny, jako wilk w najsroższą zimę; matka mnie nie pożywiła inaczej jak łzami a skargami swojemi.

— Bo dusza we mnie płacze, skoro przyszedłszy po kilku dniach niebytności zaraz powiadasz: nocą znowu wyciągnę.

— Chcesz, abym omdlał z głodu a przy tobie ostał? A ja za pomocą Pana Jezusową a Maćkową i tak wyżyję. Chodźwa do izby na wieczerzę.

— Tam pewnie siła ludzi, i znowu zaczną kłótnię, a bójki.

— O tej porze już wszystkie harabardy odeszli; jedni na mury, inni na wywczas... Słyszysz, ledwo jakichś dwojga ludzi ze sobą rozmawia.

— To pójdę z tobą, jeno czepek przywdzieję....

— Nie chowaj złotości, w które cię Bóg przystroił pod czepiec.

Szorstką dłonią pogłaskał ją po jasnych włosach.

— Bez czepka nie przystoi zamężnej białogłowie. Postawiła chłopczyka na podłodze i otworzywszy lubiane pudło wydobyła zeń maleńki czepeczek z brokatu błękitnego, przetykanego srebrem i otoczonego cudną, brabancką koronką. Przywdziała go przed małem zwierciadełkiem w mozajkowej ramce i z zalotnym uśmiechem zwróciła twarz do męża.

— Chociam w czepcu i tak psy na mnie nie będą wyły.

Wzięła dziecko na rękę.

— Co ty z małym chcesz iść na wieczerzę?

— Przecie go nie ostawię samego.

— Zawołaj Tereskę.

— I przy Teresce będzie płakał za mną.

— Rozbisurmaniłaś śmierdziucha, a teraz pokutujesz za to.

— Pokutuję?,.. Przecz?...

— Bo go musisz wszędy za sobą włóczyć.

— Mnie bez niego niema szczęścia, ani zabawy.

— Weź przynajmniej Tereskę do izby; niech choć bawi dziecko. Gdzie ona?

— Pewnie jak zwykle zasnęła w kącie.

— A przecie, leży tu na tobołach.

— Tereska! Tereska!

— Co zaś!... Ją armatni pocisk w pobliżu wybuchający nie obudził, a myślisz, że ty ją zawołaniem porwiesz na nogi!

Zbliżył się do stosu pościeli, leżącego w kącie, na którym spoczywała tęga, szesnastoletnia dziewczyna, dźwignął ją pod ramiona i postawił na nogi. Dziewczę kiwnęło się naprzód, tak, że musiał ją podtrzymać, potem zatoczyło się, padło na wznak na pościel i chrapnęło donośnie. Śmiejąc się młody człowiek zbliżył się do okna, wziął z niego karafkę i chlusnął wodą na twarz śpiącej. Porwała się z krzykiem.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja go chwalę! Weź dziecko i chodź na wieczerzę.

— Pogładź włosy, odezwała się pani Zofja, żeby zaś ludzie się nie wystraszyli, żeś upiór, albo pokutująca dusza.

W izbie gospody rzeczywiście było już tylko dwóch ludzi, siedzących przy gąsiorku miodu: pan Prot Śmiechowski ze Sławoszyna i pielgrzym z Pelplina.

— Czołem waszmościom — rzekł, wchodząc nowoprzybyły.

— Czołem odpowiedzieli obaj.

— Tuszę, że z szlachetnego rodu synem mam do czynienia — dodał pan Śmiechowski.

— Jestem Roman Łukasz, dwóch imion Obertyński... Jastrzębiem się pieczętuję.

— Prot Śmiechowski, herbu Grabie, pan na Sławoszynie, Parczycach i Odargowie.

Pielgrzym podniósł się także, potrząśnieniem głowy zrzucił z niej kaptur i okazała się twarz czerniawa, chuda, otoczona zaniedbanym zarostem, wychylająca się ze sznur zbrudzonych kurzem i potem, ale uczciwa i mądra.

— Witam cię, siostrzanie miły! — zawołał wyciągając dłoń ku Obertyńskiemu... Nie poznajesz wuja? Także mnie dziesięć lat i one łachmany zmieniły?

— Głos waćpana odnajduję w pamięci, ale do czyjej persony jest on przynależny nie pomnę.

— Czyżby cię świętej pamięci twój rodzic niedość genealogji familji Obertyńskich przyuczył, że ci tak trudno wszystkich twych wujów przywieść na pamięć, a

nieznajomego między znajomych postawić?...

— Doprawdy trudna to trochę sprawa, bo... dawno już rodzicielski dom opuściłem, a...

— Snać rodzic ci ad intenda nie wyliczył na odchodnem tylu plag, ilu masz krewnych przy życiu będących, bo byłbyś zapamiętał przecie.

— Znam wszystkich czterech rodzonych matki mojej, co jako Łętowscy Ślepowronem się pieczętują i dwóch pokrewnych rodzica, takoż Obertyńskich, ale herbu Łodzia... Chyba Jazłowiecki?...

— Chyba Jazłowiecki?.... A co pomnisz o Jazłowickim?

Obertyński oczy przymknął, chwilę milczał, potem rozłożył nagle ramiona.

— Cisawy ogier w uprzęży turkusami sadzonej! I zwalił się do nóg nędznemi szatami okrytego pielgrzyma. Ten pochylił się nad nim, przycisnął do piersi i długo trzymał w uścisku.

Nie odstraszyły cię łachmany one od powitania przyrodniego brata rodzica twego, jak przystało witać tego, w czyich żyłach taż krew matczyna, co i w twoich płynie?

— Wuju drogi, niechby mnie na pal wbili, gdybym zapomniał łask twoich!... Ale ten cisawy konik, którego dwunastoletniemu chłopcu zachciało się jak Sakramentu umierającemu grześnikowi!... I ty wuju miłowałeś onego konisia, ale że Romek zechciał, nie wahałeś się oddać mi go

i drogocenną uprząż dołączyć.... Ale skądże w tak lichym widzę cię stanie?

— Czy ci nowina, jak to czasu wojny różnie bywa?... Z Częstochowy przez kraj zalany mrowiem wrażym się przebijam. Ale skąd ty tutaj z kresów Rzeczypospolitej przybyłeś?

— Amor mnie tu przywiódł, Amor niecnota.

— Opowiadaj, jako to było?

— U pani Herburtowej wojewodziny była panna na respekcie, nawet trochę należąca do twojej krwie wuju...

— Zatem do naszej!

— Nie, bo z rodzicielem twoim spokrewniona, panna Zofja Pawelska....

— Jana Nepomucena, referendarza córka?

— Jako żywo.

— Krewna mi i bliska! Siaki taki posażek mieć musiała?

— Było dosyć grosza na ewikcji u pana wojewody, ale prima causa mojej miłości była własna jej osoba, takie to było słodkie i gładkie i kochane.

— Nieborak Jan Nepomucen Pawelski dawno został usieczon przez Turków, gdy w kompucie pomorskim aż pod Lwów się wyprawił, ale o ile wiem wdowa po nim, inci pani Pawelska, urodzona Zyniczówna w dobrach swych wedle Kościerzyny ostała i wcale politycznie gospodarzyła.

— Tak, ale córkę pierworodną, skoro dorosła, do pani wojewodziny aż pod Braclaw odesłała, żeby zaś z oczu niejakiemu

Albinowi Urfeldowi zeszła, który choć nikczemnie urodzony, miłością występną do panny referendarzówny zapłonął i nią mimo multa adversa dziewczę prześladował.

— Wybaczcie waszmościowie, że wasz poufały dyskurs przerwę na chwilę, odezwał się Śmiechowski, ale jestem utrudzony wielce i chcę na spoczynek się udać. Jak to już słyszał imci p. Jazłowicki od naszego gospodarza oberża zajęta gośćmi od alkierzy po poddasze, nam tu słoma nakryta kilimami za łożnicę ma służyć. Dlatego z punktu pytałem pana Obertyńskiego czy z urodzonym mam sprawę, chciałem bowiem mu przedłożyć, że w braku pomieszczenia może lec z nami pospołu.

— Bóg zapłać waszmości, panie Śmiechowski, ale ja tu od dziesięciu tygodni z żoną i dzieckiem zamieszkuję w osobnym alkierzu, bo nas ono nieszczęsne oblężenie w drodze do Kościerzyny, do żoninej matki, zaskoczyło.

— Śpi już twoja małżonka? — zapytał Jazłowicki?

— Nie, zaraz tu przyjdzie, dziecko się tylko rozgrymasiło, gdy tu już iść miała, więc chciała je wprzódzi nakarmić, i do snu ułożyć. Ale otóż i ona. Bywaj tu, Zosieńko, a uściskaj kolana mego wuja i dobrodzieja.

Zofja z pewną nieufnością na nędznie ubranego człowieka spojrzała.

— Niech cię nie odstraszają łachmany, przygodne to tylko szaty, kryjące najzacniejszego człeka i przedniego obywatela.

— Pójdź w me objęcia, Zosieńko, boś mi podwójnie spokrewniona, jako, żem rodzicowi twojemu cioteczny, a i mężowskiego rodzica brat przyrodni... A teraz siadaj naprzeciw i niech ci się napatrzę... A nie spuszczaj tak onych modrych ślipiąt skromnie!... Jak mi Bóg miły niewiasta jak kukiełka z farfuru, najpiękniejszej roboty i do mojej Magdusi podobna.

— Magdusia!... — zawołał rozpromieniony pan Roman — pamiętam!... Starsza odemnie rokiem była. Pewno teraz już jakiemu zacnemu mężowi zaślubiona?

Jazłowickiemu twarz spochmurniała; czoło nad stołem pochylił.

A zaślubiona... zaślubiona... Bóg ją między swe oblubienice powołał.

— W klasztorze?

— Tak, u benedyktynek.

— Zali trzeba tem się smucić, że Bóg kogoś świętem natchnieniem zaszczycił?

— Tak, wiem, że to splendor jedyny, jakim białogłowa może się odznaczyć. Ale mi luto, bo była mi ostatnią, gdy cztery młodsze w ciągu niedługich lat w ziemię złożyłem.

— Biedny!... — wyrwało się z ust Zofji.

— Tak, masz rację, biedny jestem, samotnik na starość; w modlitwie jeno a w pielgrzymkach do cudownych miejsc w kraju naszym ,to do Rzymu, to do Ziemi Świętej...

— Aże tam!?

— ..... pociechy szukałem. Ale dziś, gdy Bóg mi pozwolił was odnaleźć, coście

mi krewni oboje, to tak jakbym dzieci odzyskał!

— Bądź tego pewnym, wuju miły! — zawołał z zapałem pan Roman.

— Będę się trzymał waszych person i żył waszem szczęściem... Bo wszak jesteście szczęśliwi?

Błyskawicznie wymienione przez Romana i Zofję spojrzenie, pełne bezgranicznego uczucia, było najlepszą odpowiedzią.

Zapanowała chwila milczenia. Jazłowicki obejmował spojrzeniem tę dorodną parę, tchnącą młodością, siłą i szczęściem i zdawało się, że rzeczywiście wchłaniał w siebie część tych atrybutów, tak niezbędnych do życia.

Po chwili odezwał się pan Roman:

— Ja chwilami aż boję się swojego szczęścia, boć ta nasza ziemia nie bez kozery doliną łez się nazywa, a ja od trzech lat żyję szczęściem bez chmury. A los zawistny bywa czasem człowiekowi.

— A los zawistnym bywa, — powtórzyła, jak echo, pani Zofja i pobladła.

III.

„Toruń padł."

Wieść, że do gospody „Modry Fartuszek" przybył pielgrzym, podążający prosto z oblężonej Częstochowy, że pielgrzym ten jest możnym panem, dziedzicem dóbr pelplińskich, lotem ptaka rozeszła się po mieście. To też od wczesnego rana gospoda zaczynała zapełniać się różnym ludem: podążała bogata szlachta, co ze spalonych dworów i zamków, leżących na szwedzkim

szlaku, za mury Torunia się schroniła; biegli mieszczanie, ci których myśl i serce w stronę Jasnej Góry pełne niepokoju i nadziei się zwracały; gromadziły się kobiety, tuląc w dłoniach pieniążki srebrne i miedziane, kombinując jaką pamiątkę uda im się za nie kupić; wpadały przedewszystkiem dzieci, aby niebawem opuścić gospodę w rozczarowaniu, że pielgrzym niema ani brody do ziemi, ani kaptura na głowie, ani różańców mnogich na sobie, ale przedstawia się tak, jak każdy inny podróżny, jeno widocznie mocno utrudzony.

Pan z Pelplina, widząc się otoczonym liczną gromadą ludzi, z których pytań łacno poznasz, że ich nie pusta ciekawość przywiodła, ale chęć podźwignięcia ducha i przeświadczenie o łasce Boskiej, która chce czuwać nad narodem, pomimo zdrad Radziejowskich, Opalińskich i Radziwiłłów, pomimo małoduszności tysięcy, co kraj bez boju, bez oporu na łup wrogowi wydawali; wobec przejawów takiego poważnego zainteresowania rad opowiadał o tem, czem własne oczy napasł. Jak to kilkudziesięciu mnichów, garść szlachty i 250 rycerzy z panem Piotrem Czarnieckim, walczy zaciekle i nie wątpi, że z pomocą Najświętszej Matki wroga w święte progi nie puści. Jak to ks. Augustyn Kordecki wśród gradu kul stoi, swym białym habitem i nieustraszonem męstwem świeci przykładem, a otuchę w najtrwożliwsze serca wlewa. Jak to procesje z pieśnią pobożną, przy muzyce dział, wały i mury

warowni wkoło obchodzą, a Marja Panna w cudownej Swej łasce raz po raz oczom śmiertelnym się zjawia, aby zaś o opiece Jej nikt nie wątpił.

A gdy tak opowiadał pelpliński pan, serca biły otuchą, oczy pałały, ręce ściskały się modlitewnie, a od czasu do czasu jakiś niedający się opanować, prędko stłumiony, szloch kobiecy nad głosem opowiadającego zapanował.

— Dziwy, dziwy, nieledwie nie do wiary wasza miłość opowiada — mówiła drżącemi usty pani starościna Leśmierska, której dobra, Raduń i Leśno, Szwedzi spalili, a męża jej usiekli. — Gdy się tak słyszy jako to Boska moc w najcięższych przejawia się perypetjach, nie żal człekowi alibo i białogłowie, jako ja, tych dni ciężkich, tych strat krwawych, tych tęskliwych po austerjach godzin. Inszy od dziesiątego i setnego usłyszy, inszy w księgach przeczyta i może zgoła temu nie da wiary, a oto ja wątpień żadnych mieć nie mogąca jestem, skoro godny człowiek i katolik prawy to mówi, i jako pierwsze Chrystusowe apostoły powiada: widziałem!

— Na miły Bóg — krzyknął Łukasz Konewka, ławnik szanowany powszechnie — nie o sentymenta tu idzie, ale o ono serce ludzkich zahartowanie. Znam Jasną Górę, wiem, jak słaba to warownia, jak brak jej przyrodzonych warunków ku temu, aby potężnemu wrogowi stawić czoło mogła. A jednak broni się, wierzy że p e r i c u l o m owym sprosta i ostać się, ostoi na Bo-

ga!... A my tu torunianie!... Popatrzmy na to miasto nie przez umysłu naszego widziadła, ale mężnego serca jasnemi oczyma. Uprzytomnijmy sobie te mury śmiałą ręką krzyżaka stawiane, które, dokoła jako hartowny pancerz miasto opasują! Uprzytomnijmy sobie te liczne wieże i znakomite ich w działa i prochy zaopatrzenie! A nadewszystko, łaską Boską dane nam zabezpieczenia: te dwie rzeki, gotowe w każdej chwili stać się wilgotnym grobem dla rot nieprzyjacielskich; nasza Wisła kochana, rzek królowa, co nas i żywi i broni i rozlewista Mokra, co już 1629 r. tylu Szwedów w swych grząskich brzegach zakopała,

— Ach r. 1629!.. ten cudny, cudny dzień 16 lutego... — westchnął rozmarzony Bartłomiej Wendorf. — Mróz był, że wrony marzły w powietrzu, ale słonko jaśniało wspaniale, snać rade było popatrzeć jak psubraty Szwedy precz uchodziły ze wstydem i w popłochu.

— Ja urodziłem się w tym dniu! z dumą zawołał Franciszek Szalita.

— Król miłościwy za tę obronę dzielną od wszystkich podatków za czas wojny Toruń uwolnił!

— Wszyscy królowie polscy przywilejami pruskie miasta darzyli, a od krzyżackiej i niemieckiej pięści bronili, jako ojce dzieci swoje bronią.

— To my tera, gdy król w opresji, bronić jego persony powinniśmy.

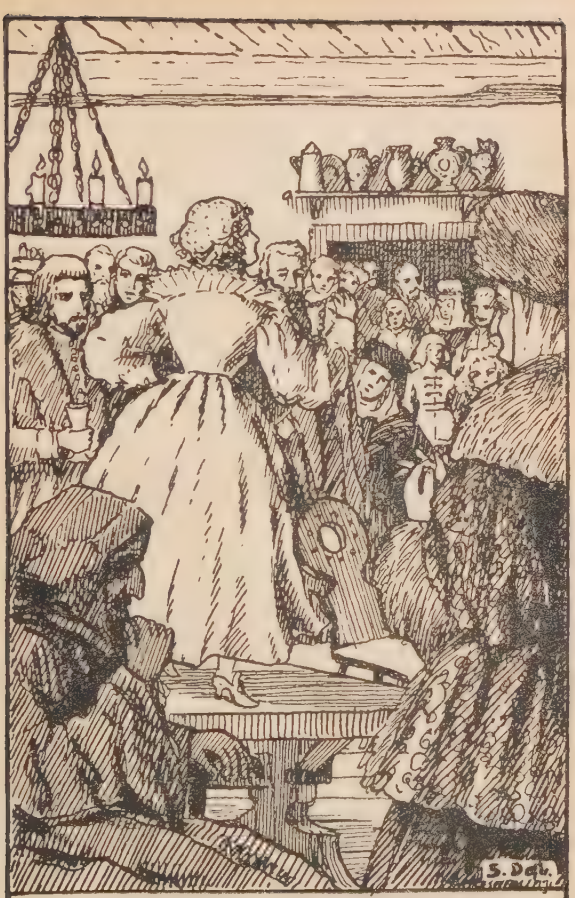

Z prostotą rzucała gorączkowo zdejmowane klejnoty.

— I nie oddać miasta!

Każdy coś od siebie dorzucał, każdy swój sentyment głośno wyrażał, rad, że mu nikt nie przeczy, śmiały, bo świadomy, że cała kompanja jednakowo czuje, gdyż Niemcy i luteranie nie kwapili się do gospody, w której pielgrzym katolicki był w onej chwili pierwszą osobą.

Nad wrzawą zapanował potężny głos pana Ciecierskiego z Wąbrzeźna:

— W terminach, w jakich jesteśmy, widzą tantam neassitatem konfederacji, która jest extremum remedium; konfederacji, która się opowie przy najjaśniejszej Rzeczypospolitej; przy dostojeństwie króla.

— Jako żywo! dobra rada! konfederujmy się!

— Mości panowie — odezwał się Wendorf — dajcie słówko rzec staremu mieszczaninowi, osiadłemu tu z dziada, pradziada, który swoje miasto zna i miłuje! Jakowyż profit z naszego konfederowania? Kto na to patrzał będzie? Kto w naszym Toruniu burmistrzem? Niemiec! Kto rajcy?... Niemce!... Ławnicy — Niemce!... A Niemcom zawdy luterski Szwed bliższy.

— Nie można tak mówić — zaprotestował Konewka. — Jest nas kilku Polaków ławników i w Radzie między Niemcami nie brak takich, co rozumieją, że tylko z polskimi królami cichość i przezpieczeństwo.

— Byle garść nas przy uczciwej sprawie stała to potrafimy i innych przekabacić!

— Najgorszy burmistrz Nowego miasta on gotów i na własną rękę ze Szwedem się zwąchać, a wszystko dla onego złotka, co może spaść do trzosa.

— Ja sam świadkiem jestem listu, co imci pan burmistrz pisał do Radziejowskiego.

— Trafił swój na swego!

— Przechery!

— Burmistrz, choć głowa miasta, nie może przecie nas na własną rękę zaprzedać... A wiem od pana Grudki, jako z nim też nie mówiono o projektach oddania miasta — mówił pan Konewka.

— A mówił waszmości imci pan Grudka, jako tej nocy panowie rada tajnie, sami Niemce się zebrali, a wiecowali do białego dnia, — szyderczo patrząc mu w oczy, odezwał się mistrz rymarski, imci pan Krzysztof Stam. —

— Co? co? Pominęli nas, rajców? Obliga oczywista!

— Nie baczyłbyś waszmość na prywatę... Niech was lepiej głowa zaboli o to, co mogli radzić.

— Oczywista, że nie w innej materji, jako w onej, aby miasto zaprzedać za złoto, które pan burmistrz i rajcowie Niemce otrzymają.

— Pod miecz katowski takowych!

— Rozsiekać! na szablach roznieść!

— Niech dadzą gardła!

— Pozwólcie, waszmościowie!... Miłościwi panowie, szlachta bracia, i mieszczanie godni, słówko chcę powiedzieć! — usiłował zapanować nad gwarem miękki, głos kobiecy!

— Uciszcie się waszmościowie! starościna Leśmierska mówić życzy!

Przycichli zaciekawieni.

— Jeśli owej zdrady chęć zysku główną sprężyną — zaczęła p. Leśmierska zakłopotana i zarumieniona jak młode dziewczę — to złoto złotu przeciwstawić! Niech od nas co wiernie przy ojczyźnie i majestacie stoimy, a bliżej ich jesteśmy, dostana bez kłopotu i grzechu bogactwo, po które sięgają daleko i z zatracenia duszy niebezpieczeństwem.... Com wyniosła czerwonych złotych przy fortuny zmianie, chętliwie na ołtarzu ojczyzny położę!

— Dobrze! dobrze! — wykrzyknęła Szalitowa i wrodzoną żywością powodowana, już skoczyła na ławę.

— Oto łańcuch dużej ceny, patrzcie jak ciężki, oto kolce turkusowe, bierzcie to!... Niech przy dukatach miłościwej pani się znajdą!

Z prostotą, jakby szło o orzechy, rzucała klejnoty, gorączkowo zdejmowane z szyi i uszu.

— Na miłość Boską, Krystka, zezwolił ci to małżonek, to wszystko...

— A cóż ojcze, nie prawy to on Polak?.. Żeby inaczej myślał, nie puściłabym go już więcej ku sobie!

— Moje klejnoty oddam też chętliwie — nieśmiało po cichej wymianie kilku zdań z mężem, odezwała się pani Obertyńska!

— Niech żyją nasze białogłowy! Zaiste piękny przykład nam mężom dały! Nie zginie kraj, co ma takie niewiasty! Nie padnie miasto! Gdy my krwie nie skąpimy, niech kobiety swe bogactwa oddają!

—My i bogactwa i krew oddamy — zawołała Szalitowa. Małoż było białogłów na wałach czasu pierwszej wojny szwedzkiej?

— Nie dajemyż to dzieci naszych, krew krwi naszej! — odezwała się rajczyni Konewkowa.

Krystce Szalitowej za nisko było na ławie, skoczyła na stół, bębniąc w cynową miskę energicznie.

— Proponuję waszmościom, aby obrali dwie białogłowy i ze dwóch mężów zaufanych, kilku pachołków orężnych przydali im ku obronie i niech idą na miasto od domu do domu, od kramu do kramu, żebrząc na obronę grodu.

— Dobrzeście rzekli, pani Szalitowa, niech każdy da co może!

— O wtedy nie tylko Toruń, ale całe Prusy Królewskie od Szweda wykupimy!

— To nie traćmy czasu!... Kto pójdzie?

— Szalitowa, gdyż to jej pomyślenie!

— Pewno, gładka na gębie i śmiała, już ona potrafi się dopomnieć.

— O i z gardła wydrzeć potrafi!

— Nie inaczej , a gdy nie pomoże prośba to i pięścią przygrozić potrafię !

— Jakże ci Krystyniu iść — nieśmiało odezwał się Szalita — Dziecka płakać będą.

— To i co! Lepiej niech dwa śmierdziuchy płaczą za matką, niż całe miasto za ojczyzną.

— Pawełek piersi jeszcze potrzebuje.

— To mu palec w gębę włożysz !

— Nie dworowałabyś, gdy ja serjo mówię.

— O rety nie ma to matki, Zofki i krowy u nas? We trzy do kupy dadzą radę niemowlęciu.

— Nie ma co gadać, idziecie pani Szalitowo?

— A z nią panią Leśmierską doradzam.

— Zatem dwie niewiasty mamy!

— Piękne to, — odezwał się wzruszonym głosem Bartłomiej Wendorf, — że kobiety dwóch stanów pójdą na oną służbę ojczyźnie ręka w rękę, pospołu. Pani można i mieszczanka prawa...

— A kto z mężczyzn? — przerwał mu Krzysztof Stam.

— Ja proponuję pana pełplińskiego.

— Obcy tu jestem, nie znają mnie zgoła.

— Tak niech idzie pan ławnik Konewka i Bartłomiej Wendorf.

— Wendorfa nie radzę, bo to tak jakby ojciec córkę po jarmarku prowadzał.

— Jabym też nie szedł, toć ledwo kulasy włóczę i doradzam kogo z kupieckiego stanu.

— Radzę Osterwicza, bogacz i wszyscy go szanują.

— Ale Matzke się pisze!

— To i co! rodziciele i maitanka i tak Maćko go doma wołają!

— Niema co czasu na przebieranie tracić!.

Niech idą: Orwicz i Konewka.

— A pachołków zbrojnych może im pana Wachschlager dodać, albo i pan rotmistrz Ładziński.

— Nie traćmy czasu! chodźmy!

— Ocalimy miasto!

— Ocalimy Królewskie Prusy! królewski majestat!

— Nie damy Torunia.

W tej chwili huknął strzał armatni; nie od oblęgających on szedł, strzał bliski, krótki, jakby pustym ładunkiem dany — wiwatny strzał! za nim poszedł drugi, trzeci, czwarty. Jednocześnie rozległy się dzwony; jęczał głucho, ponuro „św. Jan", roznosiły się radosne, w pieśń uderzane, św. Jakóba dzwony.

Pobledli obecni. — Co to? — przeszło wśród nich ciche pytanie, naprzemian nadzieją i trwogą nabrzmiałe.

Nagle do izby wtargnęło kilkunastu wyrostków!

— Szczęście! szczęście! — wołali, jedni po polsku, inni po niemiecku. — Już po oblężeniu!

— Co?... odeszli Szwedzi?

— Nie wiemy!... Ale lud od Mostowej bramy krzyczy: Już po oblężeniu! już po biedzie!

— Miałżeż Bóg za samą intencją naszą nagrodzić?... Chybać Szwed odstąpił!

— Orszak jakowyś wspaniały od Mostowej bramy ciągnie — wołał jakiś mężczyzna, wsunąwszy głowę o rozwianym włosie w drzwi gospody.

Porwali się wszyscy i przed gospodę wylegli. Na tle ubielonych ścian domu i całunu śnieżnego znaczyli się barwnemi strojami, wśród których nie brakło drogich aksamitów i wzorzystych brokatów, choć dzień był powszedni.

Ku nim ciągnęła druga, barwna, ruchoma kolumna; przodem jechali burmistrzowie starego i nowego Torunia, za nimi oddział zaciężników, na prędce przebranych w żółto-czerwone stroje, aby jakiś poczet reprezentowały, dalej muzyka z trąbitów i doboszów złożona, za nimi długi szereg szóstkami zestawiony ludu rosłego, ubranego w grzebieniaste hełmy z czółnami zachodzącemi na uszy, w żółte, skórzane kaftany i buty kolisto odłożone; pierwsza kolumna zbrojna była w rapiery i muszkiety, druga jeżyła się włóczniami. Między pierwszą a drugą jechała złocista, poszóstna karoca, w niej generał Mardefeld, obok otyłego w czerwony aksamit strojnego Radziejowskiego.

— Szwedzi! — biegł przed nimi pomruk ludu, najczęściej groźny i ponury, zrzadka tylko radością nabrzmiały.

— Toruń padł!

— Toruń wzięty!

— Nie wzięty!... Oddany!...

Pani Zofja Obertyńska stała przy mężu swoim, blada i drżąca, tuląc się gorączkowo do jego ramienia.

— Boże! Boże! tegośmy dożyli — szeptała zbielałemi usty.

— Zdrada, wszędy zdrada! — biadał Obertyński półgłosem, niepewien już i najżarliwszych zwolenników oporu Torunia odkąd Szwedzi wkroczyli do miasta.

— Patrzcie, w tej karocy, on ten judaszowski wnuk, zdrajca Radziejowski, — szepnął jej w ucho, stojący obok pan z Pelplina.

— Jak on śmie z uśmiechem na ludzi poglądać! On, którego głowa tylu przekleństwy obarczona!

— Patrzy, uśmiecha się i kłania tym co krzyczą jak szaleni: Niech żyje Karolus Gustavus rex!... Ten motłoch sądzi, że to sam król, bo w purpurę strojny, a on w rzeczy jak każdy oficer niższej rangi się przedstawia, w skórzanym kaftanie i kolistym kapeluszu.

— Który to?

— Przejechał już dawno na czele muszkieterów!

— Nikt mu nie wiwatował!

— Nie suponowali, że to królewski majestat.

— Romku, patrz! on!... — szeptem pełnym nieopisanego przerażenia syknęła w tej chwili Zofja.

— Kto?

— Urfeld!...

Śmiertelnie bladą twarzą wskazała jadącego z brzega w grupie przedniejszych mieszczan, którzy z różnych grodów w poczcie sprzymierzeńców Karola Gustawa jechali, młodzieńca lat dwudziestu kilku na pięknym, jabłkowitym arabie. Ubrany był w kaftan z łosiowej skóry, który szeroko rozpięty na piersiach, odsłaniał żupan z zielonego jedwabiu, złotemi, ażurowej roboty guzami przybrany. Twarz miał okrągłą, rumianą, jasnym zarostem otoczoną. Jechał, rozmawiając z Hermanem Buchowem i spoglądając na dach gospody, przy szczycie bowiem barokowego frontu kilku śmiałych pacholików się czepiało, żartobliwe uwagi o wjeżdżających czyniąc. Nagle, jakby magnetyczną siłą oczu Zofji pociągnięty, opuścił twarz i jednem wejrzeniem objął całą jej postać.

Rozpromienił się. Grube jego wargi w uśmiechu radosnym odsłoniły białe, zdrowe zęby, zrobił przytem ruch, jakby chciał z konia zeskoczyć, ale że uderzony chwilowem zatrzymaniem koń jadącego za nim pana Teodorusa de Kostencin, potrącił łbem zad araba Urfelda, który wspiął się i stanął dęba, jeździec, energicznym ruchem ściągnął go i znowu twarz zwrócił na Zofję, tym razem już na dłuższą chwilę, przez którą mógł stwierdzić, że przez mi-

mione trzy lata jeszcze wypiękniała, że twarz jej na jego radosny uśmiech i polityczny ukłon odpowiedziała martwotą przerażenia i że oto całą postacią tuli się do stojącego przy niej wykwintnego mężczyzny, tak jak w Polsce publicznie tylko żona do męża tulić się zwykła. Więc twarz jego z promiennej stała się groźną i ponurą; odjeżdżał wraz z innymi, ale aż do zakrętu ulicy Podmurnej patrzał na nich i coraz lepiej rozumiał, że oto tam przed gospodą „Modry Fartuszek" stoi ona, umiłowana jego, a nie jego, prawa małżonka, snać możnego pana, który ma za sobą prawo męża i siłę „dobrze urodzonego".

— Czego drżysz, jako mdła ptaszyna, Zosieńko? — zapytał pan z Pelplina. — Żal ci, że Toruń padł?... Wola Boża, padnie jeszcze z miast niejedno, a Częstochowy nie wezmą, a gdy z pod jej murów wróg odstąpi, pójdzie po kraju wieść, co może garść ludu, o gorącem i mężnem sercu. I wtedy nastąpi odrodzenie.

— Zosia ma dziś osobisty niepokój. W orszaku nieprzyjacielskim jechał Albin Urfeld, syn burmistrza z Kościerzyny, który na nią, szlachciankę śmiał atentować.

— Wiem, mówiłeś mi wczoraj o tem; wedle tego Zosię na Ukrainę wywieziono, gdzie ty ją poznałeś.

— Jest to c a u s a, dla której powinniśmy szanować i kochać pana Urfelda, ale Zosia...

— Boję się jego zemsty — wyszeptała.

— Ach, dziecinne obawy, co może taki mieszczuch wobec nas, którzy...

— I za co miałby się mścić — wtrącił pan z Pelplina — małoż dziewek wychodzi zamąż, pozostawiając za sobą zastęp wielbicieli, którzy muszą schować dudy w miech i za innemi pannami poglądać.

— Tak, ale on obiecał się pomścić!

— Każdy obiecuje.

— Ale on ma za co mścić się.

— Przecz?

— Bo gdy nieproszony na pokoje pani wojewodziny wtargnął, wojewoda kazał go hajdukom wyprowadzić, a gdy przed zamkiem okrutnie pomstował w słowach, ubligę czyniących, nie przebierając, marszałek dworu kazał go batożkami przepędzić.

— Nie przeczę, złość za to może mieć w sercu. Ale my ci krzywdy uczynić nie damy.

Zofja uchwyciła dłonie męża i wuja.

— Nie dajcie mnie! nie dajcie!... Ja niczego od Boga nie pragnę: ani zaszczytów, ani bogactwa, ani zabaw z pląsami i muzyką, tylko, żebym kędyś w cichym dworze z Romkiem i dziećmi żyła, wierną czeladką otoczona, zdrowiem i cnotą rodziny się ciesząca!

— I tak będzie, duszo ty moja!

— Coby ci on mógł uczynić?

Zofja zastanawiała się chwilę; twarz jej powlekła się jeszcze większym smutkiem.

— Mógłby mnie zabić!... A ja pragnę żyć, dla niego i dla dzieci!.

IV.

O zdobytem mieście.

Ulice Torunia rozgrzmiały gwarem i weselem. Wszystko co należało do augsburskiego wyznania, tak Niemcy, jak i nieliczna garść Polaków wyległo na miasto, wołając: „Hoch, Karl Gustav unser König!" Zaczepiano żołnierzy szwedzkich, zapraszano ich do mieszkań i jadłodajni, ściskano i całowano dopytując o wszystko. Przed ratuszem, w którym ucztował Karol Gustaw z generalicją i niemieckimi dostojnikami Torunia, grała kapela wojskowa, przy dźwiękach której puszczano się w taniec bezładny, a namiętny, zasadzający się na skokach i wytupywaniu nogami par splecionych w uścisku.

Wprzepięknej radzieckiej sali ratusza ucztowano, wnoszono toasty i wygłaszano łacińskie i niemieckie mowy, będące od początku do końca przesadnemi i ubliżającemi godności wygłaszającego panegirykami.

Polska ludność w przeciwstawieniu protestanckiej, pozostawała w mieszkaniach, pełna trwogi i smutku. Przewidując możliwość rabunku i kontrybucji, obmyślano schówki, zakopywano pieniądze, klejnoty i drogocenne naczynia, radzono nad sposobami ucieczki i pewnemi schroniskami. Jedną z osób, które najgorliwiej może przykładały głowy i ręki do takiego dzieła, by-

ka pani Zofja Obertyńska. W pierwszej chwili namawiała męża, aby natychmiast opuścili miasto i skryli się na czas jakiś choćby w Tucholskiej puszczy. Ale wobec dokładnie strzeżonych bram niemożliwością było wyjechanie z Torunia końmi i z łubami. Część kosztowności przeto zaszyto w pościółkę dziecka, część oddano Szalicie do przechowania w jednym z licznych schówków kantorka, o których istnieniu on tylko i żona wiedzieli.

Wreszcie przygotowano zniszczoną i obszarpaną odzież, którą, na wypadek, gdyby Szwedzi zaczynali prześladować znaczniejszych mieszczan i panów polskich, mieli Obertyńscy przybrać, aby w ten sposób ukryć się przed wrogiem. Ale minęły dwa dni, a do gospody nie doszła wiadomość o jakichkolwiek represjach, lub nadużyciach. Karol Gustaw odjechał, pozostawiwszy w mieście załogę 1800 żołnierzy pod generał majorem Mardefeldem, którzy zostali rozlokowani po kordegardach. Żołnierze karmieni, pojeni i obdarzani przez mieszczan protestantów, mieli wszystkiego w bród, i o łupiestwie nie słyszano nigdzie, ani w bogatych kramach śródmieścia, ani w okazałych mieszkaniach, ani w spichlerzach miejskich.

Polacy zaczęli się uspokajać, nawet pani Zofja trzeciego dnia zdecydowała się wyjść z mężem do izby gospodnej, aby popijając słodką polewkę przysłuchać się rozmowom licznej kompanji. A było czego posłuchać; opowiadali — świadomi rzeczy,

że protestanci nieustanne skargi zanoszą przed Mardefelda na katolików, zwłaszcza na jezuitów, dominikanów i siostry benedyktynki, pomawiając ich o „zdradzieckie" znoszenie się ze zwolennikami konfederacji tyszowieckiej. Dalej mówiono, że generał nie przejmuje się tą gadaniną, z flegmą obiecując, że sprawy rozpatrzy. Słysząc takie zdanie ludzie, którym jakowa otucha potrzebna była wprost do życia, wnioskowali, że Mardefeld musi być mądry i sprawiedliwy i że jako taki wyrozumie, że katolicy, którzy najpiękniejsze swe kościoły pozostawiają w rękach protestantów, ograniczając się świątynią, św. Jana i kościołami: dominikanów i św. Wawrzyńca, już poza murami miasta leżącemi i tak są upośledzeni. Najwięksi optymiści przewidywali nawet, że uczciwy generał wejrzy jeszcze w krzywdy jakich doznają Polacy od rządzącej się autokratycznie Rady, ograniczającej żywioł polski w szkołach i cechach.

Dysputowano gorąco, wyrywając sobie słowa z ust, uchwalając najczęściej zgodne wnioski, jako że wszyscy przeciwnicy Polski od wejścia Szwedów do Torunia zapełniali wyłącznie gospody utrzymywane przez Niemców. Pani Zofja, choć cała jej myśl zaabsorbowana była rozmową gości z gospody, czuła od jakiejś chwili, że coś jak uparta mucha bląka się po jej twarzy, żądając zwrócenia jej na drugi koniec stołu. Podniosła oczy. Naprzeciwko, przy szklanicy midodu siedział młody chłopak

najwyżej lat szesnastu, który nie spuszczał oczu z jej osoby. Chłopak miał wygląd chudopachołka, szaty skromne, ale wyraz twarzy pewien siebie, nawet arogancki do tego stopnia, że ona, pani rodowa, żona możnego pana i od dwóch lat matka, pomimowoli oczy spuściła i starała się znowu zainteresować rozmową zebranych panów i mieszczan.

Po kilku minutach doszła jednak do przekonania, że wprost nieprzyzwoitem jest okazać, iż kobieta jej stanowiska wzięła do siebie zuchwałe spojrzenia pachołka i postanowiła spokojną i surową twarzą dać mu do zrozumienia, że nic sobie z niego nie robi. Gdy jednak spojrzała znów przed siebie, miejsce naprzeciw niej było opróżnione, szklanica wypita, a zuchwały chłopak stał oparty jednem ramieniem o szynkwas, rozmawiając z grubą Maryną, dziewką, roznoszącą napitki i jadło w gospodzie. Maryna miała wyraz zdziwienia na twarzy i odpowiadała snać wahająco, patrząc na nią. Serce pani Zofji załopotało w piersiach, jak ptak raniony, ale poczucie godności osobistej wzięło znów górę, odwróciła przeto głowę, postanawiając, przynajmniej pozornie, być zupełnie obojętną na zachowanie się dziwnego chłopca. Nie widziała przeto nawet, jak opuścił izbę i dopiero, gdy Maryna, zawezwana przez pana Ciecierskiego przyniosła mu grzane piwo, ocierając się o panią Obertyńską, ta rozejrzała się uważnie po zgromadzonych, a nie ujrzawszy wśród

nich zuchwałego pachołęcia, zapytała dziewczynę niby mimochodem:

— Cóżeś się, Marysiu, tak przyglądała mi przed chwilą?

— A bo jeden gość wielce się o jaśnie wielmożną przepytywał?

— O cóż się on pytał?

— A no, czy jaśnie wielmożnej Zofja na imię i czy jaśnie wielm. z kościerzyńskiego starostwa pochodzi.

— I cóżeś odpowiedziała?

— Odpowiedziałam, że jaśnie wielmożny wołają na wielmożną: Zosia, a że wielmożna nie z naszej pruskiej ziemi, ale przyjechała aż zdaleka, przed kozactwem uchodząc.

— I pocóżeś to mówiła? uniosła się pani Zofja.

— Albom skłamała?

Pani Zofja opanowała uniesienie.

— Ale bo poco, rzekła łagodniej, byle komu wyjaśnienia dawać?... Co takiemu dzieciuchowi o mnie rozpowiadać. Jakiś obieżyświat, oberwaniec.

— O nie miłościwa pani, to musiał być z pańskiej rodziny, ręce miał białe, całe nie urobione, a na palcu pierścień złoty, z tylim kamieniem, co się czerwienił jak krew.

— Jak krew, pomimowoli powtórzyła pani Zofja.

— Siła pieniędzy on musi mieć; i wczoraj i dzisiaj po kilka godzin przesiedział w gospodzie, każe sobie dawać i miody i wina

co najdroższe, a zamorskiemi bakaljami zagryza, nie pytając nawet ile co kosztuje.

— Wczoraj był także?

— Całe popołudnie przesiedział.

— Czy również pytał się o mnie?

— O nie, zgoła!

— O nic nie pytał?

— Pytać pytał, ale już nie pomnę o co?

— Przypomnij sobie... może ci to pomoże.

Wsunęła jej w rękę mały srebrny pieniążek. Maryna roześmiała się wesoło:

— Cości gadał... cości gadał...

— Nie pytał, czy tu mieszka młoda pani z panem, która...

— A jako żywo, jako żywo!... Skąd to miłościwa pani tak odgadła!... Jako żywo pytał, czy tu nie mieszka młoda pani z panem, pani co jest jasnych włosów i biała na gębie, z panem co jest włosów i gęby czarnej.

— A ty powiedziałaś, że mieszka taka para.

— No juści.

— Wtedy on poszedł sobie?

— O nie!... Pytał w jakim alkierzu miłościwe państwo mieszkają, na dole, czy na górze, czy ów alkierz ma jedno wnijście, czy dwa, czy wielmożny ciągle z miłościwą panią siedzi, czy miłościwa pani czasem sama ostaje...

— A ty mu na wszystko szeroko odpowiadałaś?

— Jako na świętej spowiedzi, nic nie zełgałam.

Powiedziałam, że wielmożny zawdy z wielmożną, od rannej Mszy u św. Jana począwszy.

— Nie mówiłaś, że czasem bywam sama?

— No jakże, przecie wielmożny wedle wieczora zawdy sam do ojców dominikanów na godzinkę odchodzi... Prawda, a wczorajszego wieczoru nie wychodził wielmożny!

— I cóżeś dostała za tak szczegółowe objaśnienia?

Maryna pokazała w uśmiechu białe, równe zęby.

— A żeby miłościwa pani wiedziała, że taki samiuteńki śrebrnik jako ten, co mi go wielmożna dała!... Złożę je do kupy w szkatułce, może im się dzieci urodzą!

Śmiejąc się odbiegła, bo ją do drugiego stołu, otoczonego przez kupców toruńskich wołano.

Pani Zofja trąciła z lekka męża, zajętego ożywioną rozmową z kilku ze szlachty.

— Romku, mam z tobą miłościwy mężu, pilno do przemówienia.

— Czy aże tak pilno, że nie dasz mi rozmowy dokończyć?

— Pilne to, nad wszystko pilne.

Pan Obertyński popatrzał w poważną twarz żony, spochmurniał z lekka i rzekł wstając:

— A no idźmy, kiej taka aśćki wola!

— Romku, zawołała pani Zofja, ledwie drzwi alkierza zamknęły się za nimi, musi-

my uchodzić, musimy natychmiast uchodzić!

— Przecz i dokąd?

— Dokąd zechcesz; tu nie możemy pozostać, Urfeld już dopytuje się o mnie!

I gorączkowo jęła opowiadać o pachołęciu. Pan Obertyński wysłuchał dość chaotycznych słów żony, a gdy skończyła, zapytał spokojnie:

— I co dalej?

— Nie wiem co dalej będzie!

— Ale to cała już historja, co ci takowego strachu napędziła?

— Czy to niedość?... Zapytuje jak położony alkierz, czy bywam sama?...

— Toć nie mniemasz, że cię siłą chce pojmać.

— To nie, ale może wpaść kiedy, gdy ciebie doma nie będzie.

— Niechby sprobował!

— A gdyby sprobował? Co może wyniknąć z tego? będziesz się z nim bił i on równie może cię usiec, jak ty jego.

— Gdzież jabym się bił ze źle urodzonym.

— Nie będziesz?

— Honor szlachecki mi nie pozwala.

— Jak Jasia miłujesz nie będziesz się z nim bił?

— Jak Jasia i ciebie miłuję!

— Jeśli tak, to już nie będę się bać.

— Bo też zgoła nie masz czego się obawiać. Że Urfeld się dopytuje o ciebie, zwyczajna rzecz, radby cię jeszcze ujrzeć. I ja mu tego nie wzbronię. Niech się ci napa-

trzy, niech się przekona, że przekleństwa jego ci nie zaszkodziły, że pełnego szczęścia zażywasz, bo wiadomo, że psie głosy nie idą w niebiosy.

Pani Zofja odetchnęła z ulgą.

— Tak, masz słuszność mężu, co on może nam zrobić?

— No widzisz, żeś rozsądna. Wracajmy przeto do izby; takie ciekawe rzeczy inci pan Norbert powiadał!

— Wróć ty sam, Romanku, mnie głowa od tych gawęd rozbolała i pragnę leđz jak najprędzej.

— A jak pod moją nieobecność wtargnie tu Urfeld i porwie cię niebogo?

— Droga mu przez izbę gościnną — tobie pilnować alkierzowych dzwierzy.

— Zaprę je plecami, a ty śpij spokojna.

— Czuję, że będę spać jak nowonarodzone dziecię, jak już od trzech dni nie spałam.

I rzeczywiście młody organizm pani Zofji domagał się spoczynku i pozwolił w głębokim śnie doczekać późnego zimowego ranka. Zbudziła się spokojna, silna i wesoła. Wykąpała dziecko w wielkiej miedzianej misie i ubrawszy zasiadła w fotelu, by nakarmić je słodką papką. Dziecko również było tego ranka weselsze niż innych; raz po raz brało w paluszki szczyptę z talerza i wkładało w usta matki, powtarzając pytająco: doble?

Miły ten rodzinny obrazek uderzył przyjemnie nawet roztrzepaną i niezmiernie żywą Szalitową, która około dziewiątej

sama przyniosła śniadanie pani Obertyńskiej..

— Miłościwa pani z tem dzieciątkiem, to jak Matka Boska ze św. Janem... Boże wybacz mi porównanie.

— Czemu właśnie ze św. Janem?

— Bo św. Jan przedstawiony jest na obrazie taki czerniawy, z ciemną kędzierzawą główką. Miłościwa pani biała jak mleko, a mały...

— W ojca się wdał!

— Tak, czysty tatuś.

— Wiecie, co wam powiem pani Szalitowo, on nie tylko, że z twarzy, i budowy ciała w małżonka mego się wdał, ale nawet ma na łopatce takie samo znamię, jakby dwie krople krwi, akuratnie takie, jakie i mąż mój ma na plecach, jeno trochę wyżej.

— To tak bywa; powiadają ludzie, że dziecko wtedy takie podobne do ojca, gdy matka kocha go nadzwyczajnie i na odwrót — do matki, gdy ta jest kochaną bardziej niż sama kocha... Moje dzieci oboje kubek w kubek do mnie podobne.

— To znaczy, że waćpani niedosyć kocha męża.

— O nie, ja go całem sercem miłuję; ale on mnie więcej; on mnie miłuje jak wielki pan, alibo jak wielki warjat!

— Sądzicie, że wielcy panowie mocniej miłować potrafią?... Siła mogłabym o tem powiedzieć!... Napatrzałam się onego kochania na wojewódzkim dworze!... I wi-

dzi mi się, że prostaczek raczej mocniej kochać zdolen.

— Prostaczek rzadko ma na to czas, z silnem przekonaniem zakonkludowała Szalitowa. Ot, niech to nie obrazi waszej miłości, ale porównajmy waszą miłość, a moją personę. Odkąd Toruń padł, mój małżonek jeszcze w dwójnasób zajęty; gospoda pełna ludzi, dzień i noc; a wasz małżonek, nic tylko przy waszej miłości siedzi, a pilnuje jej jako źrenicy oka swojego. Mnie się widzi, że gdyby tak kto do waszej miłości w koperczaki sunął, toby wasz małżonek ubił go na miejscu!... Ah prawda!.. Wedle tego ja dziś sama śniadanie waszej miłości przyniosłam, bo chciałam coś jej na osobności rzec, tak, żeby wasz pan a małżonek nie słyszał.

— Co takiego?... z wielkiem zainteresowaniem zapytała pani Zofja.

Szalitowa obejrzała się na alkowę.

— Mąż przyzostał na probostwie, gdzie na jakowąś naradę kilkunastu takich jak i my uciekinierów się zebrało... No, siadajcie, pani Szalitowo, i powiadajcie w czem rzecz.

Oddała dziecko piastunce, przykazała ubrać ciepło i wynieść na spacer. Gdy pozostały same znowu zwróciła się do Szalitowej.

— No, powiadajcie, gosposiu, co tam na wątpiach macie.

— A to chciałam wam rzec, miłościwa pani, jako wczoraj późnym wieczorem, gdy w gospodzie pozostali tylko ci, co na sło-

mie wedle komina spać mieli, przybył jakowyś pan i jął długo o waszę miłość a pana małżonka rozpytywać.

— I mąż wasz odpowiadał?.

— Juści, nie było co ukrywać, przecie o waszej miłości i panu Obertyńskim tylko dobre rzec można. Franek mój opowiadał, jako wczesną jesienią wasze miłości z Ukrainy tu przybyły; jak wasz małżonek do służby grodowej się stawił, jak czasu oblężenia w najniebezpieczniejszych miejscach bywał, a nadewszystko jak to was miłuje i szacunek świadczy, jakoby wiekowej matronie, nie takiej ledwo ze skrzata wyrosłej niewieście... Wasza miłość nie rada, że mój to rozpowiadał?

— Owszem, w tem wszystkiem niema nic skrytego. Takiemi wiadomościami można serce każdego prawego Polaka ucieszyć.

— A właśnie, że nie, miłościwa pani. Mój Franek, wiadomo, niedaleko patrzący jest, a jednakowie, gdy tak o powodzeniu i cnotach waszego małżonka powiadał, zauważył jako on gość mienił się na licu, a głownię szabli w garści ściskał. To przyszedłszy do mnie powiedział Franek: „Widzi mi się serce, że on gość, to jaki kawalir, któremu czarną podano polewkę, toć wielki rankor ku panie Obertyńskiemu żywie".... Wasza miłość wie kto to taki?

— Wiem, głucho odpowiedziała Zofja.

— Odpalony kawalir?

— Tak.

— Strzeżcie go się, miłościwa pani; Franek powiedział, że wielka determinacja z lica mu patrzy... Taki poszukać zemsty może!

Do twarzy pani Zofji uderzyły rumieńce.

— Niech spróbuje! zawołała. Co może on wobec mego małżonka, chudopachołek, mieszczanin!

Wyraz mieszczanin, wyrzucony z pogardą z ust Obertyńskiej, dotknął niemile Szalitową.

— Niesłusznie pogardą ku mieszczanom pałacie, rzekła żywo. Małoż to między nimi zacnych i zasłużonych?

— Jako żywo, jako żywo, pospiesznie przytwierdziła pani Zofja.

— U nas w Toruniu, niejeden wydał córkę za rodowego szlachcica, że dziś jest panią na zamku i włościach.

— Ja to wiem, kochana pani Krysto i wierzcie mi, że jeżelim o uczuciu Urfelda ani słyszeć chciała, to dlatego jedynie, że jest on luteranin, gorzej, bo odszczepieniec, który przed sześciu laty, wraz z całą rodziną wiarę świętą katolicką porzucił.

Wejście Obertyńskiego rozmowę dwóch kobiet przerwało. Szalitowa zabrała tacę z zastawą i pożegnawszy Zofję miłym uśmiechem, odeszła.

— Wiesz, Romku, odezwała się zaraz po jej wyjściu Obertyńska, Urfeld już wczoraj zdążył przyjść do naszej gospody.

— Ano pilno mu; raz dostał kilka batogów, może teraz dostać kilkadziesiąt.

— Obiecałeś, że nie zaczniesz z nim waśni.

—Toć i nie zacznę... Szczerze ci powiedziawszy nie mam żadnych złych zamiarów naprzeciw tego kundla. Toć za one zuchwalstwo, że na ciebie podnieść oczy się odważył jest aż nadto pokarany, że na nasze szczęście będzie poglądać. Żadnej ubligi mu nie uczynię. A gdy tak sądzono, że spotkamy się nie na jakowym dworze, ale w gospodzie, gdzie dworskiej polityki nie trza przestrzegać, bo się szlachta z mieszczaństwem i żołnierstwem społem spotyka, to i ja go niemal jak równego traktować będę.

W tej chwili wbiegła Szalitowa, zamówiła się potrzebą zajrzenia, czy nie została srebrna łyżeczka, przytem nachyliła się nieznacznie nad Zofją i szepnęła jej w ucho:

— Jest! przyszedł!

— Kto?

— Ów odpalony kawalir, odbiegła. stukając wysokiemi drewnianemi obcasami.

— Romku, odezwała się żona. Wiesz Urfeld już jest w gospodzie.

— Ano dobrze... Lepiej, że poznamy się przy szklanicy, niż gdybyśmy z kordem w ręku znajomość czynili. Przyjdź i ty, gołąbko, ale pięknie przystrój się wprzódzi, żeby wiedział zuchwały wielbiciel, że cię stać na brokaty i klejnoty.

Pani Zofja nad obyczaj długo przesiedziała tego ranka przy gotowalni; zbudziła się w niej miłość własna kobieca, pra-

gnąca olśnić wielbiciela i dać mężowi jak największą, moralną satysfakcję.

V.

Albin Urfeld.

Załopotało serce w piersiach pani Zofji, gdy wchodząc do izby gościnnej spostrzegła męża prowadzącego dyskurs z Urfeldem; był odwrócony do niej plecami, ale poznała go po rudawych kędzierzawych włosach i potężnym, czerwonym karku, który napełniał ją obrzydzeniem jeszcze za czasów, gdy była młodą panienką. Opanowała wzruszenie i zbliżyła się do stołu. Urfeld ujrzawszy ją porwał się z miejsca, sponsowiał na twarzy i złożył niezgrabny ukłon, który wyglądał na przypadnięcie jej do nóg.

— Bywaj, mościa małżonko moja, rzekł Obertyński, siadaj wpodle nas i posłuchaj ciekawych rzeczy, jakie jegomość opowiada.

Ale Urfeld spłoszony i zakłopotany był wielce, zaczął coś bełkotać, ale uczciwego zdania złożyć nie potrafił. Ulitowała się jego mizerji pani Zofja i pierwsza zagadnęła, skąd przybywa i dokąd zmierza.

— Przybywam z Kościerzyny, kędy od śmierci rodzica urząd burmistrza sprawuję.

— A na miły Bóg, wykrzyknął pan Ciecierski z Wąbrzeźna, jak może być ład w naszej Rzeczypospolitej, skoro dzieciuchy mleko jeszcze pod nosem mający, s u f r a g i a piastują.

Sponsowiał pan Albin.

—Dano mi godność gwoli wielkich zasług rodzica.

— To niedosyć... Wiadomo nieraz piękny v i r pokrakę spłodzi.

— Waszmość musiałeś się przy rodzicu przypatrzeć, a przyuczyć, jak miastem rządzić należy, podsunęła mu argument p. Zofja.

Spojrzał na nią z niezmierną wdzięcznością.

— Jako żywo, miłościwa pani.

Po raz pierwszy od wejścia Zofji odważył się objąć ją spojrzeniem, wyraz głębokiego zachwytu odbił się na jego twarzy. Uchwycił to Obertyński i pobladł.

— Małżonka moja podsunęła waszmości argumentum, przez serca nadmierną miękkość; ja przy niej nie mogę uderzyć psa, ani zadeptać robaka, bo dla wszystkiego co słabe i liche ma czułość w sercu niesłychaną.

Urfeld zagryzł usta, pomilczał chwilę i nagle — jakby za napływem niezwykłej odwagi, odrzucił w tył głowę i rzekł śmiało:

— Miłościwa rotmistrzówna zawdy takiemi sentymenty się odznaczała; znałem ją i podziwiałem dużo wcześniej od waszej miłości.

— Zbliska chybać jej nie podziwiałeś dla stanu nadmiernej różnicy.

— I świętych w obrazie zdala tylko widzimy, a jednak podziwiać ich możemy.

— Poco waszmość świętych wspomina, kiedyś się ich sromotnie zaparł na luterskie wyznanie przechodząc. Jakeś wierny religji tak i kobiecie na niedługi czas wiernym być byś potrafił!

— Poniechaj, Romku, szepnęła pani Zofja, czując, że się na burdę zanosi.

Ale jego zdenerwowała ta jej przestroga, więc żachnął się i rzekł głośno:

— Cóż tak orendujesz za panem burmistrzem burmistrzowiczem? Boisz się, żebym go batożkami przegnać nie kazał?

Porwał się Urfeld, blady jak ściana.

— Waszmość panie!... zawołał.

— No, no, bez poufałości, panie burmistrzu burmistrzowiczu, gdy nie możemy spotkać się na herbowych tarczach!

— Przecz mnie wasza miłość atakuje? przecz napada? Cóżem mu winien?... Ciesz się, żeś szczęśliwszy odemnie!

— Nie ja waszmości nieszczęść przyczyną!... Kto w nieswoich lasach poluje, snadnie łeb o jaki pień rozwalić może!

Urfeld wstał z miejsca, obu rękoma oparł się o stół i zwrócił bladą twarz ku Romanowi; wargi mu drżały, mówiąc chwytał powietrze, jak ktoś bliski omdlenia:

— Mości panie, podkomorzycu... Rzucasz mi w twarz ubligę jedną za drugą, przy kompanji licznej, która rzeczy całkiem nieświadoma łacno pomyśleć może, że jakowego łotra, ojcobójcę, alibo katowskiego potomka ma między sobą... Wedle tego... ciężko mi... trudno... trza rzecz wyznać, aby zaś prawdzie uczyniło się za-

dość. Panie starościcu, pogarda wasza nie na miejscu, rodzic mój, choć nie herbowy, z dziada pradziada wśród miejskich antenatów zapisanym bywał... Matka moja, Przewłocka, szlachcianka... — Zagrodowa!

— Chociażby!... Wiadomo, szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie!... Jeśli ojciec mój mógł szlachciankę, Przewłocką, poślubić, czemuż nie miałem marzyć ja o... Tak mości panowie, słyszeliście tu jak policzkował mnie imci pan starościc.... wspominał o batogach... Tak nie pierwsze przeżyłem w życiu, a wszystko dlatego, żem ukochał dziewicę nierówną mi stanem!...

— Waćpanowie lubicie teatrum? rzucił z ironją w stronę gości Obertyński, dopatrzywszy pewnego zainteresowania i współczucia na twarzy niektórych.

— Zaiste!... Niema co waszmościów moim bólem karmić. Powiem tylko jedno.. że gdy mnie tak nielitośnie przecz odrzucono, po przeżyciu pierwszych najsroższych serca mego męczarni, żyłem już tylko jednem pragnieniem, żeby miła moja wybrała sobie na małżonka szlachetnego męża... I oto w tej chwili dusza moja zalewa się żółcią, gdyż świadom jestem, że i tem Bóg nie pozwoli mi się ucieszyć... Bo nie jest szlachetny ten, kto pastwi się nad człowiekiem, który bronić się nie może, kto depce honor człowieka, nie mogącego poszukać satysfakcji, bo mego wyzwania nie przyjmiesz, panie starościcu!

Coś jak szloch wewnętrzny wstrząsnęło piersią Urfelda, poczem nastąpiła chwila przykrej ciszy. Obertyński, człowiek dobrego serca, żałował już w tej chwili niepotrzebnych zaczepek, ale miłość własna nie pozwalała mu rejterować. Natomiast pani Zofja całą duszą zapragnęła pocieszyć nieszczęśliwego wielbiciela i wyciągnęła ku niemu rękę gestem wielkiej pani, a zarazem dobrej kobiety.

— Niech waszmość nie bierze do serca przymówek mego męża; on z przyrodzenia taki krotochwilny!... Wszystko mu jedno, wojewoda, czy chudopachołek!... Z panięcia przynależącego do królewskiego rodu, jeszcze żarty stroić potrafi.

Urfeld ujął jej rękę białą, wąską, arystokratyczną, przypadł do niej ustami i nagle zaczął płakać jak dziecko.

— Tyle lat, tyle lat męczarni gorszych od piekielnych znoszę, szlochał.

Ale jej natura zawiele miała w sobie pierwiastków rycerskich, odziedziczonych po przodkach, aby to mazgajskie zachowanie, to publiczne wyznawanie niefortunnych uczuć nie miało napełnić niesmakiem. Cofnęła rękę, twarz jej powlekła się chłodem i rzekła krótko:

— Mówmy w innej materji.

— Racja! racja! mościa dobrodziejko, zawołał Ciecierski, bo od onych śluzów imci pana burmistrzowicza, sól docna zwilgła!

— Szkoda, koniec teatrum, westchnął złośliwie Obertyński.

Urfeld utarł głośno kilkakrotnie nos ogromną jedwabną chustką w kwiaty, wstał od stołu, zbliżył się do Wendorfa stojącego za ladą i wśród westchnień i chlipań, z odżyłej raptem miłości dla pani Zofji się spowiadał.

Wendorf przyglądał mu się z pobłażliwym uśmiechem.

— Na miły Bóg rzekł wreszcie, gdy nowe zabiegi około rozczulonego nosa imci pana Alfreda pozwoliły mu słowo wsunąć, jedno rzec można, że was ona nieszczęsna miłość nie ususzyła bynajmniej; wyglądasz waszmość jak dojrzały pomidor topioną sperką oblany.

— Prawdą jest, chlipał Urfeld, żem onej nieszczęsnej do cna zapomniał. Pierwszy rok palcem sobie gryzł, bieliznę na pościeli nocami darł; późniejszymi czasy.... toć chłop nie pustelnik... poznało się jedną, drugą dziewkę... a że te przepadają za mną....

— Te co w tłustem kochaniu się lubują, zaśmiał się Wendorf.

— ...przeto potrosze... potrosze... Przyznam się waszmości, żem od św. Bartłomieja zmówiony z Pelką Moździeńską...

— No to powinszować!

— Nasze gody małżeńskie mają się odbyć w zapusty....

— Tak, ale jak imci panna Pela Moździńska dowie się, jakoś w gospodzie pod Modrym Fartuszkiem moczył śluzami rękę pani Obertyńskiej, a sobie hajdawery, kto wie, czy cię nie poniecha!

— A niechże Bóg!... wyrwało się z ust Urfelda, ale nie dokończył wykrzykniku, zadumał się chwilę i dodał matowym głosem: może by tak i lepiej było!

— Gwoli czego?

— Wiadomo, ta która mi sądzona?

— Może pani rotmistrzowa Obertyńska?

— A może!

Wendorf parsknął krótkim śmiechem, potem porwał rękę Urfelda w kułak zwiniętą i wyrżnął nią go w czoło.

— Puknij się waszmość własną prawicą.

— Mości panie, szanuj we mnie godność burmistrza! Chociam wiekiem....

— A tam co się stało?... porwał się z miejsca Wendorf, skoczył do okna i jął gorliwie chuchać i wycierać rękawem zamarznięte szyby.

Tumult jakiś zrobił się na ulicy, snać zainteresował i inne osoby w gospodzie; ten i ów zrywał się z miejsca, biegnąc do okna, lub naciągał szubę czy opończę, kierując się ku wyjściu.

Na ulicy, wzdłuż wałów, biegł tłum wykrzykując i gestykulując żywo. Uderzającem było przytem, że w okrzykach Niemców przeważała nuta radosna, wśród Polaków słyszało się przedewszystkiem pytanie nacechowane niepokojem. Takież pytanie rzucono kilkakrotnie ze strony tych którzy wybiegli z gospody pod Modrym Fartuszkiem.

— Szwedy Jezuitów rugują! rzucił w odpowiedzi jakiś drżący z niepokoju mieszczanin.

Kilkanaście osób przyłączyło się do gromady biegnącej w stronę ulicy Łazienej. Ruszył też Obertyński, poprawiając z fantazją rysiego kołpaka, ale zatrzymała go żona.

— Już ku przodowi rwiesz?

— Zbiegnę tam; ujrzę co się dzieje.

— Co ma się dziać; przecie nic dobrego; jak w zwyczaju u Szweda: rabunek, krzywda!...

— Obaczę.

— Nie idź, Romku, w takowych okolicznościach nie trudno o guza, a i o krew i śmierć!

— Będę stał na boku, patrzący, jakobym szabli przy boku nie miał.

— Nie zdzierżysz; gdy ujrzysz jako któremu ojcu krzywda się dzieje!...

Wstrząsnął się Obertyński.

— Duchowna i bezbronna osoba!...

— Widzisz, Romku, już cię na samą myśl o tem złość niepomierna ogarnia, a szablę w garść wciska.

— Posiekam krwawe juchy na kapustę!

Nozdrza mu grały, oczy rzucały iskry; odsunął żonę i skoczył naprzód. Rzuciła się za nim i zawisła mu na ramieniu.

— Romku, mężu mój i panie, miej litość nad moją boleściwą duszą!... Nie wystawiaj na nową udrękę... Tylem się napłakała czasu oblężenia... aleś wtedy, rozu-

miem to, musiał na murach wśród obrońców ojczyzny stać! Ale tera poco zdrowy łeb pod ewangelję kładziesz?

Szarpnął się niecierpliwy.

— Ostaw... mogę się tam zdać... Słyszysz jak te bestje wyją złowrogo? Napotkam może panów Bażyńskiego, Czystochlebskiego, to tak samotrzeć....

— Dacie głowę!

— Ostaw, Zośka, bo cierpliwości brak.

Zarzuciła mu ręce na szyję, tuląc drobną głowę do jego piersi.

— Ropek, miej zmiłowanie, ja od onego nieustannego niepokoju docna chora jestem. Obaczysz nie porodzę zdrowej Magdusi!

Przez twarz Obertyńskiego przemknął dziecinny uśmiech.

— Bo ja też nie chcę Magdy, jeno Maćka!

Wtem jedne za drugiemi następujące strzały wstrząsnęły Obertyńskim; jak stary koń bojowy porwał się biec naprzód, że nie zdołała go żona zgonić, choć płacząc podbiegła jeszcze kilkadziesiąt kroków. Gdy znikł jej z przed oczu, wśród coraz gęstszych tłumów, stanęła, by się wydyszeć. Jednocześnie myśl przeniosła na mijające ją osoby, a widząc na twarzy stojącej naprzeciwko mieszczanki wyraz tej ciekawości, co to najtragiczniejsze racje czyjegoś dziwacznego zachowania rada doczytuje, zawstydziła się swej słabości, pod pretekstem chłodu wsunęła ręce w aksamitny

sobolami obszyty półszubek i podniosła je aż do oczu.

W tej chwili przysunął się do niej Urfeld.

— Miłościwa pani, zdrowo — li to tak biegać jako ta sarna goniona przez ogary?

Jakaś serdeczna troskliwość brzmiała w jego głosie, a ona, odtrącona przez męża, bez względu na stan jej, wymagający troskliwości, odczuła potrzebę takiego zadośćuczynienia ze strony czyjejkolwiek, więc podniosła na niego zapłakane oczy i rzekła:

— Małżonek mój zawdy zwykł rwać kędy niebezpieczeństwo może mu grozić; próżno błagam go, zaklinam, rycerska krew...

— Tak, widziałem, jako go wasza miłość jakoby samego króla jegomości upraszała, rękę jego do swych anielskich ust podnosząc; mało brakowało, a byłabyś go waszmość pani pod nogi podejmowała!

— Bo wiem, na co się naraża; wiem że jak ludzką krzywdę na własne ujrzy oczy nie będzie pytał, zali przeciw dziesiątkom czy setkom staje i do korda się porwie. Oczy jej znowu napłynęły łzami.

— Trzy lata minęły na św. Jan, jakem go poślubiła i w on niedługi czas już cztery razy rany mu opatrywałam i to raz jeden tylko przez miecz nieprzyjacielski zadaną, a tak zawdy jakaś zwada, jakaś burda...

— Względu na waszą miłość nie ma żadnego, a toć pojąwszy takiego anioła w

małżeństwo... Zająknął się; nie śmiał wyrazić całej swej myśli.

Wstąpili we drzwi gospody, które Urfeld, składając głęboki ukłon przed Zofją otworzył. Weszła z powagą i majestatem, bo w izbie kilkanaście osób rozmaitego stanu było, ale w tej chwili posłyszała krzyk dziecka, dochodzący z alkierzyka i pomknęła w tę stronę krokiem podlotka.

Mały nabił sobie guza o róg skrzyni, więc krzyczał w niebogłosy. Zofja wzięła go na kolana, a obsypując czułościami jęła przykładać chustkę maczaną w wodzie do stłuczonego miejsca. Dziecko łkało już coraz rzadziej; chwilami wstrząsało się nerwowo, i użalało niewyraźną mową.

— Wasza miłość niezmiernie kocha dziecko! zabrzmiało szeptem rzucone pytanie prawie w jej ucho.

Podniosła oczy; Urfeld stał przy niej; obejmując ją miłosnem spojrzeniem. Zrazu krew uderzyła jej do głowy, godność jej uczciwej kobiety i pani z możnego rodu pochodzącej wzburzyła się na widok tego śmiałka, co odważył się nieproszony wstąpić, aż tu do alkierza, śmiałka, co zapominał nierówności stanu! Ale wnet jakiś złośliwy duch podsunął jej pragnienie szukania choć słabej zemsty nad mężem za nieczułość na jej prośby, przez dopuszczenie do familjarności tego, co okazywał jej cześć i czułość niezmierną, więc po krótkiej chwili namysłu, rzekła z głębokiem przekonaniem.

— To moje największe na świecie ukochanie.

— Miłujesz go waszmość pani więcej od małżonka?

Zastanawiała się chwilę.

Nie wiem, co na to rzec waszmości.... Kocham ich bardziej od własnej persony.

— Ale gdybyć ci wybierać przyszło, za kim byś wasza miłość poszła?

—No pewno, że za dzieckiem; on da sobie radę i bezemnie, ale dziecko!... Biedny mój robaczek lichy!

Jęła całować rączki malca i tulić go do piersi. Jego rozczulił ten widok i z właściwą sobie czułostkowością uderzył w łzy, wyrzekając na swe sieroctwo, na pustkę w burmistrzowskich apartamentach w kościerzyńskim ratuszu, nad nieziszczalnym marzeniem posiadania dziecka ukochanej kobiety.

Tak rozmawiających zastał ich w alkierzu wracający z miasta Obertyński. Był zły i zirytowany. Patrzał na krzywdę ludzką, ale nie tę co krwią opływa, trupami się znaczy, nie na tę, która swą jaskrawością kołacze do serc szerokiego tłumu, sposobiąc go do zemsty i walki. OO. Jezuici opuszczali rozległy swój gmach bez protestu, patrzyli na gwałt sobie czyniony bez łzy. Wyszli parami, z ojcem przełożonym na czele, mieszając swe czarne postacie w jaskrawe tłumy, na utyskiwania katolików odpowiadając z przekonaniem: Bóg jest miłościwy; przyjdzie czas, że sprawiedliwości jego uczyni się zadość! I ta wła-

śnie bierność, to zgadzanie się z losem rozsierdziło pana Romana. Biegnąc ku kolegjum Jezuitów z gronem takich jak on ludzi o gorącej krwi i dzielnym ramieniu, miał nadzieję, że przyjdzie do zwady z luteranami i rokował zwycięstwo. A oto przez długi kwadrans pasł oczy swoje widokiem jawnego i butnego zwycięstwa nieprzyjaciół, napełniał uszy triumfalnymi okrzykami protestantów i obelżywemi wyrazami rzucanemi w stronę pokornie opuszczających swą siedzibę zakonników. Czuł się jakby współwinnym w tem ich upokorzeniu, wściekły był na siebie i swych współwyznawców, swój zły humor rad był wyjawić na pierwszym lepszym, byle w krzykach i wymysłach trochę złości z serca odrzucić.

W złą godzinę przestąpił Albin Urfeld próg alkierzyka zajmowanego przez Obertyńskich. Siedział na brzegu zydla, gdy wszedł pan Roman, prawą nogę zgiętą w kolanie, trzymał nisko nad ziemią, jakby gotów w każdej chwili przyklęknąć, trzymał się w przywoitem oddaleniu od pani Zofji, rozmodlone tylko oczy na twarz jej zwracając. A jednak sam widok tego człowieka w poufnych warunkach prywatnej ich sypialni, tego człowieka, który nie tylko nie skrywał się, ale niejako czynił paradę ze swych uczuć, wstrząsnął nim do głębi.

— A ty co tu w moim!... zabełkotał z wściekłością, ja ci tu!.... Waćpani jak śmiałaś wpuścić onego szubrawca?...

— Ja sam, przez przyzwolenia jej miłości tu wszedłem, i bez złych zamiarów, wybełkotał Urfeld.

— Ty mi jej nie broń, co między małżonkiem a małżonką...

— Śmiertelnie się boję, że ją waszmość sponiewierasz.

Twarz Obertyńskiego przybrała wyraz straszny.

— Orędownik!... widzisz go, orędownik!... Myślisz że twoje argumenta do ucha mego trafią?... A to moje argumentum! moje! moje!

Wydobył szablę i płazował nią Urfelda po twarzy, głowie i plecach, które wnet zwrócił do niego uciekający z przerażeniem burmistrz. Obertyński biegł za nim przez izbą gościnną nie przestając zadawać razów, aż krew zaczęła znaczyć ślady uciekającego. Przy samych drzwiach dopadł go jeszcze Obertyński, obalił na ziemię i skopał podkutemi butami, poczem drzwi otworzył jak szeroko i wyrzucił w zabłocony śnieg u progu gospody.

W izbie porwali się wszyscy, patrząc na nierzadkie w owe czasy, a jednak zawsze nowe widowisko.

Obertyński sapiąc z wściekłości, ponura, zczerniałą twarz obrócił na zebranych i szepnął groźnie: A teraz z jejmością się rozprawię!

A ona stała już w progu alkierza, śmiertelnie blada i szła ku niemu nieustraszona z dzieckiem na ręku.

— Do izby jejmość! krzyknął Obertyński, nie wstyd — li tobie oczyma jeszcze tu wśród ludzi świecić po tem co zaszło?

— Właśnie po tem co zaszło słuszna i konieczna rzecz, abym tu stanęła i do oczu wszystkim waszmościom, którzy z onego wyrzucenia imci pana Urfelda, jakby jakiego gacha in flagranti schwytanego, snadnie krzywdzące moją personę domysły powziąć mogą. Więc oto klnę się na Chrystusa Pana, Matkę jego Najświętszą i cudowną Trójcę, że imci mój małżonek złość surową wywarł na burmistrzu z Kościerzyny za to jedynie, że jako gość pod nieobecność pana małżonka do alkierza wejść się ośmielił. Klnę się na to dziecko, które jest także święte w swej niewinności, że nawet słowa obrażającego sumienie uczciwej kobiety żadne z nas nie wymówiła. Świadkiem dziewczyna służebna.

Zakryła twarz rękami i zapłakała.

— O mężu, mój mężu! przecz stawiasz mnie w okolicznościach, że jak zbrodniarka publicznie submitować się muszę!

Tu podniósł się pan Jan z Pelplina i rzekł poważnie:

— Nie rozżalaj się, Zofjo, miłościwa siostrzanowo moja! Słuszność przyznać każe, że nieprzystojnie postąpiłaś, obcego mężczyznę za próg swej sypialni dopuszczając...

— Ja rada byłam precz go wyżenąć, ale nie śmiałam... Myślałam: pomyśli, że go o najgorsze zamiary posądzam, a ta-

kowe miewają wedle białogłów, co przychylnem okiem na występki przeciw alkowie małżeńskiej patrzą; przed samą sobie pomyśleć nie śmiałam!

Wstyd kraśnym rumieńcem wybił się jej na jagody; piękną była w oburzeniu swym i żalu.

— No słuszna, słuszna mówił pelpliński pan, prawda i szczerość wypisana na licach twoich. Toż padnij panu małżonkowi do nóg, a przebaczy ci lekkie przewinienie.

I usiłował skierować ją za ramię ku mężowi ,ale ona odsunęła się dumnie.

— Przecz ja?... On mnie o przebaczenie prosić winien, za on wstyd, który tu przeżyłam!... I nie wiem, czy mu przebaczę!

— A, brzydka wątpliwość, mościa dobrodziejko! Co zaś, czy takowe postępki nie bywały po wsze czasy ad use?... A nasza święta królowa Jadwiga nie przechodziła przez podejrzenia? nie musiała to odprzysięgać się i publiczne sądy przechodzić! Wspomnij na to, a lżej ci będzie tę przykrą chwilę przetrwać! Najwinniejszy tu zuchwały burmistrz z Kościerzyny, ale też — słuszną otrzymał zapłatę, gdy jak zbity pies przed szablą pana Romana uchodził.

Parsknął śmiechem, któremu wtórowali wszyscy zebrani na sali, łatwo od jednego do drugiego przerzucający się uczucia. Nie śmiało się tylko ich dwoje; markotni i zasromani spieszyli zejść ludziom z oczu

wchodząc do alkierza, skąd długo jeszcze dochodził do gościnnej izby odgłos rozmowy nacechowanej gniewem, potem perswazją, wkońcu zobopólną czułością.

. . . . . .

Słońce było jeszcze wysoko nad horyzontem, ale w mieszkaniu Hermana Eskena przy ulicy Białej mrok już panował zupełny. Zwłaszcza w gościnnej sali pierwszego piętra, której okna porżnięte gęstym deseniem oprawy ołowianej i zczerniałych szkieł witrażu, skąpo sączyły zabarwione światło, jaskrawe tylko palenisko szerokiego komina dawało tyle blasku, że można było rozpoznać bogate urządzenie, na które składały się przepiękne, drzewną mozaiką wykładane szafy i kantorki, olbrzymi kredens rzeźbiony, obarczony przebogatą srebrną zastawą gdańskiej roboty, skrzynie inkrustowane perłową masą i kawałkami barwnych metali wschodniej roboty, wreszcie dywany, różnorodne, francuskie, obok perskich, niemile odskakujące od siebie różnością smaku.

W pobliżu komina na pufach, złożonych z trzech wschodnich poduszek, siedziało dwóch ludzi: właściciel domu, człowiek w podeszłym wieku, niezmiernej tuszy, ubrany w jedwabny kaftan w modne paski i fez na głowie, oraz Albin Urfeld, również w stroju niekompletnym bo w samym żupanie z pięknego brokatu, bez kontusza i pasa. Długiemi obcęgami przerzucał głownie w kominie, raz po raz mamrocząc coś przez zęby z widoczną złością.

Esken palił fajkę z bursztynu, osadzoną na cybuchu sięgającym ziemi, co mu wraz z fezem i wschodniemi pantoflami podobieństwo do Turka nadawało..

Mówili z sobą po niemiecku i półgłosem.

— Jak jucha da się pochwycić, a wygada kto z czem go słał, obaj nałożym głową, wyszeptał Urfeld.

Esken zaśmiał się grubym głosem, ręce splótł na brzuchu i mówił nie wypuszczając z ust cybucha.

— Mogłoby się to stać, ale nie w naszym Toruniu i nie za dzisiejszych czasów, gdy Bóg wszechmogący w swej łasce bezmiernej mądrą i zacną opieką imperatora Carolusa Gustava ku obronie wszystkiego co przez Polaków uciśnione, nam zesłał! Ja ci raczej powtórzę raz jeszcze radę, którą dawam od początku: jeśli Rudolf i teraz z niczem powróci, cofnij rozkazanie, które mu dać raczyłeś, a imci pana Romana Łukasza, dwóch imion Obertyńskiego, co się... Jakim to ptakiem on rycerz, co to od tyłu napada, się pieczętuje?.. Sową?...

— Jastrzębiem.

— Zatem owego pazurzastego Jastrzębia przed sąd jego majestatu króla szwedzkiego staw i niech go z właściwemi honorami dla przykładu, na rynku kat zetnie!...

— Nie!... nie!... Za żadną cenę nie przyjmę rady wuja jegomości.

— Boś głupi!

— Nie, bom przewidujący! Ścięcie na rynku, tak, to by mi się nadewszystko wi-

działo!... Rynek nabity widzami, wszystkich oczy zwrócone w jedną stronę, przepychają się, wspinają na palce, z ust do ust podają zauważone szczegóły, a tam na środku szafot wysoki, na wierzchu szmat czerwonego sukna... nie żal go, że się krwią splami, niech świat wie, że tam nobilis, karmazyn, głowę daje, niech wie, że ta krew przecie nie błękitna, lecz czerwona, taka sama jak ta, która płynie w żyłach nas mieszczan, w moich żyłach choć wy panowie coś o podłej barwie mówicie!

— Tak, tak, przywtarzał, kiwając głową Esken. Toż mówię ci, nie pozbawiaj się takiej szerokiej zemsty, nie pozbawiaj się rozkoszy ujrzenia go śmiertelnie bladym, prowodzonym przez kata.

— Każe mu uklęknąć przy pieńku... zegnij dumne kolano, przed tym tłumem mieszczan, który zażądał krwi twojej!... On twarz składa na pniu, podaje hardy kark... mignął miecz w słońcu, spada głowa, bije jeszcze powiekami, porusza zsiniałemi ustami...

— No widzisz, widzisz Albin... Nie lepiej tak, jak ja radzę!?

Urfeld wyciągnął ramiona, aż zatrzeszczały w stawach, potem załamał splecione palce na głowie i chwilę tak siedział z zamkniętemi oczyma, jakby chciał lubym widzeniem duszy dłużej się nacieszyć. Ale gdy podniósł powieki, oczy jego miały wyraz mętny, kąty ust zacisnęły się jakby z wewnętrznego bólu.

— Nie, nie!... Bóg nie ma mnie w swych łaskach do tego stopnia, abym miał tak rozkosznej zemsty doczekać!... Oddać go pod sąd, pod miecz katowski!... Sąd potrwa przynajmniej kilka dni, tymczasem on może uciec, mogą go przyjaciele odbić z więzienia, może los odwrócić się od naszych opiekunów i w rezultacie doczekałbym się tego, że raz jeszcze....

— Musiałby Fryc czyścić sromotne ślady szponów jastrzębia na górnej części twego dolnego ubrania, zaśmiał się rubasznie Esken.

Porwał się Urfeld z pasją.

— Nie! nie!... jak Bóg żywy!... ja muszę go!... W tej chwili otworzyły się wąskie drzwiczki w pięknem barokowem obramowaniu i bez ceremonji, hałaśliwie, wszedł wyrostek znany nam z pod Modrego Fartuszka. Stanął wyprostowany, wesołą, pucołowatą twarz zwrócił w stronę siedzących. Skoczył ku niemu Urfeld.

— No co?... Z czem przychodzisz?

Chłopak gwizdnął tak przeraźliwie, że zdenerwowany Urfeld zatkał sobie oba uszy, krzywiąc się niemiłosiernie.

— Cicho!... Nie drzyj się tak, bo ci łeb ze skóry obedrę.

Na te słowa przybyły wywinął nagle koziołka, na moment stanął na głowie, wreszcie począł posuwać się ku Urfeldowi na rękach, zlekka kołysząc sterczącemi w górę nogami.

— Oj Rudolf, Rudolf, ucieszny błaźnie! wołał Esken śmiejąc się do rozpuku.

Ale Urfeldowi mniej podobały się sztuki Rudolfa, porwał cybuch i palnął nim chłopaka przez nogi. Wrzasnął, tym razem szczerze i wnet stanął na równych nogach.

— Miłościwy panie, nie ma żadnej miłości bliźniego wobec pokornego swego sługi, zaczął jękliwym głosem.

— Bo mi dziś twoje psie figle zgoła nie do smaku... Powiadaj, czegoś się dowiedział!

— Kiedy mi dech od wielkiej boleści w pięty poszedł.

Urfeld zbladł z pasji; cybuch silniej ścisnął w garści i z zaciśniętemi zębami parę kroków ku Rudolfowi postąpił. Chłopak widząc, że to nie przelewki, spoważniał, cofnął się pod ścianę i wyrecytował:

— Nim słońce zajdzie, może wasza miłość mieć zadośćuczynienie.

— Gdzie będzie?... z kim?...

— Dziś u Mildy na Mokrem ma kolasę oglądać, którą on, Milda, od uchodzących Polaków nabył, a na zbycie przeznaczył.

— Gdzie szukać owego Mildy?

— Wie wasza miłość gdzie kuźnia?

— Wiem.

— Za kuźnią ze dwie staje w polu na lewo jest dom Mildy wśród ogrodów położony.

— Sam idzie oglądać onę kolasę?

— Nie, towarzyszy mu on wielmoża, co go pielgrzymem z Pelplina nazywają.

— Aha, Jezłowicki!...

Przeszedł się kilka razy po komnacie i stanął znowu przed Rudolfem.

— Czy aby nie łżesz?

Chłopak z flegmą ramionami ruszył.

— Pocobym łgał, i tak nie zapłacicie mi aż gdy się spełni, to co ma się spełnić.

— Ale bo pocoby on kolasę kupował?

— Mają nią z żoną, dzieckiem i wszelkiemi łubami w Kościerzyńskie jechać; jejmość wielce o to nalega.

Urfeld gorączkowo przetarł czoło.

— Aha, do pani matki!... Uszliby mi, ani chybi.

Przeszedł się kilkakrotnie po pokoju i stanął znów przed Rudolfem.

— U Iszena byłeś?

— Nie!

— Wszakżem ci kazał!

— Okrutne smrody wedle Chełmińskiej bramy od onych porzezanych łyczków polskich co miłościwych panów Szwedów do naszego grodu puścić nie chcieli!

— Dam ja ci łajdaku takiemi sprawami się troszczyć!... Jak śmiesz nie stosować się do moich rozkazów!... I cóż mi z tego, że wywiedziałeś się gdzie dziś mogę spotkać Obertyńskiego, gdy musiałbym chyba sam!... A to nie może być!... Nie może być!

Oczy Rudolfa rozbłysły wesołością.

— Wszak ci idzie miłościwy panie jedynie o to... Knik!...

Wyrazistym ruchem uczynił gest, jakby przebijał kogoś, czy coś w powietrzu.

— Tobie nic do tego!...

— Jakże ma mi być nic do tego!... Toć Iszem nie za darmo oporządziłby Obertyńskiego. A to taki mały zachód!... Miłościwy panie, dodał ńagle płaczliwym tonem, rzuć okiem na szpangi moje... Toć to sito, istne sito,.. Małgosia, Wilhelma, mistrza włóczków córka, oczkiem na mnie mile zerka, a możeby i rączkę podała, gdybym w onej dłoni pierścieńczynę jakową dzierżył.. Możeby i ust purpurowych kielich ku mnie zwróciła...

— Milcz!... Co mnie to wszystko obchodzi!

— Obchodzić cię winno, bo jeśli czeskie czy pruskie grosze zamiast bisurmańcowi dasz prawemu luteraninowi, słudze twemu powolnemu!...

— Ty mi Iszema nie zastąpisz!

— Czemu by nie!... Knik!...

I wykonał znowu gest obiecujący.

— Za młody jesteś na to!

Twarz Rudolfa rozbłysła brzydkiem ukontentowaniem.

— Miłościwy panie, ja mam już taką wprawę!

Urfeld stanął przed nim i zapuścił spojrzenie w złą twarz chłopaka.

— Wiem, żeś zbrodniarz urodzony, ale tu trzeba jeszcze siły i męstwa... napadnięci będą się bronić....

— Spodziewasz się męstwa u Iszema!... Toś trafił!... To tchórz jak każdy najmujący się zbrodniarz i jeśli liczysz się z moją radą to ci powiem, że takie sprawy le-

niej załatwiać przez własnych najemników chociażby mniej... wprawnych!

Zegar na ratuszu jękliwie wydzwonił cztery kwadranse, a potem zahuczał godzinę trzecią. Urfeld porwał się.

— Iść już czas!

— Jeszcze pora!

— Ty mnie nie ucz, szubieniczniku!

— Rudolf ma rację, odezwał się Esken. Niebezpiecznie nawet zbyt wcześnie wychodzić. Ujrzy was za dnia ten lub ów, wedle Mildy kręcących się, to, po znalezieniu trupa, przy dochodzeniu, kto mordercą, snadno na ciebie mogą wskazać.

— Jak kocham królowę Sabę i księżniczkę ze szklanej góry, radzę, abyśmy dopiero o zmroku mury tego domu opuścili.

— Tak, a tymczasem on umknie nam w kupionej kolebce.

— Toć targ potrwa chwilę, wmieszał się Esken. Przytem, Milda spolszczony, przez matkę i żonę uszlachcony mówią, że papiery sobie jako Milski wyrabia...

Gdy w progi jego wstąpią zacni goście, wątpię, żeby wypuścił ich bez poczęstunku.

— I mnie się tak widzi, a w takim razie dobrze jeśliby wyszli na pierwszych wart zmianę dodał Rudolf.

Urfeld przetarł czoło i wielkiemi krokami począł mierzyć komnatę.

— Wasza miłość, śmielej znów odezwał się Rudolf.

— Czego chcesz?

— Gardło mi wyschło jak gliniasta rola w upalne lato; brzuch skowyczy pusty, jak obszerna pieczara, w którą schroniły się wilki.

— Małoż wziąłeś odemnie pieniędzy na picie i poczęstunki przy przeszpiegach!

— Powiedz Frycowi żeby dał ci piwa i co do przegryzienia, odezwał się Esken.

— Dzięki waszej miłości składam.

— A trzymaj się w pogotowiu na moje wezwanie, dodał Urfeld, poczem wziął leżące na skrzyni suknie i gorączkowo począł przybierać się w ciemną opończę i wypróbowywać kaptura, zali dostatecznie twarz przysłania. Esken patrzał na niego z pod przysłoniętych powiek; na jego otyłej, apatycznej twarzy niktby nie wyczytał, czy aprobuje zamiary siostrzana, czy też jest im przeciwny.

Urfeld po dokładnem zlustrowaniu przebrania w zwierciadle, otworzył szkatułkę z czeczotkowego drzewa i po chwilowem przerzucaniu wypełniających ją drobiazgów, wydobył sztylet oprawny w jaszczur koralami sadzony; pochwę włożył z powrotem do pudła, na stal kilkakrotnie chuchnął i z lubością patrzał jak drobniutkie wilgotne kropelki szybko ustępowały z błyszczącego ostrza.

Esken tymczasem dopalił fajki, strząsnął popiół z niej do komina i rzekł z flegmą.

— Więc zabijesz Jastrzębca... na śmierć zabijesz!... A co potem?...

Odwrócił się do niego Urfeld, jakby nagle zaskoczony pytaniem.

— Będę się napawał zemstą.

— Tak...

Splunął w komin, wydobył bogaty kapciuch i jął nakładać fajkę.

Długą chwilę panowało milczenie.

— Czy mścisz się tylko tego wyrzucenia cię z gospody, owego wieczoru gdy to jezuitów...

— Ja mszczę się wszystkiego!... Mszczę się za siebie i za innych!... Mszczę się udręczeń i upokorzeń, jakich doznawałem od chwili, gdym się z mym afektem dla szlachcianki Pawelskiej był zdradził.

— Masz słuszność!... Syn starego rodu mieszczańskiego, spokrewniony z najwspanialszemi rodami w grodach pomorskich osiadłemi, tak myśleć i mówić powinien, ale w takim razie niedość zabić jego!

— A co jeszcze?

Urfeld pobladł, oczyma zawisł na ustach Eskena, jakby pragnął usłyszeć z nich zdanie, którego sam w umyśle swym nie śmiał sformułować.

A Esken najspokojniej zapalał węgielkiem fajkę i dopiero pyknąwszy nią kilkakrotnie i puściwszy dym kącikiem ust, rzekł niewypuszczając z ust cybucha.

— Trzeba ją zmusić do poślubienia ciebie!

Sztylet z rąk Urfelda wypadł z brzękiem na podłogę, odpowiedziały mu echowo srebra rozstawione na kredensie i poli-

cach, biegnących wzdłuż dębem wykładanych ścian komnaty.

Esken pyknął znów kilkakrotnie i cedził przez zęby:

—Trzeba pokazać światu, że i mieszczanin może wziąć górę nad szlachcicem, że i jaśnie wielmożna może podać przy Sakramencie rękę „źle urodzonemu".

Urfeld gorączkowym krokiem mierzył komnatę, potem stanął nagle przed Eskenem:

— Sposób!... dajcie mi sposób!

Esken długą chwilę delektował się fajką.

— Ach, nie mordujcie mnie!... Ukazaliście projekt niezrównany i oto pogrążacie mnie w rozpacznej niepewności!

— Różne są sposoby... Ale dla kobiety zamężnej i matki jest jeden najpewniejszy niezawodny nawet — to dziecko!

— Jak to rozumiecie?

— Trzeba ją pozbawić dziecka....

Wstrząsnął się Urfeld.

— Ach, dzieciobójstwo!... Wstrętne!... Herodem nie jestem!

— Pozbawić dziecka na czas jakiś... niech ma je za stracone, a potem powrócić! Niech wierzy, że przez twoją tylko łaskę i poświęcenie dziecko odzyskuje... Jak to uczynisz twemu pozostawiam dowcipowi.

Przy pierwszych słowach Eskena na twarzy Urfelda malowało się natężenie, jakby z trudem obejmował myślą szkic odległego planu; po chwili jednak twarz rozbłysła mu pożądaniem.

— Gdybyż to było możliwe!... Posiadłszy ją byłbym dla niej dobrym, nie mściłbym się ani na niej, ani na dziecku... tak mi Boże dopomóż!

— Zali miłujesz ją?

Urfeld znowu przez chwilę zbierał myśli.

— Pożądam jej!

— Życzę ci jej całą duszą.

Długo Urfeld przechadzał się po ciemnym pokoju; ciężkie jego kroki to rozlegały się głucho po kamiennej posadzce, to milkły, gdy wstępował na kobierzec. Esken palił fajkę i jękliwie zawodził pod nosem coś jak żałobne psalmy. Zegar wydzwonił godzinę czwartą.

— Wuju, rzekł Urfeld, stając nagle przed Eskenem, ja nigdy nie przypuszczałem, że miłujecie mnie tak wielce, że aż tyle zainteresowania mi okażecie; tyle dołożycie z duszy i mózgu waszego do moich niedołężnych planów zemsty!... Czemże, czemże zdołam się wam odwdzięczyć!?

— Nie potrzebuję twojej wdzięczności!

— Obowiązany do niej jestem!

— Mówię ci, możesz wdzięczność dla mnie w sakwę włożyć i wynieść wychodząc z tego domu, a potem w pierwszą kałużę ją wysypać.

— Zanadto skromny jesteś wuju jegomościu.

— Rzekłem jak jest... Ja pragnę byś zabił Jastrzębca, ja pragnę byś poślubił jego wdowę.

— Tyle dobroci!....

— Pragnę tego nie gwoli temu, aby mnie tak wielce obchodziło, czy umiłowaną białogłowę do swej łożnicy wprowadzisz; ale pragnę abyś do naszego rodu wprowadził oną szlachciankę, Polkę, oną magnackiego rodu latorośl. Chcę, abyś krwawo pomścił doznaną obelgę, nie dlatego, że spotkała ona mego siostrzana, syna mej rodzonej siostry, ale, że spotkała ona jednego więcej mieszczanina, jednego więcej Niemca, ze strony szlachcica i Polaka!

Podniósł się, wsparł na cybuchu i mówił z wzrastającym ogniem:

— Nienawidzę ich! brzydzę się nimi!... Pragnąłbym, żeby choć ten piękny nasz gród spłynął krwią polską z końca w koniec! Pragnę, żeby te wszystkie kamienice i gmachy publiczne i wszystkie ziemie Pomorza stały się wyłącznie niemieckiemi! Za wszystkie upokorzenia, których doznałem i z każdym dniem doznaję! Ja!... stary obywatel Torunia, rajca miejski, najbogatszy kupiec, mający więcej złota i skarbów w tej kamienicy niż wojewoda i prymas razem, jak ja byłem traktowany przez polską szlachtę?!...

Ubiegali się o moje względy, to prawda, boć najpiękniejsze towary wschodnie: kobierce ze Smyrny, szale z Indyj, broń z Damaszku, wonności z Carogrodu, kto zakupywał za niesłychanie wysokie ceny, jeśli nie Esken! Za każdym razem gdy przybywałem ze wschodu, kolasy i poczty pańskie stawały przed moim domem nieledwie co dnia. Ale ci pa-

nowie co u mnie kosztowności targowali, jak odzywali się do mnie: mój Esken!... mój Esken!... Bodaj się dziesięciorako udławił temi wyrazami, wypowiadanemi łaskawym tonem!... A niejeden rozgniewany o to, że innemu sprzedałem piękną szablę, czy wschodnią makatę, zwymyślał mnie od durni! błaznów, bydląt!... Oh!... Kilkadziesiąt takich wyrazów spadło na moją głowę, na mnie prawego kupca, obywatela bogacza, a ja pragnąłbym za każde choć jednego szlachcica, Polaka widzieć rozciągniętego trupem na ulicy Torunia! Dlatego masz moją rękę!... Gotów jestem niejedną ofiarę ponieść; gotówem złotem i srebrem hojnie ciskać, byle raz jeszcze przed zgonem oglądać własnemi oczyma straszne oblicze zemsty zwrócone ku Polakom!

Gorączkowo podał mu rękę, którą Urfeld pochwycił, cisnąc w swych dłoniach.

— Pokażę ci je! pokażę!... zwrócone moją prawicą!... —

— Niech Bóg cię prowadzi!

Urfeld zarzucił opończę, kaptur zasunął na czoło i dwukrotnie klasnął w dłonie. Po małej chwili ukazał się Fryc w drzwiach.

— Niech Rudolf stawi się tu przedemną. Daj mu opończę z kapturem i jaki kostur do ręki.

Niebawem małemi drzwiczkami wsunęła się nikła postać w czerwonym płaszczu.

— Masz sztylet, ale nie waż się użyć go bez mego rozkazu!

— Pokorny sługa waszej miłości.

— Patrz, w ręku mam drugi, gdybyś chciał ujść, lub zdradzić...

Wykonał wymowny ruch sztyletem i wyszedł za pachołkiem na ciemną klatkę schodową.

VII.

W podmiejskim dworku.

W jadalnej sali dworku Wincentego Mildy — Milskiego służba kończyła zapalanie świec woskowych w mosiężnych świecznikach artystycznej roboty. Ochmistrzyni, Matylda Jeniszówna, z dwiema pannami, pół służebnemi, pół respektowemi zastawiała stół okrągły obfitem jadłem na srebrnych półmiskach, owocami w złotych koszykach i omszałemi butelkami. Robota szła składnie, pomimo to imci panna Matylda nie przestawała gderać póki nie umilkła, wobec wchodzących gospodarza domu z małżonką.

Pan Wincenty Milda, urodzony z matki szlachcianki, Doroty Knutówny, starościanki drohickiej, poszedł pomimo to drogą swego rodzica, prowadząc sumiennie handel zbożowy uzyskany w spadku i przewyższając ojca w urzędzie, bo syn ławnika sam do godności przewodniczącego sądu miejskiego doszedł, choć na czas krótki, gdyż ze wzmożeniem się przewagi luteran w mieście, po roku urzędowania utrąconym został. Natomiast król jegomość, gdy Milda nawiedzonej głodem sieradzkiej ziemi trzy szkuty zboża darmo nadesłał, przy

chylił się do jego najgorętszego życzenia, czyniąc go szlachcicem i na pisanie się Milskim zezwolił. Milski poślubił również szlachciankę, Katarzynę Uzdecką i doczekawszy się przez nią licznego potomstwa, otoczony dobrobytem i szacunkiem ludzkim, spokojnie starych lat dożywał.

W tej chwili, wszedłszy z połowicą, z zadowoleniem objął okiem dobrze oświetloną salę i stół dostatnio zastawiony.

— Ile nakryć położyła waćpanna? zapytał zwracając się do Jeniszówny.

— Sześć, miłościwy panie, bo mniemam że chłopcy nie przyjdą do stołu.

— Wystarczy im zjeść wieczerzę w czeladnej, rzekła Milska, a i niewieda, czy imci pan Obertyński wcześnie przyjdzie.

— Ichmościanki zasiądą?

— Tak jest.

— Jakby nie było, odezwał się Milski, o jedno nakrycie jest zamało.

— Jakoż to?... Wasza miłość, z panią matką, dwie ichmościanki i imci pan Obertyński ze swym towarzyszem... nazwiska nie znam.

— To się zgadza... ale niema nakrycia dla „zagórskich panów", jako w moim domu jest we zwyczaju.

— Jako żywo!

— Proszę przeto dołożyć jedno, a i serwis z wyobrażeniem polowania Djany, zastawić.

Po wydaniu tych rozkazów, zajął miejsce w fotelu przed kominem. Pani Milska poszła za jego przykładem.

— Czy aby imci pan Obertyński nie obrazi się, mówiła monotonnym, cichym głosem osoby wycieńczonej wielokrotnemi chorobami, pani domu, że go do stołu jak równego sobie zaprosimy?

Milski wydął wargi i obie ręce wsunął za bogaty, słucki pas.

— A cóżem to nie szlachcic?

— Jako żywo; wszelako Obertyńscy stary ród, pono od Melsztyńskich z macierzystej linji się wywodzą.

— A Milscy od Knutów, na Drohiczynie starostów po kądzieli z każdą parantelą równać się mogą!

— Wszelako imci pan Obertyński nie lada rogatą duszę mieć musi i dla niżej zrodzonych pogardę, kiedy przed trzema dniami w gospodzie pod Modrym Fartuszkiem, kościerzyńskiego burmistrza wypłazował i za drzwi precz wyrzucił.

— Niewieda, czy ino dla marnej pychy na takowe periculum się porwał, nie raz to bywa, że równy równemu wstyd, ba nawet wyżej urodzonemu dyshonor uczyni, gdy takowy bolesną ubligą pod żebro mu podjedzie. A nie pomnisz, jak to...

— Cicho!....

— Co?...

— Psy szczekają, jak na obcego, ale nie podłego rodu.

Milski posłuchał chwilę i do okna się zbliżył.

— Od bramy idzie trzech ludzi; pachołcy ich z szuflami i latarniami poprzedzają.

— To chyba nie oni.

— Ta osoba w środku, to białogłowa.

Milska porwała się z fotela.

— Miałażby pani Obertyńska we własnej osobie nasze niskie progi zaszczycić?

—Może to być, może to być; szuba na niej bogata.

— Chodźmyż powitać gości.

Postękując, nieświadomie wciągnęła na siebie półszubek bez rękawów i ku drzwiom zmierzyła.

Gdy weszli do sieni ujrzeli na ganku trzy osoby otrząsające się ze śniegu. Sprężystym, młodym krokiem postąpił ku nim Milda-Milski.

— Jestem Roman Łukasz Jastrzębiec Obertyński, rzekł zwracając się ku niemu pierwszy z gości.

— Całem sercem rad jestem waszmości.

— Jan Łodzia Jazłowicki z Pelplina.

— Zaszczyt to dla mnie niemały tak zacnych gości w swych progach powitać.

— A to małżonka moja, Zofja z Pawelskich, rotmistrza Jana Nepomucena, córka.

— Niegodni, niegodni wasze miłości w domu swym przyjmować.

Pani Milska podała rękę Zofji wiodąc ją do ciepłej i jasno oświetlonej sali.

— Wybaczcie waszmośćpaństwo, mówiła, że was, chociaż po interesie tu przybyłych, do stołu zaprosimy; na dworze zimno i słota, rozgrzać się nie zawadzi.

— Na załatwienie kupna czasu jeszcze sta.

— Niepotrzebnie waszmość pan sumituje się z tego, że nas jako gości przyjmuje. nie dla samego bowiem interesu w wasze progi wstępujemy, mówił Jazłowicki. Gdyby jeno o kupno kolebki nam chodziło, starczyłoby konie ze służącym przysłać, aby takową na pokazanie do nas przyprowadził. Ale tak mnie, jak i siostrzanowi memu szło o to, aby nie przez sługi porozumiewał się z człowiekiem tak godnym i obywatelem tak przednim, jakim waszmość pan, panie Milda-Milski, z łaski Bożej jesteś.

— Bóg zapłać za tak zaszczytny dla mnie dyskurs, wszelako odmienność fortuny nie pozwala mi zapomnieć, jak świeżymi barwy moja herbowa tarcza rozbłysła... Ale gdy on splendor już na dom mój spłynął, pozwól waszmość pan, że go za stołem posadzę, boć vinum cor laetificat.

Podczas, gdy panowie dworskimi słowy prześcigali się w grzecznościach, pani Milska przedstawiała Obertyńskiej swoje dwie córki, Paulinę i Otylję, zwracając ich uwagę jak wielkim zaszczytem było dla nich przybycie tak zacnych gości.

— Wasza miłość nie lękała się wyjść z ciepłej izby na czas tak niemiłosierny? pytała, czuwając wciąż nad tem, aby goście jedli.

Zofja nic nie odpowiedziała, tylko wzniosła na Milską oczy pełne troski i niepokoju.

— Błogosławię tę chęć wielmożnej pani, ale przyznaję, że gdyby mój małżonek

nie jedną karocę, ale zamek miał kupować, jeszcze bym się nie zgodziła wyjść na czas tak niefortunny.

— Jest jedna rzecz, która wszelkie niechęci przemoże, odparła Zofja, upewniwszy się, że mąż zajęty rozmową o koniach, nie słucha co mówi, to trwoga o kochaną osobę; za nic w te czasy nie puściłabym męża na miasto, żebym nie miała mu towarzyszyć.

— Dla niebezpieczeństw?

— Jako żywo.

— Przeczby mu pani pomogła?

— Broniłabym go; krucicę nabitą noszę tera zawdy przy sobie.

A gdyby wrogowie byli silniejsi od waszmość pani?

— Umarłabym z nim razem.

Nastała chwila ciszy; Milska z przyjemnością patrzała na wdzięczną kobietę, wzruszona jej pełną prostoty odpowiedzią.

— Waćpani nie ma dzieci?

— Mam, dwuletniego synka i....

Rumieńce uderzyły jej do twarzy.

— Tak... powinszować... Ale tem bardziej należy dbać o swe życie i zdrowie.

— Dziecko Boskiej zdaję opiece i wierzę, że go nieszczęście nie spotka, ale mąż... Naturę ma taką, że wszędy samochcąc niebezpieczeństwa szuka.

— Dziecina ma ochmistrzynię?

— O nie, od czasu jak jesteśmy tułaczami wyrzuconymi z gniazda, nie stać nas na ochmistrzynię; zaledwie małe dziewczątko Jasieńka zabawia.

— I pozostało pod opieką dziewczątka jedynie?

— Nie, Szalitowa, właścicielka oberży pod... Co to?

Nastawiła ucha; ze dworu dochodziły krzyki i wściekłe psów ujadanie. Zwrócili też na to uwagę i panowie. Pan Milski wysłał pachołka, aby dowiedział się, jaka była przyczyna alarmu.

— Proszę się nie niepokoić, mówił Milski, zwracając się do pobladłej pani Zofji, dom mój leży za miastem, a przy ruchliwej drodze, snadno więc mógłby przynęcić jakich nieproszonych gości, przeto pieski trzymam zacne, brytany przednie, które w tak późną porę już z łańcuchów spuszczone są i czasem kogo potarmoszą, nim psiarek nadąży.

— To nie jednego razu i niewinna ofiara może paść, rzekła pani Zofja.

— Co to, to nie! Dom dookoła częstokołem otoczony, kołatka przy obu furtach donośna jest, przeto każdy kto prostą idzie drogą, od nieprzyjemności zabezpieczony jest, tylko ktoś, coby za dnia wszedłszy ukrył się w złych zamiarach, lub w takichże przez jakiś wyłom w palisadzie na podwórze się zakradł, może z zębami moich brytanów się zapoznać... Ot, brytany umilkły; pewnie odprowadzone zostały na przeciwną domu stronę.

Rzeczywiście hałasy na podwórzu od jakiejś chwili ucichły, natomiast w sieni przylegającej do jadalni, po przeciągłym

skrzypnięciu drzwi rozległy się kroki kilku osób, rozmowa i czyjeś pochlipywanie.

— Czekaj przepyta ciebie jegomość, jak już będziesz na stołku leżał.

— Psi ci hajdawery tak oporządziły, że ze spuszczaniem nie będzie biedy.

— Czego się na mnie, sierotę nieszczęsnego waszmoście zawzinacie się tak wielce?... Za dnia, uczciwie, z podniesionem czołem w on dom wszedłem, a żem zmęczony usnął krzynę pod krzakiem...

Tu podniósł głos do lamentu.

— Coż ja biedny poczne; hajdawery ze mnie spadają. Psi krwie ze mnie wytoczyli, źli ludzie naśmiewają się z nieszczęśliwego,..

— Wyjdź, Wincenty, sprawdź jakowa onego tumultu przyczyna, rzekła pani domu, a nie omieszkaj dźwierzy zamknąć, bo on lament gorzka jadłu przyprawa.

Jeden z posługujących pachołków wyszedł do sieni.

— Cichojcie! krzyknął potężnym głosem. Wielmożny zapytują, co to za rwetes.

— Ptaszkaśmy złowili!

— Ino mu pióra nieco psi nadszarpali.

— Na przeszpiegi pod oknami się włóczył.

Pan Milski niecierpliwy z natury zadawał lakoniczne pytania., Sąd był krótki.

— Ktoś jest?

— Sierota nieszczęsny; po pytaniu *) chodzę.

---

*) po żebraninie.

— Coś tu chciał?

— O nocleg prosić!

— Zdrowy chłop, w ramionach kuszę, alibo muszkiet łacno dźwignie...; nie powinieneś to w poczcie jakowego wielmoży ojczyźnie służyć?

— Słabym jest; wielką chorobą, co od świętego Walentego ma swój początek Pan Bóg mnie nawiedził.

— Każdy włóczęga wielką chorobą się sumituje do kompanji wybrańców św. Walentego się pisze!...

Znam ja was przechery!.. Weźcie go stąd, parę batogów poniżej pleców i wyżeńcie za wrota!

— O panie, miłosierdzia!

Było coś rozdzierającego w tym krzyku.

Porwała się z miejsca pani Zofja litości pełna, za nią z obowiązku gościnnej gospodyni, ruszyła pani Milska.

— Darujcie mu miłościwy panie, wołała Zofja. Przecz pewność, że kłamie?

Wpadła w szerokie drzwi sieni i nagle stanęła jak wryta; spotkała się ze spojrzeniem przenikliwem, hardem, choć usta wyraz strachu wykrzywił; z temi oczyma wielkiemi, pięknemi, ale które taką zabobonną nieledwie trwogą przejęły ją wówczas w gospodzie. Cofnęła się, oglądając się, czy mąż siedzi bezpieczny, taki, jakim go pozostawiła przed chwilą. Tymczasem pani Milska, wchodząc w intencje gościa, zwróciła się do męża.

— Daruj mu, miły, niech idzie wolno, albo raczej... Panno Faustyno, dopilnuj-

Szła ku niemu nieustraszona z dzieckiem na ręku.

gą pożyczenia koni i woźnicy, który takowe po doczekaniu dnia luzem odprowadzi.

Gdy po wymienieniu stokrotnych podziękowań i wzajemnych komplementów państwo Obertyńscy zstępowali ze schodów ganku, rozległo się gwałtowne ujadanie brytanów.

— Rochu, trzymacie tam psy? rzucił gromko w podwórze pan Milski.

— Trzymam! odhuknął głos z ciemności.

— Cóż ten chłopak, przybłęda, śpi w czeladnej? zapytała pani Miłska hajduka, jakby przeczuciowo idąc za myślą pani Zofji.

— Gdzie zaś; włóczykij to snać z przyrodzenia, alibo nam nie ufał; ledwo zszedł ze schodów, prysnął w bok i znikł w ciemności. Myśleliśwa, że znowu się gdzie przyczaił na czyją zgubę, aleśwa usłyszeli drapanie się na mur i łupnięcie obcasami o głazy co są po drugiej stronie muru, na brzegach rzeki.

— No i zakrzyknął nam cosik z onego bezpiecznego miejsca, dodał śmiejąc się drugi pachołek, czego bez ujmy szlachetnych uszów powtórzyć nie mogę.

— Możesz, możesz, pozwalamy ci, takowe obieżyświaty umieją być krotochwilne.

— A to powiedział: całujcie mnie poniżej krzyża, a pan Oberwański, czy Obertyński, i tak zginie!

— Jezus! wykrzyknęła siedząca już w kolébce pani Zofja. Romku, prędzej do mnie!

Ale pan Roman śmiał się serdecznie.

— To dla pana, imci panie rajco, za oberwane hajdawery, Oberwańskim waści nazwał.

— Romku, na miły Bóg siadaj już do karocy.

Obertyński wskoczył, zatrzaśnięto drzwiczki, woźnica palnął z bicza, dwaj konni pachołkowie wysunęli się naprzód; blask pochodni krwawą smugą obramował krzewy srebrną szacią osnute.

— Prowadź Bóg! rzucił jeszcze za odjeżdżającymi pan Milda-Milski.

— Prowadź Bóg! szepnęła pani Zofja przypadając do kolan siedzącego wprost niej małżonka i obejmując je gorączkowo.

VIII.

Pusta kolebka.

Długo kołatano do drzwi gospody, zanim jakiś rozespany pachoł, po sprawdzeniu, kogo ma za drzwiami, roztworzył ciężkie, obite sztabami na krzyż układanemi, niemiłosiernie skrzypiące podwoje. Ogień kominka dostatecznie oświetlał wnętrze izby, aby pani Zofja mogła bez szwanku dla siebie, lub kogoś, przebiec między leżącymi pokotem żołnierzami szwedzkimi, którzy poprzedniego wieczoru liczną gromadą przybyli.

Wbiegła do swego alkierza; doniosłe chrapanie niańki zapanowało nad odgło-

cie, żeby w czeladnej jakie posłanie otrzymał.

Wszyscy wrócili do stołu, panowie pili toastowali, pan Jazłowicki swe wrażenia z pobytu w oblężonej Częstochowie musiał znów opowiadać, szeroko na zadawane pytania odpowiadając. Obertyński rozochocił się i jął sypać komplementy pannom Milskim, a nawet przyszłość im przepowiadać wedle układu kropelek na powierzchni wody w szklance, w którą wsypał jakiegoś czarodziejskiego proszku. Wesołość ogarnęła wszystkich, pani Zofja tylko siedziała przygnębiona i jakby obca otoczeniu, roztargniona, z wysiłkiem zmuszająca się do uwagi, gdy zwracał się kto do niej bezpośrednio. Trwoga i niepokój ogarnęły ją bezlitośnie; usiłowała wykazać samej sobie jak są nieuzasadnionemi, usiłowała uspakajać się modlitwą i polecaniem opiece Boskiej najukochańszych istot; próżno... jakieś drugie ja podszeptywało jej bezustannie, że jednak po pierwszem zjawieniu się tajemniczego chłopca zaczął się dla niej okres wrażeń i wstrząśnień, które docna zmarnowały spokój dotychczasowego jej życia. Dwukrotnie podnosiła się, wzywając męża do pożegnania uprzejmych gospodarzy, tłumacząc się niezdrowiem i niepokojem o dziecko, ale wino u Milskich było tak wyborne i stare, jak rzadko nawet trafia się w książęcych domach, potrawy znakomite, gospodarstwo zachwyceni dodostojnymi gośćmi, więc też spotykała się zawsze z protestem obu stron i perswazja-

mi męża, że dziecko pozostawione w bezpieczeństwie, a zdrowiu jej wszelka rozrywka wskazana.

Dopiero gdy z pianiem drugich kurów panowie, przywdziawszy szuby wyszli za pachołkami, niosącymi kagańce, w podwórze obejrzeć karocę, jadalna sala, w której pozostały tylko trzy kobiety, gdyż młodsza panna Milska i ochmistrzyni, nie przyzwyczajone do późnego czuwania wymknęły się zaraz po wieczerzy, dała się spowić ciszy, a kąty snuły senność i nudę, pani Zofja ze łzami zwróciła się do pani domu:

— Nie nastawajcie, wielmożna pani, na męża mojego, aby pozostał, czasy są niespokojne, wracających późną nocą łacno jakowa zła przygoda spotkać zdoła.

— Nie myślcie przecie, miłościwa pani, że was piechotą odpuścimy. Kolebka nasza odwiezie was wygodnie, a i ze dwóch zbrojnych pachołków może towarzyszyć wam konno.

— Bóg zapłać za tak wielkie względy; wszelako pora mi do dziecka, do łoża; dziwniem mdła w te ostatnie czasy.

Pani Milska, wnikając w duszę Obertyńskiej, sama zresztą zmęczona, przyrzekła nie namawiać już panów do powrotu, ale oni sami wracali z podwórca owiani powietrzem, przeświadczeni o czarności nocy i radzi przekonać się, czy prawdziwie kolebka na rzemiennych pasach tak nadzwyczajnie niesie, więc też chętnie przyjęli propozycję pana domu, odesłania ich nią, dro-

przed obrazem Najświętszej Panny rozejrzę. Gdyby, czego nie mniemam, Jasia tam nie było, bo gdzieby się taki rak wypatoczył... to przyjdę ci powiedzieć.

— Bóg zapłać wujowi ale nie omieszkajcie.

— Nie omieszkam. Ostańcie z Bogiem.

— Idźcie z Bogiem, dobrej nocy.

— Nocy spokojnej wam życzę, choć bliżej już dnia niż wieczora.

— Nie wstrzymujcie się niczem, śmiało do alkierza zakołaczcie.

— Nie omieszkam.

Rzeczywiście zatrzymał się przy drzwiach i długo wsłuchiwał w ciszę, potem przytworzył je i dwa kroki naprzód posunął. Na szerokiem łożu z czarnego dębu rzeźbionem w girlandy owocu spoczywali oboje Szalitowie, od strony jego stało łóżeczko plecione z wikliny trzyletniego Tomka, przy matce starożytna kosztowna kolebka srebrem wykładana małej Anuli. Lampka wisząca przed domowym ołtarzykiem z ciemno-czerwonego szkła, tak mało światła rzucała, że długo musiał wytężać wzrok w ciemności, zanim zdało mu się, że widzi jakiś różowy buziak w białym czepeczku na poduszce obok Szalitowej spoczywający. Posunął się krok jeszcze, zmrużył oczy i pulchny łokieć Krystki otoczony koronkami kaftana, pod naciskiem silnego pragnienia dopatrzenia dziecka coraz bardziej wizerunek twarzy śpiącego malca zdawał się zarysowywać. Wycofał się więc

z sypialni i na palcach, żeby nie budzić domowników udał się do swego alkierza.

Długo z bijącem sercem, nadsłuchiwała pani Zofja, czy nie usłyszy powracającego wuja. Upłynęło dziesięć minut, Jazłowicki nie wrócił, niepokój odpłynął od jej serca, rozebrała się i legła na łożu. Ale zaledwie zamknęła oczy, znowu ogarnął ją lęk nieopisany; niepomogły żadne argumenta do jakich zmuszała swój umysł, trwoga coraz silniej ściskała jej serce, coraz okrutniejsze podsuwała obrazy fantazji.

Korzystając z tego, że mąż usnął ledwie przyłożył głowę do poduszki, sennym głosem kończąc.

— No widzisz, wujo nie wrócił; poczciwa Szalitowa..” wstała, wsunęła nogi w pantofle, narzuciła na siebie szubę i cicho wymknęła się na górę.

— Wybaczcie pani Krystyno, zaczęła szeptem, uchylając drzwi sypialni Szalitów, że was niepokoję... Wybaczcie, usiłując uczynić szept wyraźniejszym i donioślejszym mówiła posuwając się, ale takam niespokojna...

W sypialni rozlegał się kwartet sennych oddechów w różnej sile.

Pani Obertyńska z niepokojem rozejrzała się po pokoju; jej macierzyńskie oko nie mogło dopatrzeć dziecka w jakiemkolwiek urojeniu, serce jej szarpnęło najwyższe przerażenie.

— Pani Krystko, zawołała ze łzami w głosie.

sem jej kroków; biegła ku kolebce, niewiedzieć skąd przeświadczona, że dziecko chore. Pochyliła się nad nią i nagle krzyk przerażający wstrząsnął niepokojem serca wchodzących w tej chwili mężczyzn.

— Co? co się stało? zawołał, nadbiegając pan Obertyński.

Z brzmienia okrzyku wiedział, że nie jakieś przewidzenie, nie bezpodstawny przestrach wydarł go z piersi małżonki.

— Jaś! Jaś!... dziecko!... Niema go! niema! Pan Obertyński się uniósł.

— Czyś całkiem zmysły postradała, o to takowy podnosić krzyk; pewnie mały płakał i Tereska wzięła go do swego boku.

Pochylał się już nad posłaniem niańki, ale ta leżała na wznak zupełnie ubrana z ramionami rozkrzyżowanemi na poduszce, w głębokim śnie pogrążona. Dziecka przy niej nie było.

— Jezu! Jezu! jęczała pani Zofja.

— Wstrzymaj jeszcze on lament, głosem niezbyt pewnym odezwał się pan Obertyński. Może dziecko było niespokojne alibo niezdrowe i Szalitowa wzięła je do siebie.

Pani Zofja rozpromieniła się.

— Tak, ani chybi. Mówiła mi Szalitowa, że dziecka niepowierzy Teresce, która sypia jak niedźwiedź zimą.

— No widzisz...

— Strasznie Zosieńka niemęskiego serca jest, odezwał się pan Jazłowicki. Bez jakowej słusznej przyczyny...

— Ona takową nie była, bronił ją Obertyński. Czasu naszego przed Szwedem uchodzenia zgoła zdumiewała mnie swoim rycerskim, rzekłbyś animuszem.

— Na dziewkę się jej ma, zaśmiał się Jazłowicki.

— Gdzie idziesz Zośka? zawołał Obertyński, widząc, że żona zrzuciwszy szubę i futrzany czepiec, zarzuciła szal na ramiona i za klamkę drzwi ujmuje.

— Idę po dziecko.

— Dajżeż pokój, poco będziesz Szalitową za jej usługę po nocy niepokoić, a straszyć. Wiesz, Jasinek po kurach śpi do białego dnia. Niech śpi, bo skoro go weźmiesz wybudzi się i będzie póty darł się, póki mu paru nie przyłożę, a ty tego pono nie lubisz.

— Takbym rada mieć go już przy sobie, prosiła Zofja.

— A ja ci wzbraniam budzenia ludzi i włóczenia się po nocy między nieprzyjacielskiem żołdactwem, stanowczym głosem odezwał się Roman.

— Zmiłuj się Romek nad niespokojnem sercem mojem!

— Nie wstyd to, by zacnie urodzona białogłowa takowe strachy miała, jakoby niewolnik i dziewka ją spłodzili.

— Posłuchaj, Zosieńko, wmieszał się znowu Jazłowicki. ide do swego alkierza na górę, po drodze zerknę do mieszkania Szalitów, jeśli które z nich nie śpi, zapytam o chłopca, jeśli śpią sam się przy lampce

stko dokumentnie mi gadał, jakby z moją panią do kupy był; prawił jako miłościwa pani w onej żółtej sukni z sobolowym futrem piękna dzisiaj jako nigdy!

— I co? i co? nalegali inni. czy zadał ci jakowego napitku?

— Ni!

— A pocóżeś spać poszła, potworo, niegodna Boskiego miłosierdzia?

— Tak mnie cościk zamroczyło, jakiem onego miodu, co pani Krystka przynieśli, wypiła.

— Przy nim piłaś...

— Ledwom zaczęła pić, jak on judasz wszedł do alkierza.

— Nie widziałaś, żeby ci co wsypał do lampki?

— Ni... Może kiedym do Jasia podeszła bo zaczął mi grymasić.

I znowu uderzyła w lament.

— Pewno, pewno wtedy jakowejś trucizny domieszał! mało co już w kubku ostało... Wróciłam od Jasia!... Moja ptaszyna złota, moje kochanie najmilejsze, gdzieś ty o tej godzinie!...

— Gadaj! więc co?... Wróciłaś od Jasia...

— Wróciłam od Jasia, a on bestja powieda, pora mi już iść; trąćma się na odchodnem.

— To on też pił! a co?

— Szklanicę wina przyniósł wchodzący, co ją był kupił w gospodzie i kołacze białe takoż... I ja jadłam, jadłam, nic wiedząca że djabelski zjadam chleb!

— A jak wtedy trąciłaś się z nim?...

— Mało co już było w kubku, tom wypiła do dna i wnet mnie zamroczyło, zatem podeszłam do okna, czoło krzynę do zimnej szyby przyłożyć i... i...

— I co?...

— Nie wiem, doszłam, zali nie doszłam, pewno padłam wedle posłania przechodząca.

W tej chwili weszła do izby rozbudzona przez Szalitę Magda, służebna z gospody. Wiadomość, że dziecko zostało porwane żywo ją obeszła i wytrzeźwiła ze snu odrazu. Na pytania odpowiadała jasno i zwięźle. Młodego chłopca pamięta, bo nie pierwszy raz był w gospodzie, zawsze dużo pił, jadł i z nią rozmawiał. Tym razem mało co go widziała, ale bo też i izba pełna była żołdactwa. Wypił szklanicę wina duszkiem, kazał sobie nalać drugą, wziął dwie kukiełki, jabłkiem nadziewane i zaraz zapłacił za wszystko, mówiąc, że może zapomnieć, jeśli dłużej posiedzi. Zdawało jej się, że odszedł w głąb izby, pod okno. Kiedy wyszedł nie widziała.

Po zeznaniach Magdy nie wątpiono już że dziecko porwano z rozkazu Urfelda, a że dzień już robił się na niebie, Obertyński z Jazłowickim uzbroiwszy się odpowiednio, wyszli z domu, celem zabrania od pana Ładzińskiego paru dragonów, dla udania się z nimi do domu Eskena aby pod grozą śmierci zażądać od jego siostrzeńca oddania dziecka.

Zbliżyła się do łoża śpiącej kobiety, zawadzając o cybuch leżący na stołku, który spadając uczynił rumot.

— Co to? sennym głosem, nie podnosząc głowy zapytał Szalita.

Ale Krystka siedziała już na łożu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! To, ty Maryśka?

— To ja, pani Szalitowo, wybaczcie że was niepokoję!... Czy dziecko jest u was?

— Jakie dziecko, które?

— Moje.... Jasinek!...

— Zacz niema go w kolebce? w waszym,..

— Niema! z okrzykiem rozpaczy zawołała Obertyńska.

Krystka równemi nogami zeskoczyła z łoża.

— Co mówicie, miłościwa pani?... Możesz to być?... Może Tereska do swego boku?...

— Patrzałam zaraz!

— Może przy krzyku wypadło z kolebki was szukając?

— Obejrzałam każdy kącik.

— Rany Boskie! Rany Boskie! Franek! Franek! Wstawaj, na miły Bóg!... Pani Obertyńskiej porwano dziecko!

Rozpaczliwe krzyki Zofji prędzej niż wołanie żony zbudziły Szalitę.

— Nie może to być, nie może to być! powtarzał ubierając się spiesznie.

— Dziecko bawiło się ślicznie z Tomkiem, zjadło papkę razem z mojemi, potem zeszłam sama z Tereską do waszego alkie-

rza i nie wyszłam stamtąd póki dziecko nie usnęło. Dziewczynie nie pozwoliłam się rozdziać, ani na posłaniu lec, lampkę miodu i trochę bakaljów jej pozostawiłam, żeby się zabawiała, a strzegła usnąć, bo wiem, że ją by zasie płacz dziecka nie obudził.

Mówiła spiesznie Szalitowa, ubierając się gorączkowo.

Oboje gospodarze, zaniepokojeni w najwyższym stopniu, zeszli z zanoszącą się od płaczu Zofją na dół. Niebawem prawie kto żyw był na nogach. Najtrudniej przyszło rozbudzić się Teresce, pomimo, że Obertyński bił ją i kopał z wściekłością.

— Poniechaj jej, zawołał, widząc to, imci pan Jazłowicki, dziewczynie snać coś zadano; lepiej wody jej na łeb wylać.

— Święconej wody do ust jej wlać krzynę, radziła Szalitowa.

Zlana wodą zbudziła się Tereska i jęła drżeć na całem ciele. Z trudem przypominała sobie co miało miejsce przed zaśnięciem. Wreszcie z pomocą zadawanych sobie pytań i przypominanych szczegółów, rozpowiedziała, że dobrze po odejściu Szalitowej wszedł do alkierza jakiś młody chłopak „na panięcia patrzący", który jej rzekł jako przysłany jest przez panią Obertyńską, która wielce o dziecko niespokojna, kazała zajrzeć zali śpi spokojnie.

— Pocóżeś mu odpowiadała? Czemuś za drzwi go nie wyrzuciła; dość mocna na to jesteś! krzyknął z rozpaczą Obertyński.

— Przecz miałam myśleć, że łże? przecz miałam wyżenać onego judasza, kiej wszy-

Ale w tej chwili rozległa się hulaszcza piosenka w obcym języku; Jazłowicki spojrzał przed siebie. Od szkut, które lody uwięziły na Wiśle, stanowiących jednak spiżarnie zdobywców, szło kilku żołnierzy szwedzkich. Zrozumiał, że Urfeld znalazłby wnet obrońców, a może przytem pozbawił panią Zofję ostatniej opieki, więc przycisnął się do wnęka muru, pozwolił przejść przed sobą zamyślonemu Niemcowi i po kilku chwilach pociągnął też ku miastu, rozmyślając z boleścią, jak opowie Zofji o nowem strasznem nieszczęściu.

Rozdział IX.

Zemsta dokonana.

Po krótkiem zbadaniu został Roman odesłany do Dybowskiego zamku.

Odgłos zegarów miejskich nie przedostawał się do wieży, w której osadzono Romana, tem więcej czas mu się dłużył i po dwóch godzinach już by gotów był przysiądz, że siedzi w ciemnicy dzień cały: głód coraz dotkliwszy zdawał się stwierdzać to przypuszczenie. Ale chociaż żaden odgłos nie dochodził z zewnątrz, wnętrze więzienia pełne było szmerów i różnorodnych głosów, przebiegające raz po raz szczury głuchym tententem i piskiem napełniały izbę. W miejscu przy ścianie, mającej swe fundamenty w błotnistym brzegu Wisły, które pod ciężarem przykutego do ściany przez lat kilka nieszczęśliwego więźnia, obniżyło się, nasiąkło wilgocią i utworzyło cuchnącą kałużę, pluskały żaby,

zwyrodniałe, odzywające się dziwnemi, rzekłbyś niesamowitemi głosami! Jakiś śmielszy szczur wskoczył na kolana siedzącego na zbutwiałej słomie Romana, ale poczęstowany rękojeścią szabli z kwikiem uszedł do jamy. To sięgnięcie po szablę nasunęło Romanowi myśl zabawienia się krzyżową sztuką, jął przeto młynkować nią w powietrzu i zadawać rozmaite cięcia, przypominając sobie jak zadawali ciosy i parowali takowe różni znajomi rycerze.

Dzięki tej zabawie i szczury się uciszyły i czas mu szybciej mijał. Dużo upłynęło czasu zanim uczuwszy silne zmęczenie ramienia, rzucił się na słomę. Wyczerpane siły zmusiły go do tego, niemniej ledwie legł, pożałował poddania się niemocy, bo czarne myśli, jak za zrządzeniem złego czarownika, wypełzły z dna duszy i jęły snuć najokropniejsze obrazy. Coś się przeistoczyło w jego umyśle, gdy zamknięto go w ciemnicy, odczuwał zrazu dotkliwie tylko to wszystko co stanowiło namacalną niejako niedogodność, lub cierpienie: ciemność, wilgoć, brak dogodnego siedzenia, wreszcie głód; obawy o siebie nie odczuwał żadnej, zawiele było w nim bujnych sił żywotnych, zaczęsto wychodził obronną ręką z niebezpieczeństw, aby i w tych okolicznościach poczucie własnej mocy i wiara w opatrzność Boską nie brały nad nim góry. W tej chwili, jakgdyby w bezcelowej szermierce wyczerpał wszelką siłę nietylko fizyczną ale i duchową, uczuł się beznadziejnie słabym, a położenie bez wyjścia. I mało

Zanoszącą się od płaczu i mdlejącą raz po raz Zofję pozostawiono pod opieką Szalitowej, także ciężko zmartwionej nieszczęściem, jakie spotkało życzliwą jej osobę pod ich dachem.

Ranek był mroźny, wschodzące słońce krwawą łuną zalało śnieżne pole, widziane u wylotu ulicy. Obaj panowie szli z pochylonemi głowami, zgnębieni, z wysiłkiem namyślając się nad tem co czynić wypada. Z wąskiej ulicy Podmurnej wyszła gromadka żołnierzy szwedzkich, z muszkietami na ramionach; przy idących w pierwszym szeregu szedł mężczyzna cywilny, ubrany w szubę z nastawionym kołnierzem po same oczy i w kołpaku lisim wciśniętym aż na brwi. Wyszli tak z za rogu, że odrazu spotkali się prawie twarz w twarz z Obertyńskim i Jazłowickim. Cywilny mężczyzna zwrócił się nagle do oficera, postępującego przy oddziale.

— To on, ten w niedźwiedziach, rzekł po niemiecku.

Zdumiony Obertyński ujrzał się obskoczonym przez żołnierzy szwedzkich.

— Z polecenia generała Marderfelda, aresztujemy waszmość pana i rozkazujemy iść za sobą, rzekł dość uprzejmie oficer.

Roman instynktownie sięgnął do szabli, ale spojrzał na swych przeciwników, policzył, że było ich czternastu, pobladł śmiertelnie, ściągnął sobole brwi i spojrzenie pełne rozpaczy rzucił Jazłowickiemu.

— Zośkę zwierzam ci, wuju i, na miły Bóg odnalezienie dziecka!

Jeden z żołnierzy pchnął go brutalnie.

— Nie pozwól waszmość potrącać szlachcica, rzekł po niemiecku do oficera... Wracaj wuj do Zośki, dodał w tejże mowie do Jazłowickiego.

Jazłowicki stał jak w ziemię wryty, widział uprowadzonego przez wrogów ukochanego siostrzana, którego był tak niespodzianie odzyskał po długich latach rozłąki, z którym zżył się serdecznie w tych kilku ostatnich tygodniach, dzięki któremu spodziewał się znaleźć cel życia na stare lata. I jakaś okrutna pewność targnęła jego sercem, że widzi go po raz ostatni, że oto ten bujny, piękny młodzieniec prowadzony jest na śmierć. Więc pomimo powtórnego polecenia, nie zwrócił się do gospody, lecz szedł za nim o kilkanaście kroków Sukienniczą i Szczytną i Żeglarską, aż do jednej z wież w murach od strony Wisły. Żelazne drzwi otwarły się na wezwanie żołnierzy, weszli w nie, uprowadzając Obertyńskiego.

—Romek! rzucił mu jeszcze z rozpaczą Jazłowicki! Romek, Bóg z tobą.

Ale Obertyński snać tego nie słyszał, bo nie spodziewał się, że ktoś szedł za nim w tę okrutną drogę aż do kresu.

Jazłowicki spostrzegł natomiast, że cywilny mężczyzna nie wszedł w dziedziniec więzienny lecz zawrócił wzdłuż muru.

— To musi być Urfeld, pomyślał; jesteśmy sami, zatem natrę na niego szablą i zażądam zeznania, gdzie dziecko.

myślał o sobie... Śmierć!.. ta jedna chwila i przejście do żywota wiecznego; troskliwie wglądał w swe sumienie i nie znajdował na niem grzechu, który by mógł pozbawić go światłości niebieskiej: nikogo nie ukrzywdził, modlitw, postów, jałmużn stosownie do przepisów Kościoła przestrzegał, od młodości z nieprzyjaciółmi jego walczył... muzułmany, luterskie Szwedy... A odkąd tę anielską Zośkę poślubił, żyje wprost przykadnie i nie odmieni się żaden miesiąc na niebie, aby jakimś dobrym uczynkiem, za jej podszeptem sprawionym, Boga nie uradował. Nie drżał więc przed tem, co może spotkać go po dokonaniu żywota, ale o to co za sobą zostawiał na ziemi .. Zośka!... taka dobra, jasna, słodka, a słaba białogłowa, dziecko!... to jedno porwane, niewiedzieć w czyich rękach zostające i to drugie, co przyniesie ze sobą nieuniknioną klątwę pogrobowca! Ból tak przenikliwy przeszył serce jego, że rękę wcisnął między zęby, aby dusza nie odezwała się jękiem, którego by sam przed sobą się wstydził. Potem padł na kolana i modlił się długo, żarliwie.

Szczury, znęcone ciszą, znowu z kątów wyległy, denerwującem łopotaniem i skrobaniem przeszkadzając Romanowi w modlitwie. Zwłaszcza dwa, najśmielsze raz po raz przyskakiwały do jego buta, nacieranego tłuszczem, zapuszczając zęby w skórę, poczęstowane kopnięciem, odskakiwały z piskiem, by za chwilę znowu szczęścia próbować. Ale przyszła chwila, że rzuciły się do ucieczki i z kwikiem wpadły do dziury...

W podwojach zazgrzytał zardzewiały zamek. Porwał się też z kolan Roman, nie chcąc, aby go przychodzący wróg w kornej zastał postawie.

Smuga czerwonego światła wcisnęła się do komnaty, zanim wchodzący zdjął jeszcze jakiś łańcuch i kopnięciem nogi roztworzył podwoje. Wszedł dozorca więzienny, niosąc w ręku dymiącą strawę w cynowej misce.

— Nie wiem, rzekł, wchodząc, czy nie jesteście na post skazani, ale że nie otrzymałem zakazu dania wam strawy, a godzina obiadowa wybiła, więc tak, idąc od drzwi, do drzwi...

Mówił to zwolna, trochę zadąsanym tonem, osadzając pochodnię w klamce i wręczając miskę więźniowi.

— Bóg wam zapłać, Rybko-Karpiu!

Dozorca zdziwione oczy podniósł na Romana.

— Znacie mnie?

— A nie broniliśmy to społem Brodnicy tej jesieni?.

Rybka się rozpromienił.

— Miana waszego nie pomnę, ale wiem jakeście, miłościwy panie do wszelakich wycieczek w pole na wroga pierwszy zuch byli.

— I ja pomnę, jakoś one śluzy na przeprawiających się Szwedów puścił sprawnie.

— Stryjeczny mój, Rybka-Lin, zginął przy onej okoliczności!

— A teraz sam Szwedom służysz!?

Dźwignął ramionami z determinacją.

— Komuś służyć trza, tera oni tu pany; i tak łaska Boska, że mnie w polu nie uściekli, ani w jeństwo nie zagarnęli.

— Tak, rozumiem, ale i to tuszę, że gdy ci Pan Bóg w swem miłosierdziu okazję do zratowania towarzysza broni nastręczy, nad będziesz onej sposobności.

— Gdzie mnie, nędznemu robakowi, gliździe ziemnej, o takowych rzeczach myśleć.

— A toć, towarzyszu, moje życie w twoich rękach.

Rybka z niepokojem ku uchylonym drzwiom zerknął.

Roman sakiewkę wyjął z kieszeni i dukata z niej wydobył. Nie rzekł jeszcze nic, a dozorcy już roześmiały się oczy, wyjrzał na korytarz i drzwi zamknął starannie.

— Słuchaj, towarzyszu, odezwał się znowu Roman, podając Rybce złoty pieniądz, masz klucze od więzienia, wypuść mnie, a...

Rybka wyciągnął ręce przed siebie, jakby chcąc odepchnąć jakieś przerażające widmo.

— Nie mogę, panie, nie mogę!

— Rozumiem, ciągnął Roman, że nie mógłbyś dokonawszy tego w miastowej służbie pozostać, ale to też uchodź ze mną, porzucimy Toruń, pójdziemy na daleką Kaszubszczyznę, w orszaku moim ukryjesz się, zemsta żadną miarą tam cię nie doścignie, a ja i małżonka moja, wdzięcznymi być potrafimy.

— Wszystko to dobrze, miłościwy panie, ale sęk w tem, że ja klucze jeno od cel na

onym korytarzu posiadam, a chcąc opuścić wieżę, trza być wypuszczonym od dozorcy z tej strony głównych dźwierzy i być przyjętym od wartownika z tamtej strony.

Roman z rozpaczą opuścił łyżkę.

— Radbym, z duszy, serca radbym zratować waszmości, ale nie w mocy mej, nie w mocy.

I pokornym gestem usiłował wcisnąć dukat z powrotem w rękę Obertyńskiego. Odtrącił go stanowczym ruchem.

— Jeśli nie możesz wypuścić, to zrób choć jedno... Kiedy wieżę opuścisz?

— O zachodzie zmienią mnie.

— Zatem pójdź zaraz do małżonki mej, pani Obertyńskiej; znajdziesz ją w gospodzie pod Modrym Fartuszkiem; powiedz w jakowej jestem opresji. Ona sama z wujem z Pelplina, ratunek dla mnie obmyśli. Ażeby zaś snadniej ci uwierzyła, pierścień ten jej oddaj. Ufam, że w uczciwe składam ręce.

— Wielmożny panie, rzekł Rybka, chrześcijaninem jestem i katolikiem, siódme przykazanie „nie kradnij" matka dobrem słowem, a ojciec batogiem od dziecka mi wdrażali w duszę; możecie mi zaufać i oddać nie tylko ten pierścień, ale i sakiewki i guzy, co macie przy żupanie i nawet on pas złotolity.

Roman nieufnie spojrzał na dozorcę.

— Dobrze wam radzę, zaufajcie mi. Nie minie godzina, a przyjdą naczelniki od więzienia i z wszystkiego was ograbią... Albo mi to pierwszyzna, albo nie wiem, jakie to

tu porządki! Szablę nawet radzę wam wcisnąć w ten czarny kąt przy wykuszu, bo wezmą ci, ani chybi, a ostać przez broni...

Uczciwość biła z twarzy dozorcy.

— Wszystko co dacie, małżonce waszej wiernie doręczę, za wyjątkiem onego dukata, skoro taka wasza wola.

— Tak, czuję, że mogę ci zaufać; wszystko, co mam cennego oddaję ci, zanieś to mej małżonce. Dukata zatrzymaj sobie, a ona ci bez mego rozkazania dużo więcej dołoży, wdzięczn. sercem usługę przyjmując.

Ciężar wielki spadł z serca Obertyńskiego. W jego pogodnej, silnej duszy, ugruntowała się zupełna pewność, że skoro nadzwyczajna pomoc zjawiła się tak zaraz u wstępu do więzienia, wyjdzie zeń niebawem i odzyska żonę i syna.

Przed wieczorem przyszło dwóch żołnierzy ze starszym, celem pozbawienia Romana niebezpiecznych przedmiotów, za takie uznano ciężkie niedźwiedzie futro, aksamitem kryte i kołpak sobołowy i safjanowe buty. Zdziwiono się przytem bardzo nie znalazłszy przy więźniu szabli, guzów przy żupanie i zrewidowawszy zupełnie puste kieszenie.

— Myślicie, że ci co przyprowadzili mnie tutaj nie postarali się otrzymać coś za swą fatygę? rzekł z ironją pan Roman.

Uwierzono w to i przeprowadzono roznegliżowanego przez korytarz, na którym nawiany wybitemi oknami śnieg, leżał grubą, zbłoconą warstwą, do innej celi, mniejszej, położonej na wyższem piętrze, ale po-

siadającej tapczan, świeżą słomą usłany i wąski kominek w rogu, na którym wesoło trzaskały płonące gałęzie.

Obertyński, pozostawiony sam, zaraz przysunął się do ognia, rozgrzewając zgrabiałe ręce.

Niedługo to trwało; zazgrzytał znów klucz w zamku, skrzypnęły podwoje i przez uchylone drzwi wpadł przedewszystkiem odgłos, który wstrząsnął gwałtownie sercem Romana. Na korytarzu płakało dziecko, płakało zupełnie tak, skarżyło się temi samemi monosylabami, jakiemi skarżył się nieraz jego Jasinek. Ale do izby wszedł szybko młody mężczyzna, drzwi zatrzasnął za sobą i stłumił płacz dziecka.

Byłoż to tylko złudzenie przedenerwowanej wyobraźni?

Mężczyzna, który wszedł do izby był wysoki, okryty czarnym płaszczem od oczu, błyszczących pod szerokiem rondem kapelusza, aż po koliste cholewy butów. Zamknąwszy drzwi odwrócił się, stanął w smudze światła kominkowego i nagle płaszcz opuścił. Obertyński zadrżał; przed nim stał Urfeld, zwracając nań twarz, tchnącą nienawiścią i pogardą.

— I na co ci to przyszło, mości panie Obertyński!... zawołał. Jesteś w moim ręku!

— Jestem w ręku Boga, przerwał mu.

— Nie, w moim ręku jesteś; ty pan z panów, szlachcic i rycerz, jesteś w rękach moich chudopacholskich, mieszczanina, urzędowaniem jeno odznaczonego.

— Deus mirabilis!... Lada godzina fortuna może się zmienić!

— Ja nie pozwolę, tej dziewce, losu pokornej słudze, oblicza do was odwrócić. Pospieszyłem się; tam już twój los zdecydowany, wyrok zapadł; jutro rano na śmierć cię poprowadzą, na szafot.

— Jest zatem przedemną jeszcze noc, dwunastu godzinami ograniczona i nieograniczona moc Boska.

— Nic ci ona nie pomoże. Śmierć cię nie minie!

— Śmierć niego nie minie, a kilkoma laty później, czy wprzódzi!...

— Wiem, że męstwo twoje nie tylko w wyrzucaniu bezbronnych zacnych ludzi folgę miewa i wierzę, że nie zadrżysz na widok kata z toporem w dłoni, na twój dumny kark czyhającego, ale i to wiem, że jednego dusza twa nie ścierpi, to dobrowolnego wyroku śmierci na żonę twą i dziecko.

Ponure, pełne nienawiści, lecz i zainteresowania spojrzenie Romana, było mu odpowiedzią.

— Syn twój jest w moim ręku... Nie wierzysz?... Skoczył ku drzwiom, uchylił je i rzucił w głąb ciemnego korytarza.

— Rudolf! bywaj tu!

Przytrzymał drzwi, któremi wszedł znany nam chłopak z dzieckiem na ręku. Maleć, otulony w opończę, smoktał w tej chwili kawał cukru trzcinowego i był spokojny, spostrzegłszy jednak ojca, rozkrzyczał się w niebogłosy, wyciągając do niego rączy-

ny. Obertyński także nie umiał się powstrzymać od objawienia najwyższego wzruszenia, rzucił się ku dziecku, ale uderzył się o pierś Urfelda, który mu drogę zastąpił. O jakżeż żałował w tej chwili, że go zabrano z kazamaty, w której przytulona do wystupu muru stała jego ostra szabla.

— Hola, panie Obertyński! Będziesz mógł uściskać i pożegnać syna, wprzód jednak pogadamy o warunkach, jakie dadzą możność zapewnienia dziecku i małżonce waszej bezpieczeństwa i spokojnego, a nawet szczęśliwego żywota... Rudolf, wynieś dziecko, bo nazbyt się drze; czekaj mego zawołania.

Rudolf wyszedł, wtykając znowu przemocą cukier w usta dziecka, a Urfeld zwrócił się do Obertyńskiego.

— Przekonałeś się, że dziecko jest w moich rękach. Małżonka wasza niemniej każdej chwili może znaleźć się pod moim dachem i w mojej mocy, ale ja nie chcę brać jej przeciw woli. Tuszę przeto, że waszmość pan, nie chcąc żonie najcięższej przeznaczyć doli, raczy jej rozkazać, uprosić i pismem przyniewolić, aby mnie poślubiła...

— Nigdy!

— ...aby mnie poślubiła, dziecku...

— Nigdy! nigdy! słyszysz!...

— ...dziecku ojca życzliwego dała...

— Po co ty to mi mówisz!... Sam nie wierzysz, abym upadł tak nisko, bym że-

nie taką wolę przyporuczył! Ja szlachcic, zacnie urodzony, ja...

— Małżonek i ojciec kochający!

— Tak, małżonek i ojciec kochający, nie może godzić się dobrowolnie, aby żona i dzieci do podlejszego ustępowały stanu, aby...

— Macie wóz i przewóz!... Ja małżonkę waszą bądź co bądź poślubię!...

— Ona ciebie nie zechce!... Zanadto mnie miłuje!

— Tak nie zechce sprzeniewierzyć się twojej woli i dlatego dufam, że jej tę ulgę zrobicie, osłodę w doli...

— Nie! nie! nie!...

— Zapominacie, że mogę małżonkę waszą bez żadnych Sakramentów do łożnicy swojej...

Porwał się Obertyński, piana wystąpiła mu na usta, ręce zacisnęły się kurczowo, skoczył ku Urfeldowi, ale ten umknął się tak szybko, że gwałtowne rzucenie się Romana, spowodowało silne uderzenie się jego o przeciwległy mur, aż jęknął, chwilowo zamroczony.

— Tak sobie nie poczynaj, panie podkomorzycu; nie zapominaj, że mam szablę przy boku, a za sobą straże i żołnierzy.

To powiedzenie Urfelda przypomniało Romanowi, że przecie nie zagasła jeszcze nadzieja wydostania się z więzienia, dzięki życzliwemu dozorcy. Opanował się i odezwał zmienionym głosem:

— Waszmość żądasz odemnie czynu nad ludzkiego. Na miły Bóg, wnikni waszm-

mość w mojej persony alterację!... Toć żeby wyrzec takowy wyrok na samego siebie, trza trochę ochłonąć, serca swojego srogi bunt opanować... Chcesz, żebym małżonce mej poślubienie ciebie, panie burmistrzu doradził. Bene, atoli jak zdołę to wykonać, jeśli nie drogą pisma, a zali utrzymam ja pióro, chociaże lekkie w swem ręku?... Nie ma rady, do jutra czas musisz mi pozostawić.

— Zgoda i na to; oto inkaust i pióro; miast papieru, naści skóry białej kawałek. pieczęci nie trza, bo sam ono pismo doręczę jejmość pani. Życzę spokojnej i mądrej decyzji waszmości; przyszlę wam jadło i wina gąsiorek dla animuszu.

Nienawistnym wzrokiem Roman zmierzył Urfelda.

— Dziękuję; kością w gardle stanęłoby mi wasze jadło, zatrułoby mnie wino! Natomiast suplikuję o jedno: pozwólcie mi tę ostatnią noc w życiu z synem moim przepędzić; pozostawcie mi dziecko!

Urfeld namyślał się chwilę.

— Małżonka moja wdzięczną wam będzie za oną łaskę wyświadczoną mnie, umierającemu, mówił przebiegle, a i ja łacniej powierzyć wam moją niewiastę i dziecko zdołę, widząc że nie jesteście okrutnym człowiekiem.

— Niech się stanie zadość woli waszej.

Urfeld wyszedł na korytarz, zostawiając za sobą drzwi otwarte.

— Rudolf, daj dziecko... Co to, śpi?

—Wsadził paluch w gębę i usnął.

— Daj, zaniosę go ojcu.

— Dać pokój, rozbudzi się i potem będzie się darł przez całą drogę.

— Ja go zostawię na noc u ojca.

— Co wam w głowie, miłościwy panie. Zali pomyśleliście nad tem, co robicie. Toć ten człowiek może raczej uśmiercić dziecko, aniżeli wam oddać, a takim sposobem cała wasza przewaga nad jejmością przepadnie.

— Masz rację, Rudolfie; lebski z ciebie chłopiec.

Jakaś ręka w żółtym kaftanie pociągnęła drzwi ku korytarzowi. Zazgrzytał klucz w zamku. Roman zatoczył się na tapczan, twarz ukrył w dłonie i zapłakał.

Rozdział X.

Promyk nadziei.

Promienna i zadyszana wpadła Szalitowa do alkierza pani Zofji.

— Nowinę! dobrą nowinę niosę wam, miłościwa pani! Tomko widział Heroda z Jasieńkiem.

„Herodem" przezwano Rudolfa, w przypuszczeniu, że porwał dziecko Obertyńskich.

Pani Zofja upuściła na kolana zwój koronki, którą miała wkładać do szkatułki, pobladła bardziej jeszcze i zsiniałemi usty wyszeptała jakieś niewyraźne pytanie.

— A no, cały dzisiejszy dzień moi bracia, Benek i Jędrek, biegali po ulicach, a Tomko chodził tu i tam w pobliżu domu Eskenów, w nadziei, że ten djabelski wy-

słaniec nie gdzieindziej jeno tam dziecko zaniósł, bo wiadomo, że Urfelda to matki rodzony i tam, przybywszy ze Szwedami zamieszkał.

— No tak, więc co, który z nich?...

— Benek i Jędrek zbiegli wszystkie gospody, każdy w innej ździebko posiedział; pod Trzema Koronami widział Urfelda ze Szwemem i Ulmachem, przysiadł się poblisko, ale nie wiele z ich rozmowy mógł wymiarkować, zdaje się, że o publicznych sprawach mówili.

— Więc Tomek?...

— Tak, dopiero Tomko gdy słońce już stało za Krzywą Wieżą zobaczył, jak z sieni domu Eskenów wyszedł on djabelec...

— Tomko go znał?

— Obie z Magdą detalicznie opowiedziałyśmy mu jak wygląda i że na kapeluszu ma pióro w połowie czerwone, w połowie żółte. Tedy Tomko dobrze poznał, że to on, choć się cały aksamitnym płaszczem przyodział... Ale aksamit był wytarty i łatany w kilku miejscach. Pod płaszczem tym chłopczysko miało dziecko, które płakało i wołało po polsku: „do domu, do mamy ce!"

Pani Zofja porwała się z krzykiem, twarz przysłoniła rękami i wybuchnęła płaczem. Szalitowa ciągnęła dalej.

— Tomko poszedł za nim parę kroków, a potem zagadał po niemiecku:

— Skąd ci ten przybytek, kawalerze, nie wstyd to, żeby taki szwarny chłopak rzemiosło niańki sprawował. A on rzekł

bardzo politycznie: Stulcie pysk, bo nie wiecie w czem rzecz.

— Nie, nie! zawołała pani Zofja! To są jakoweś przewidzenia. Kto porwał dziecko, to ukrył je dobrze, a nie spaceruje z nim po ulicy.

Szalitowa się obraziła.

— Ja dla waszego dobra rozpędziłam braci na cztery wiatry, nie pozwoliłam wrócić do domu póki jakowych śladów nie wywąchają, a wy łgarzy ze mnie i z moich chłopaków robicie!

Pani Zofja porwała ją za obie ręce, zwracając ku niej oczy łez pełne.

— Nie gniewajcie się, pani Krystko, boję się uwierzyć, abym zaś potem w gorszą rozpacz się nie zanurzyła. Alem wam sercem całem, duszą całą wdzięczna!

Przyciągnęła ją do siebie, całując serdecznie.

— Rozumiem, że wam dziwno być może, i ja w pierwszej chwili głową kręciłam niedowierzająca, ale skoro Tomko powiedział, że na rogu ulicy Żeglarskiej stał wóz namoszczony słomą, a w nim siedział Urfeld, i że Herod z dzieckiem wsiadł doń i pojechali kędyś wzdłuż Wisły, zgadłam, że snać dziecko wywieźli z Torunia.

Pani Zofja załamała ręce.

— Nieszczęsna godzino! Wywieźli kajsi mego jedynaka i gdzie ja go szukać będę? Kraju całego nie zbiegnę, gońcami nie obeszlę.

Zaniosła się płaczem, Krystka Szalitowa pocieszała ją ze swego punktu widze-

nia, że z tych okoliczności wnioskować można jedno, że dziecko uniknęło najgorszego wymiaru zemsty, to jest śmierci, a jeśli wywiezione, to zapewne aby zostało przedmiotem przetargów, w nietykalnych warunkach zakładnika. Ledwo udało jej się przekonać i cokolwiek uspokoić nieszczęśliwą matkę, gdy do alkierza wszedł p. Jazłowicki i rzekł zaraz od proga:

— Mam z imością w osobliwej materji na osobności pomówić!

Na twarzy Krystki odbił się wyraz przykrości; złożyła ukłon wchodzącemu i bez słowa ku drzwiom zmierzała. Przykrość jej odbiła się echem w subtelnej duszy pani Zofji, skoczyła za nią, wzięła w ramiona i do serca przycisnęła.

— Dziękuję wam, pani Szalitowo, za to troskliwe w mojem nieszczęściu baczenie i zachody.

— Albom to w nieszczęściu tem nie winna w pewnej mierze? Czym pilnowała dziecka tak, jakbym swego baczyła?

I rozpłakała się głośno.

— Cóż jabym miała taką miarą o sobie powiedzieć, któram dziecko pozostawiła w takie niebezpieczne czasy, a sama poszłam się zabawiać!

— Poszliście męża strzec.

— Tak, pewno!...

— Idę, bo się wielmożny Pelpliński pan niecierpliwi.

— Tak, zostawcie nas, a to... tu zniżyła głos... weźcie odemnie na pamiątkę. przyda się wam.

— Koronki brabanckie, cały zwój!... Gdzieżbym ja to przyjęła!... Zrobiła wam w manelach takowy ubytek!

— Weźcie, pani Krystyno, jeśli mój małżonek, a choćby tylko synaczek nie wróci, żałobne jedynie szaty patrzeć mi się będą.

— Zośka, sprawa jest osobliwie pilna, syknął pan Jazłowicki.

— Bóg zapłać, szepnęła Szalitowa, ujmując radośnie zwój koronek i wybiegła.

Pan Jazłowicki siedział za stołem, na którym rozłożył złotolity pas, a na nim dwie sakiewki, jedną pełną dukatów, drugą srebrnych pieniążków, guzy z korali zapomocą maszynek wciskane w ubranie, tabakierkę z kości słoniowej i ozdobę z granatów w kształcie komety z kołpaka Obertyńskiego. Pani Zofja pochyliła się nad tem, pełnym niepokoju wzrokiem zrobiła przegląd znanych sobie przedmiotów, pytające a śmiertelnego przerażenia pełne spojrzenie rzuciła Jazłowickiemu, a nie otrzymawszy zaraz uspakajającej nań odpowiedzi, zachwiała się i padła zemdlona. Niemało poniósł trudu, zanim położona na posłanie i roztarta solami, otwarła Zofja swe piękne, modre oczy.

— Per omnia sacre! opamiętaj się kobieto, nie wyprawiaj breweryj, a raczej oboma uszami i wszystkim rozumem twoim słuchaj i nad sposobem ratowania Romana...

— Więc on żywie?... Nie od trupa to zabrane pamiątki?

— Żywie i do tej pory, dzięki Panu Jezusowi i Pannie Najświętszej, cały i zdrów na ciele, one kosztowności szle tobie, bo jako od pozostającego w rękach nieprzyjaciół, snadnie przez jakowego łotrzyka zabrane byćby mogły.

— A gdzie? gdzie mój miły?

— W wieży Dybowskiego zamku.

— Boże miłosierny! Jakże go wydostać stamtąd.

— Gratio coeli, znalazł się dozorca z pośród obrońców Torunia, który do Romka jako do towarzysza się odniósł, nowiny nam przynieść przyrzekł i wszystko co cenne zabrał od niego, bo Szwedzi, jako i Niemcy, radzi zawsze przy takowej okoliczności dobrem cudzem się obłowić.

— Gdzie? gdzie jest ten wysłannik aniołów?

— W izbie go pozostawiłem, przykazawszy Szalicie dostatnio go nakarmić; wart tego.

— Och, sprowadźcie go tutaj, wuju miłościwy, chcę by nam wszystko o Romku rozpowiedział.

— Takżeście długo z Szalitową rzegotały iż mniemam jako do tego czasu dostatecznie naładował brzuch, zatem przyzwę go tutaj.

Oddalił się do izby gospodniej, a Zofja, z przyzwyczajenia, poprawiła włosy i przyprowadzała do porządku odzież przed przyjściem obcego. Wszedł z dobrą miną, bo pokrzepiony paru szklankami miodu i stanął przy drzwiach, wytłuszczonym, skó-

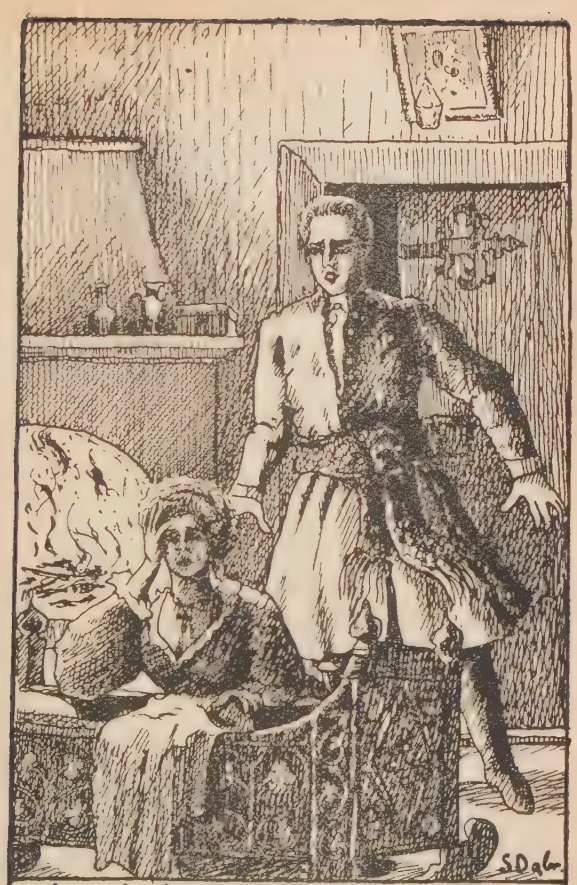

Jaś! Jaś!... dziecko.....
Niema go! niema!..

rzanym kaftanem wsparłszy się o białą ścianę alkierza.

— Przystąpcie bliżej, rzekła pani Zofja i mówcie: więc widzieliście mego małżonka?

— Jakżem nie miał widzieć, kiej już dzień był jasny, gdy go szwedzcy żołnierze z oficerem na korytarz wprowadzili, kazali zamknąć w nadrzecznej celi i strzec jak oka w głowie.

— Okrutnaż to kaźń?

— Pewno, że nie miłosierna; przez okna, szczurów pełna...

— O Boże!

— Gdy na Anioł Pański przynieśli kocioł ze strawą dla więźniów, zaniosłem i waszemu panu miskę strawy, bo mi nikt nie powiedział, żeby był, jako Łukasz Jagnek, łońskiego roku, na głodową śmierć skazany.

— O niech wam za to miłosierdzie Matka Najświętsza nagrodzi, a i mojej wdzięczności pewni być możecie!

— Zgadaliśmy się z panem chorążym, przypomnielim my obronę Brodnicy, no i tak, od słowa do słowa, oddał mi one kosztowności i iść tu pokłonić się waszmość pani przykazał.

— Boże on w takim strasznym lochu!

— To ino tak, na pierwsze składowisko; potem przyszedł główny dozorca, powiedział, że go do paradnej izby zabiorą, bo jakowiś wielmoże z miasta mają go odwiedzić.

I był kto?

— Widziałem, jak po zachodzie słońca szedł po schodach jakiś strojny pan, a z nim pacholę młode niosło na ręku płaczące dzieko.

— Dziecko!... Na miły Bóg!.. Nie byłoż to przywidzenie?

— Przeciem nie pijany, bo od świętej niedzieli pierwszy raz kusztyczek miodu wypiłem. Dziecko widziałem własnemi oczyma, włoski jak len, jak wielmożna pani podobne...

— Moja dziecina, mój aniołek drogi!

— I nietylkom widział, ale słyszał, z dobre trzy pacierze, płakało i wołało, to „mama", to „tata" to jakoś... „leska".

— Tereska! tak to on, nikt inny, on zawdy na Tereskę „leska" wołał! No i co, czy tę dziecinę takoż do więzienia wtrącili?

— Widzi mi się, że tak, i to z naszym panem chorążym pospołu, bo jego ino celę otwierałem, wszedł tam najprzód sam jeden on wielmoża, potem giermek z dzieckiem, no i pewno malca ostawili, bo jakiem zszedł na dół, żeby więźnia z pod krzywej belki na sąd wyprowadzić, wróciwszy spotkałem obu na schodach, ale dziecka snać nie było, bo płaczu nie słyszałem.

— Boże, Boże, czy aby go ostawili przy moim małżonku!.. Może zabili go w oczach ojca, by najsroższą zadać mu męczarnię!

— Poco takowe rzeczy suponować, które jeno mdłość członkom naszym i sercu

zadają, lepiej mężnie, stando*) nieszczęście spotykać, a trzeźwym rozumem baczyć, zali skąd jakowy ultor**) się nie jawi. Ja myślę, że Urfeld, chce ich społem mieć na oku, a o okupie teraz pomyśleć, boć taki mieszczuch vulgaris*), jakowych szlachetniejszych sentymentów i szukania czystej, bogom miłej zemsty, chęci w duszy swej nie posiada.

— To jedno niedobrze, odezwał się tu zakłopotanym głosem Rybka, że Urfeld, który mnie w dozorstwie do jutrzejszego południa zastąpił, otrzymał zlecenie, żeby rano żołnierzy puścił, co pana chorążego pod topór katowski poprowadzą.

I znowu wiadomość ta nie była proporcjonalna do sił pani Zofji, omdlenia następowały jedne po drugich, aż topiony wosk na podołek lano i dopiero srogi ból fizyczny przemógł moralny i pozwolił jej przywołać wszystkie władze umysłowe dla obmyślenia środków ratunku.

Nastąpiła nagła reakcja, Zofja po męsku brała udział w debatach nad sposobami wykradzenia Romana. Dowiedziano się od Rybki, że dla dotarcia do niego trzeba pozbyć się, lub przekupić trzech dozorców: jednego przed bramą, drugiego w podwórzu, trzeciego w korytarzu. Rybka brał na siebie pierwszego, krewniak jego, z rodu Rybków, niegdyś najpierwszego w cechu rybitwów, krzywdzonego przez zawi-

*) stojąc **) wybawca

*) pospolity

stnych Niemców, który nienawiść do nich z piersi matki wyssał. Przyłożyć mu kilka dukatów nie zawadzi, boć będzie musiał czemprędzej zabrać żonę i dziecko i zejść z oczu dawnych swych panów. Do dwóch drugich dozorców trzeba będzie zastosować przemoc, bo są nimi świeżo przybyli Szwedzi.

W przewidywaniu tego pan Jazłowicki poszedł, aby poszukać kilku zbrojnych pachołków, którzy za dobrą zapłatą, zdobędą szwedzkie przebranie i kogokolwiekbądź z lekkiem sercem zasztyletują. Zabrał z sobą Rybkę, by go jeszcze przed niebezpieczną drogą pokrzepić, pozostawiając Zofję, podnieconą i zgorączkowaną.

Gdy po godzinie wszedł do jej alkierza, spostrzegł ze zdumieniem siedzącą w obcisłym stroju męskim, który jej już zmienioną figurę śmieszną czynił. Stojąca za nią Krystka starannie włosy jej pod okrągłą czapkę chowała.

— Na miły Bóg, a to co za maskarada!? Zośka, zamyślaszże z nami iść?

— Jako żywo; pani Krystka szaty Gustka, najmłodszego brata swego, mi przyniosła.

— Ale jakże ty wyglądasz! Każdy łacno pozna, żeś białogłowa.

— Płaszcz tu dostatni mam.

— Ale przecz chcesz iść z nami? Pomocą nam nie będziesz, jeno przeszkodą!

— Ja muszę iść!

Niebezpieczeństwo primas partes *) ściągniesz na siebie... A skoro jeszcze zaczniesz brewerje i mdłości, płacze i czkawki jako przed godziną było, piękna będzie historja.

— Zobaczycie jako mężnie się zachowam.

— Ale przecz, przecz ty z nami w onych niebezpiecznych perypetjach?

— Tam może dziecko moje... kto jeśli nie ja w ramiona swe weźmie i utuli!?

XI.

Odsiecz.

Wśród przejmująco czarnej nocy szli poślizgując się na miejscach równych, utykając w dziury i rozpadliny, klnąc bezwiednie.

Benek, Jędrek i Tomko Wendorfowie sami zaofiarowali swe bezinteresowne usługi, w miejsce płatnych i zawsze niepewnych najemnych zbirów. Dorodni, krzepcy, wyrobieni w sztuce wojennej czasu długotrwałego oblężenia, szli teraz ochoczo, chęcią wrażeń z jednej strony, pragnieniem przysłużenia się dobrej pani Zofji z drugiej pędzeni.

Pan Jazłowicki szedł pierwszy, obok Rybki i otrzymywane od niego szeptem ostrzeżenia, przekazując postępującym za nim.

— Stańcie, szepnął Rybka, tu w pobliżu musi być chata mego kumotra, który

*) przedewszystkiem

nas łodzią przeprawi do Dybowskiego zamku.

Zatrzymali się wszyscy i podczas gdy Rybka oddalił się na lewo, pokrzepiali się winem z manierek.

— Czy aby nie poszedł on nieprzyjaciół uwiadomić, którzy nas tu otoczyć mogą z odcieniem trwogi szepnął Tomko.

— Wszystko w mocy Boga, również nie bez niepokoju dodał Jędrek.

— Możecie być bez niepokoju, mości panowie, przeczby to czynił? dla zysku?... Nie miałże bogactwa małżonka mego, trzosów pieniędzy pełnych, guzów koralowych, pasa, które nie za byle grosz mógł sprzedać jakiemu żydowinowi? Mógł to zrobić i ktoby go karał, ktoby wiedział?

— Aż mi cudnie, że tyle uczciwości w grubem chłopisku się mieści, zauważył Benek Wendorf.

— Cichojcie, szepnął Jazłowicki, ktoś skrada się ku nam.

Zaparli dech, rzeczywiście, jakieś ciche stąpania szły prosto ku nim, zaułkiem prowadzącym od rynku.

— Policzyli kości moje, wyssali krew moją, o szaty moje kości rzucali, rozległ się ponury, ochrypły głos tuż przed nimi.

Wzdrygnęli się wszyscy; pani Zofja drżąc przypadła do boku Jazłowickiego. Benek objaśnił szeptem:

— To Choim, żydowin, który czasu niewoli tureckiej przy jednym chrześcijaninie, na galarach społem w ciężkim trudzie pracując, przez onego nawróconym został

i wody chrztu świętego zapragnął. Ochrzczony, gdy za sprawą wojewodziny Żółkiewskiej do kraju powrócił, był przez swoich tak męczony, że mu rozum do cna przewrócił się w głowie.

— Jeśli którego z nas zaczepi, dodał Jędrek nie trza mu sprzeciwu czynić, bo wonczas rzuca się, gryzie, jak dziki zwierz i dusić usiłuje. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, wyrzekł w tej chwili, spostrzegając, że Choim ręce na jego ramiona składa.

— Na wieki, wieków, amen. Śmierć krąży koło ciebie, ale nie lękaj się jej, albowiem po krótkim żywocie ziemskim, żywot wieczny cię czeka.

Złożył na twarzy jego pocałunek, zimnemi jak lód ustami i nucąc psalm, oddalił się brzegiem Wisły.

— Wolejby zbrojnego pachoła, któryby mnie pod bok nożem żgnął, spotkał niż onego śmierci wysłannika przeklętego! rzekł spluwając Jędrek.

— Gadasz waszmość bez sensu i chrześcijańskiej uczciwości, rzekł Jazłowicki. Człek ten w wielkiem poszanowaniu u niebieskiego dwora być winien. Wiera, nie zapragnął on wody chrztu świętego, jako pierwsze Chrystusowe, a apostolskie drużyny, nie cierpiał to męki srogie, rękami zbrodniczych współbraci zadawane? A choć mdły rozum onych nie przemógł boleści, usta nie przestają wielbić Pana nad Pany, wielką nauką nam urodzonym chrześcijanom...

— Cichojcie, idą...

Rzeczywiście wśród ciszy nocnej rozległy się kroki, dwóch osób, stąpających ciężko, choć starających się nie czynić kroku pewnym i posuwistym.

— Rybka? rzucił pytająco Jazłowicki.

— Panu Jezusowi chwała, jest tu ze mną Czech, kumoter... wzięliśmy też drągi dla panów braci Wendorfów, bo kumoter powiada, że łodzią nie przejedziem jako, że wykutą w lodzie przeręblę już świeżym lodem zaciągnęło. Niema innej rady jak prom.

— Zgoda i na prom.

Na rzece zdawało się dużo jaśniej; na prawo i lewo szerokie płaszczyzny ośnieżonego lodu czyniły bardziej plastyczną sylwetkę miasta z jednej strony Dybowskiego zamku z drugiej. Woda czarna i bez blasku, monotonny plusk promu i ciężkie sapanie kierujących nim ludzi składały się na przykry i ponury akompanjament pieśni duszy, która strasznym niepokojem napełniała panią Zofję.

Gdy przybili na drugi brzeg, Jazłowicki hojnie wynagrodził Czecha, aby nie wątpił, że warto mu było zakłócić sobie spoczynek w ciepłej izbie i polecił czekać dla zabrania ich nazad za ponowną zapłatą. W milczeniu podeszli kilkaset kroków.

— Wstrzymajcie się waszmościowie, rzekł Rybka, sam pójdę rozmówić się z krewniakiem.

— Masz dla niego sześć dukatów!

— Boga mi! za tyle złota możnaby i Judasza przekupić, a Bartek prawy chłop.

Oddalił się, Pozostałą gromadkę pod ponuremi murami zamku ogarniało coraz dotkliwiej poczucie niebezpieczeństwa i grozy; w ciągu kilkunastu minut musi rozstrzygnąć się niebezpieczna partja, albo wyjdą zwycięsko tą oto bramą nabijaną olbrzymiemi gwoździmi, albo legną poza nią krwawemi trupami, lub co gorsza skrępowanymi jeńcami w rękach niemiłosiernych wrogów. Pani Zofja czuła szum w głowie, gwałtowne tętno w gardle. Przed oczyma jej duszy zarysowały się kolejno fantastyczne obrazy, raz męża rozpromienionego, oddającego jej uradowane dziecko, to znowu okrutną wizję celi, na podłodze której leżał krwawy trup dzieciątka, a ponad niem pochylająca się, okaleczała straszna postać męża, który był już w rękach oprawców, drogą tortur wymuszających zeznania. O tylu okrucieństwach mówiło się w owych czasach, jak o chlebie powszednim, wszystkie w spotęgowanej gorączką wyobraźni, szkicowały obrazy straszliwe i kazały wzdrygać się duszy.

Rybka powrócił zadowolony. Krewnia ka przekonał bez trudu, dowiedział się od niego hasła i imienia dozorców z podwórca i korytarza, przytem rad zaznaczał, że nie spowoduje nawet wielkich zmian w życiu Rybki-Kiełbia, bo ten żonę i dzieci jeszcze przed wejściem Szwedów do Torunia, do rodzicieli pod Chełmno wyprawił i sam,

tam w szeregu, gotowym do skoku i uderzenia. Wartownicy zwyczajni są po nocy po korytarzu się przechadzać. Zatem skoro znajdzie się pod naszymi drzwiami, a odwróci od nas, trza jednemu zręcznie a śmiało z tyłu go uderzyć, a drugiemu w tejże chwili płaszcz mu na łeb zarzucić, żeby zaś jakowego tumultu nie uczynił.

— Ja pójdę pierwszy! ja! ja! ja! wołali jeden przez drugiego bracia Wendorfowie.

— Ja wprawny jestem w uderzaniu, wołał Tomek, mało to wołów od jednego pchnięcia położyłem u taty w bydłobójni!

— Ty Benek, zawracaj, miałeś już uciechę dokonać tamtego.

Uradzono, że w samym otworze drzwi stanie Tomek, za nim Jędrek, Jazłowicki, Benek, nakoniec Zofja z Rybką. Ustawiono się w tym porządku i kilka minut trwano z zapartym oddechem.

— Niema go, czy śpi? szepnął Jędrek.

— We drzwiach jest kryte okienko, zauważył Rybka, poszukajcie lewą ręką guzika na wysokości waszego ucha.

Przysłonkę z cyzelowanego żelaza odkrył Tomek, uniósł, rzucił okiem w korytarz i szepnął radośnie:

— Śpi!

— Idź, bij!

— Stój, stłumionym głosem zawołał Jazłowicki. Trza się upewnić.

— Śpi, mówię wam, w szparze drzwi słychać jak chrapie.

— Pomalusku odsuwaj drzwi.

— Nie, szarpnijcie je raczej, radził Rybka, inaczej skrzypieć będą. Czekajta ja sam to uczynię.

Podsunął się do drzwi, szarpnął je i w połowie przytrzymał, przytem z zadowoleniem spojrzał ku Jazłowickiemu:

— Żebym tyle co paznogieć u małego palca posunął dalej, już by skrzypnęły, jak szubienica, sto lat na dworze stojąca.

— Jędrek, ty ze mną! Na palcach!... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

Jak złe duchy w swych czarnych płaszczach przesunęli się pędem przez korytarz, rzucając się ku śpiącemu żołnierzowi. Jak gdyby sam na śmierć się skazywał, ułożył się odpowiednio, łokcie wsparłszy na kolanach, głowę wtuliwszy w dłonie, a szeroki czerwony kark otoczony białym kołnierzem, pod ciosy napastników podając; błysnął sztylet i zniknął w nim do połowy, lecz snać zsunął się po kości i wbił się w mięśnie, porwał się bowiem żołnierz z sykiem i rozpoczął rozpaczliwą obronę. Zdołał wyciągnąć szablę i machał nią przed siebie, bez żadnej sztuki i zasady, pomimo to, odciął już ucho Jędrkowi Wendorfowi, i przeciął wzdłuż całe ramię Tomka.

Rybka tymczasem pochwycił klucze od cel, leżące na ławie.

— W której mój małżonek? bez tchu rzuciła Zofja.

— Nie wiem!

— O Boże!

— Otworzyć kilka cel, wypuścić kogo się da, komenderował Jazłowicki; trza, że-

by się nie zorjentowano dla kogo zrobiony był napad.

Zofja, Benek i Rybka rozebrali między siebie klucze, i według numerów kierowali się do drzwi.

Tymczasem wobec krzyków żołnierza, usłyszano łupot kilku par butów na podwórzu.

— Możecie się nie trudzić ichmościowie zawołał po niemiecku Jazłowicki, który przez otwór strzelnicy ujrzał biegnących ku wieży rajtarów, więzień jeden wywalił popsowane u dźwierzy zawiasy i uciekać chciał, alem mu już kopyta poprzetrącał i leży cicho.

— Nie trza wam pomocy?

— Przeciw onemu pół żywemu nieborakowi?... Powiadam, możecie spokojnie w kości grać dalej.

I rzeczywiście napadnięty żołnierz leżał już cichy, tylko krew bulgotała z przerzniętego od ucha do ucha gardła. To Jędrek pomścił tak swe kalectwo rzeźnickim nożem.

Równocześnie otwarło się troje drzwi więziennych. Pani Zofja ledwie zdołała się rozejrzeć w celi, z najciemniejszego kąta której, z barłogu zwalókł się chory Morwa, gdy silne jakieś ramiona otoczyły jej kibić od tyłu. Poznała ten rodzaj przygarnięcia, odczuła go przy sobie. Z krzykiem radości odwróciła się i na szyi mu zawisła.

— A dziecko? Jasinek? zapytała przedewszystkiem.

— W bezpiecznem miejscu, bo jako widzę, za zakładnika go mają.

— Nie zabawiać się! nie zabawiać ichmościowie, nawoływał Jazłowicki. W nogi! aby się wróg nie obaczył. Jędrek zawiń głowę choćby moim pasem, niech krew na śladach naszych kierunku drogi nie zdradzi. Mości Tomaszu, otul rękę dobrze rękawem. Prosto ze schodów, a cicho, za Rybką, za Rybką! Bacząc, że w kordegardzie i wartowni żołnierze! Cicho, ostrożnie.

Przemknięto się przez podwórze i bramę, Jazłowicki zewnętrzną bramę zamknął na dwa spusty i klucz rzucił do Wisły.

— Nie wydostaną się łacno dla zarządzenia pogoni, mówił.

XII.

Jędrek Bez-Ucha.

Księżyc wyjrzał z za chmur i oświetlił szybko podążające postaci, z których dwie przytulone do siebie i okryte jednym płaszczem słowa gorącej miłości szeptały.

Krystka Szalitowa oka nie zmrużyła tej nocy. Sama jedna wtajemiczona była w cel wyprawy, nie tylko sercem siostry, nie tylko życzliwej kobiety, ale i romantyczną trochę głową pragnęła powodzenia i triumfalnego powrotu Obertyńskiej i braci. Równomierną z siłą pragnienia była siła niepokoju, dlatego odczuwała go o tyle więcej, aniżeli czasu oblężenia, gdy co noc po kilku z jej czternastu braci by-

wało wśród obrońców. Wielokrotnie podchodziła do okna, uchylała małą szybkę z szafirowego szkła i wsłuchiwała się w ciszę nocy, przed świtem jeszcze wstała, włożyła futrzane buty męża, otuliła się szubą, zbiegła na dół i z bijącem sercem stanęła przy wrotach. Instynkt jakiś widocznie wiódł ją w to miejsce w owej chwili. Doszedł ją bowiem wyraźny odgłos kroków kilku osób i szmer rozmowy. Wytężyła wzrok i po sposobie wahadłowego przerzucania się z boku na bok przy stąpaniu poznała Jędrka, zmierzającego wprost ku niej w pierwszym szeregu.

— Jędrek! krzyknęła radośnie, nie mogąc podbiec, dół spódnicy bowiem zaplątał się w ciernie i musiała starannie zdejmować rąbek z kolcy, aby nie rozszarpać materji! Jędrek! bywaj! powtórzyła, gdy już ją mijał.

Ale on nie zwrócił na to uwagi, mijając ją bez słowa. Spojrzała za nim; wydało jej się, że ma w sobie coś upiornego, w ogromnej, rozniesionej głowie.

Nie zdołała się zorjentować, że cały płaszcz otacza jego głowę, gdy nadchodzący Benek i Tomko wykrzyknęli radośnie:

— Bywaj siostro miła, ano dzięki Panu Jezusowi wracamy żywo!

— I cało, dodała radośnie, biorąc w ramiona szczególniej umiłowanego przez siebie Tomka.

— A no cało nie bardzo, odrzekł z uśmiechem; mnie jucha Szwed grobłę od ramienia po łokieć szabliskiem uczynił,

a Jędrkowe ucho może już więzienne psy w onej chwili dojadają.

— Co mówisz! ucho?... ucho całkiem odcięte?

— Jako hubka od drzewa — jednym zamachem.

— Rany Boskie! jako on bez ucha żyć będzie?

— A no wszystko w mocy Pana Jezusowej.

— Będzie się zwał Jędrek Bez-Ucha i ułatwi ludziom odróżnianie wród Wendorfów, których zawielka hurma w naszem mieście, śmiał się Benek.

— Lepiej mu zwać się bez ucha, niż bez dowcipu.

— Jezu Nazareński, króla żydowski, ależ to go strasznie boleć musi.

— Pewno, że go swędzi, a nie głaszcze.

— Zaraz po lekarza poszlę, żeby go opatrzył.

Weszli wszyscy do jadalni Szalitów, wesołej z powodu jasnych, jesionowych mebli i mnóstwa pstro malowanej porcelany rostawionej na policach.

— Mój Jędrusiu miły, tak że cię on pluder okaleczył, mówiła z czułością Krystka, odwijając płaszcze z jego głowy, silnie krwią przesiąknięty.

— Owinęliśmy mu łeb płaszczem, żeby ślady krwie pogoni za nami nie ułatwiły.

— O Jezu Nazareński! O Matko Bolesna litościwa! lamentowała Szalitowa, odrąbane, do cna odrąbane ucho i kawał mięsa z twarzy odcięte jak przez rzeźnika.

— Naszlachtuję ja ich za to, naszlachtuję, mówił zaciskając zęby z bólu Jędrzej.

Szalitowa i Benek jęli się przemywania ran Jędrka i Tomka.

— Ale powiadajcie, jako to było: dostaliście aby pana Obertyńskiego?

— To się wie, gdzie trzech Wendorfów było, tam przynajmniej trzech zratowanych być musi.

Wiecie kogośmy w onej wieży jeszcze znaleźli? A to pana Morwę, towarzysza pancernego.

— Tegośmy przez całą drogę społem z panem z Pelplina prawie nieść musieli, taką chorobą nawiedzon, gorąc od niego bił jak od piekarskiego pieca opowiadał Benek.

— A kto tam był jeszcze?

— W jednej kaźni siedziało czterech: Bejda Władek i trzech jeszcze, których nie znamy, ale chłopy na schwał, a bardzo polityczne.

— A gdzież pani Zofja? pan z Pelplina?

— Nie chcieli pana Obertyńskiego tu przywieść jako, że skoro się pomiarkują, tu przedewszystkiem szukać go mogą. Poszli ukryć go w jednej z zagród ojcowej bydłobójni, nocą go z miasta wywiozą.

— Ale i oni wnetki powrócą, w łoża jak by nigdy nic lec, żeby jak przyjdą żołnierze podejrzeń nie powzięli.

Jakoż o świcie przybył Jazłowicki z Zofją. Młoda kobieta powitana krzykiem radości przez Szalitową, padła jej w ra-

niona z płaczem, dając folgę zdenerwowaniu, opanowywanemu przez noc całą. Krystka pomogła jej zrzucić męskie szaty i położyła do łoża, poczem przyniosła gorącą polewkę i karmiła jak dziecko drżącą kobietę słuchając planów, jakie snuła:

— Romana nie można ostawić w Toruniu; wujo Jazłowicki obiecał mi zabrać go do swoich dóbr. Ja w mieście ostanę, póki Jasieńka nie odbiorę.

— Skąd pewność, że go odbierzecie?

— Wiemy już, jako w rękach pana Urfeldowych się znajduje; pewnie on łotr będzie chciał grzechu i niesławy mojej za oddanie dziecka.

Krystka pobladła.

— Przystaniecie i na to?

— Będę zapewniała go, że tak uczynię. A skoro dziecko znajdzie się w moich rękach... Panu Jezusowi tylko wiadomo, co się zrobi; może go własnemi rękami uduszę!

— Daj wam Bóg, daj wam Bóg tyle mocy.

I nagle jej ładne, piwne oczy błysnęły radością.

— Dopuśćcie go tu, do alkierza, choćby do łoża, a skoro będzie gotów, zakrzyknijcie na mnie, będę w pobliżu!... Szpilkami psubrata nabijemy! Ukropem po odrobinie sikać na niego będziemy.

— Byle Jasieńka mieć! byle Jasieńka mieć.

Ledwie kilka godzin wypoczęła pani Zofja. Zabrała się gorączkowo do przygo-

towania wyprawy męża. Około południa sprowadzono do bydłobójni zaufanego cyrulika, ogolono starannie, przybrano w niewieście szaty, zawoje białe starannie na twarz nasuwając.

Zastali go zupełnie nagim, tulącym się w baranie, niewyprawiane skóry, których w schronieniu tam było poddostatkiem.

Opowiedział, że wkrótce po pozostawieniu go tutaj przez żonę, przyszli jakowiś dwaj ludzie, których twarzy dla ciemności nie mógł odróżnić i wezwali po imieniu hajduwerów, bielizny i szkaplerzy, jedynych przedmiotów, jakie miał na sobie. Polecili mu potem okryć się skórami i zapewniwszy go, że czynią to dla jego dobra, odeszli.

Przebrany w niewieście szaty Obertyński udał się w towarzystwie jednego z pachołków pana Wendorfa do gospody pod Trzema Koronami, gdzie tytułowano go kasztelanową Leszczyńską i wielkie honory czyniono.

Szalitowie, Jazłowicki i Obertyńska dzień cały z niepokojem wyczekiwali rewizji i połączonego z nią zazwyczaj rabunku. Wieczór jednak zapadł, ten i ów przyszedłszy z miasta opowiadał o zuchwałem odbiciu więźniów z Dybowskiego zamku, o zamordowaniu dwóch dozorców, jednego więźnia, oraz o ucieczce żołnierza wartownika będącego zapewne w zmowie z napastnikami.

Zupełnie już po nocy przyszli Benek i Jędrek Wendorfowie, ten ostatni z głową

tak omotaną w opatrunki, że ledwo twarz widać mu było i zażądali od siostry, aby poprosiła do jadalni panią Obertyńską. Przyszła niepokoju pełna, zali nie przynoszą jej jakiejś złej wiadomości. Ale młodzieńcy mieli twarze pogodne i wesołe. Na wstępie oznajmili, że po dłuższej naradzie z panem Jazłowickim i kilku ze starszyzny postanowili wywiezienie Obertyńskiego opóźnić, dowiedzieli się bowiem, że narazie wszystkich wyjeżdżających zatrzymują przy rogatce, badając i rewidując. Ale jednocześnie zapewniali panią Zofję, że mąż jej w większem jest niż kiedykolwiek bezpieczeństwie, zarząd więzienia bowiem ma go za umarłego.

— Ledwośmy się rozstali z waszą miłością, mówił Jędrek i weszliśmy na Mostową, potknąłem się o jakieś ciało. Benek zaświecił hubkę, patrzymy chłop okazały na ziemi leży, z głową rozrąbaną czekanem; snać dla rabunku go rozpłatali, bo miał zabrane wszystko co na osobie i w kieszeniach wielmoży, a takowego zdradzały szaty i bielizna, znajdować się zwykło. Pomyślałem se: żeby tak leżał bliżej wieży, powiedzieliby że i ten to nasza sprawka. Zatem, rada w radę z braćmi, postanowiliśmy zbudzić Bartka i Otta, najsilniejszych i najbardziej rozmiłowanych w rzeźnickiem rzemiośle, parobków naszych i przyporuczyć im zabranie od pana Obertyńskiego odzienia wszystkiego co Szwedzi pozostawili na nim, przyodziania w nie trupa onego wielmoży...

— Za to mieli podzielić się przyodziewkiem zdjętym z niego, wtrącił Benek.

— Tak, przyodziewkiem dostatnim. Potem odrąbać mu łeb, a ciało pozostawić u wrót więzienia...

I ścięcia tamże dokonali.

— Jako żywo. Łeb cisnęli do Wisły, a...

— I dali się Szwedy na hak przywieść, przerwał rozpromieniony Benek. Otto, adając rybitwę, jął w pobliżu przeręblę wyrąbywać i widział, jak zeszła się starszyzna cywilna i wojskowa, jak przywieźli pana, na którego Urfeld mówili, a ten zapewniał, obejrzawszy ubranie i medaliki, jako to nikt inny jeno pan Obertyński być musi.

— Nie mogło inaczej być, zawołała wesoło pani Zofja; na jednym z nich, z wizerunkiem Najświętszej Panny ze Świecia, kazałam w czasie wyryć: „najmilszemu Bomkowi, żonka Zosieńka".

— Jakoż przy takim corpus delicti miał mieć wątpliwość!

— Czy jeszcze mógł co zasłyszeć on pachoł?

— Juści, toć się tam gromadka ciekawych niemała zebrała, przystanął on bliżej jeszcze od drugich, a że doma u nich tylko po niemiecku mówią, rozumiał, jak się dziwowali czemu zaś jego zamordowali. Jedni powiadali że zrobili to nasi, to jest Szwedzi, inni temu negowali, dowodzący, że żołnierz byłby szpad przebił, lub czemniebądź na śmierć rozsiekł, ale przecz głowę mu uci-

nął i zabierał ze sobą? Zdecydowali przeto, że nie może to być inaczej, jako, że pan Obertyński już ranny od którego z dozorców, pod bramą bez życia padł, a inni chcąc odwrócić od siebie pościg, głowę odrąbali. Stąd wniosek, że wykradzenia dokonali pana Morwy, alibo Bejdów zwolennicy, bo gdyby tam byli pana Obertyńskiego przyjaciele, toby na takowe sponiewieranie trupa nie pozwolili.

— Zatem wszelakie niebezpieczeństwo od męża mego odwrócone! zawołała radośnie pani Zofja. Cko wroga już go nie ściga! Wszystko to dzięki wam, zacni panowie Wendorfowie.

— A no jakoś się zrobiło z Pana Jezusową pomocą, rzekł Benek. Ale co ten pomysł z trupem, co nam go Pan Bóg na Mostowej przygodził, to tylko Jędrkowy pomysł.

— Ach! dla pana Jędrka, wdzięczność moja nigdy nie będzie miała miary. Tu słaby jeno, mizerny i najlichszy jej dowód.

Podała mu niewielki obrazek kwadratowy ze złotej blachy zrobiony, na którym wypukły wizerunek Matki Boskiej z dzieciątkiem Jezus się znajdował; zawieszony był na złotym łańcuchu misternej roboty.

— Ryngraf! wykrzyknął z radością Jędrek biorąc przedmiot i przypadając do kolan Zofji. Ryngraf! jakbym rycerzem, alibo towarzyszem pancernym był!

— Daj wam Bóg jak najprędzej nim zostać! Co będzie w mojej i w męża mego mocy, to waszmości w tem pomożemy.

Trzymaj się tylko waszmość mego małżonka.

— Ja i bez tego już sobie postanowił nie opuszczać pana Obertyńskiego. Zapytaj się, miłościwa pani Krystki, zalim jej nie powiadał, że pod postacią woźnicy z panem chorążym pojadę.

— O Bóg wam zapłać!

— Kalekam już, bez ucha, ależ to mi nie przeszkodzi w każdej okoliczności zasłonić go i ratować.

— Więc przedewszystkiem pomnij waść jedno; znasz Albina Urfelda, burmistrza kościerzyńskiego?

— Znam.

— Zapamiętaj przeto; to jedyny małżonka mego śmiertelny wróg; od niego broń go i strzeż!

XIII.

Przez dwa dni następne domniemana podkomorzyna Leszczyńska grała w warcaby z panem Jazłowickim, a pani Zofja z niepokojem i niecierpliwością wyczekiwała przyjścia Urfelda, nie mając żadnej wątpliwości, o co ubiegać się i jakie warunki stawiać będzie.

Trzeciego dnia była już w formalnej gorączce, drżała o życie tego wroga, nieledwie tak, jak o życie męża swego lękała się dni poprzednich. Na przypuszczenie, że stało mu się cokolwiek, że już nie przyjdzie więcej, serce jej bić przestawało, bo jak wówczas szukać Jasieńka? Jakiemi drogami dążyć do niego?

Pod wieczór dopiero wbiegła Krystka i zakomunikowała jej z błyszczącemi oczyma:

— Przyszedł, przyszedł; szaty ma na sobie nikiej jaki wojewodzic, albo zgoła i królewicz; a olejkiem różanym leci od niego, jak od Greka handlarza wonności.

— Czy pytał o mnie?

— Nie wiem; z okna na górze go ujrzałam, przez izbę gościnną przebiegłszy, widziałam, że przy ladzie, snać dla animuszu, szklanicę najstarszego miodu ciągnie, a rad pogląda, że siedzący mieszczanie strój na nim wielkiej ceny podziwiają.

— O zdaje się, że idzie tu.

— To dobrze; nie odchodźcie zaraz pani Krystko, niech wie, że życzliwą niewiastę mam przy boku.

Zakołatano do drzwi, które wnet otwarły się jak szeroko i na ciemnem tle, pogrążonej w mroku izby gospodniej, ukazał się Rudolf. Miał na sobie krótki obcisły strój, właściwy giermkom, z niebieskiego jedwabiu, złotą frendzlą i galonami przybrany, na ramionach szeroki kołnierz z koronką, sztanowate włosy.

Paniątko, rzekłbyś, z królewskiego dworu.

Rudolf swe zimne, lśniące jak z porcelany oczy zwrócił na siedzącą pod oknem Zofję, usta jego przybrały wyraz ironji; wytrzymał ją chwilę pod strzałami tego wejrzenia nie kwapiąc się ze słowy. A Zofja na widok tego pięknego, a tak dla niej

groźnego pachołęcia uczuła coś, jak lodowatą rękę, która brutalnie pochwyciła jej serce i zatargała boleśnie; czuła, że blednie, że siły ją opuszczają, to też na wygłoszone przez Rudolfa: „Imci pan Albin Urfeld, burmistrz kościerzyński", ledwie dosłyszalnym głosem wymówiła:

— Poproś!

Albin Urfeld strój miał poważny, złożony z żupana z materji genueńskiej, na tle złotogłowym tłoczone aksamitne czerwone kwiaty i kontusza ciemnozielonego z lijońskiego aksamitu o wylotach z bladoróżowego atłasu. Przepyszny pas, kołpak soboli, delja podbita błękitnemi lisami dopełniały bogatej całości. Ziamał się wpół w ukłonie i szedł tak zgięty aż do jej kolan, które ścisnął pokornie.

Chciała wyrzec jakie powitanie, ale gwałtowne bicie serca, ściskało jej krtań i nie dopuszczało do słowa. Podniósł na nią oczy; wydała mu się piękną jak nigdy, w czarnej sukni i kwefie upiętym na jasnych włosach.

— Pani miłościwa, rzekł zająkliwie, nie wątpię, że wiesz... że nie mniemasz... że wierzysz mi... Oto klnę się na Boga, żeby tak kule, mór i zaraza mijały mnie szczęśliwie, jako prawdą jest, że nie jam winien śmierci waszego małżonka.

— Nie wątpię o tem.

— Jakżem szczęśliwy, że to słyszę. I ktoby nie chciał, mogę mu zaprzysiężonych na krzyż i na kord świadków postawić, żem onej nieszczęsnej nocy spał w mie-

szkaniu wuja mego Wilhelma Eskena, nic o niebezpieczeństwie grożącem waszemu mężowi nie wiedząc. Żeby tak siarczysty ogień nie...

— Poco te zaklęcia, mości panie burmistrzu, przerwała Zofja, gdy ja z mej strony przekonaną jestem, żeście nie targnęli się na życie mego małżonka. I ja wiarę mą zaprzysiąc mogę, na dziecko moje, oby przy życiu będące.

— Żywie wasze dziecko! żywie!

Zofja porwała się z miejsca.

— Wróć mi go, wróć! gdy w twoich jest rękach, błagała.

Urfeld zmieszał się.

— Nie w moich ci on jest rękach, ale wiem, gdzie się obraca i wierzcie mi, czuwam nad tem, aby włos mu nie spadł z głowy.

Zofja błagalnie złożyła ręce.

— Zwróćcie mi go, zwróćcie, na Boga! Ulitujcie się boleści mojej!

— Całem sercem pragnę to uczynić, wszelako nie jest to rzeczą łatwą. Ci co unieść dziecko kazali, położyli warunki zwrotu, o których zrazu może nie chcielibyście słyszeć.

— Czemuby nie? Zali jest co zbyt trudnem dla matki, pragnącej odzyskać syna?

— Ciężko mi wam one conditia przedłożyć. Bo widzicie wieść o obeldze, jakiej doznałem od śp. małżonka waszego, lotem ptaka rozbiegła się po mieście i wstrząsnęła do głębi trzewiami honoru wszyst-

kich szlachetnych ojców miasta, od imci pana burmistrza Odelheima poczynając. Zwołano rajców do sali radzieckiej, gdzie w długich dyskursach nad wymiarem sprawiedliwości za owe podeptanie czci uczciwie urodzonego i wysoko postawionego mieszczanina, debatowali, różne arkana takowej przedstawiając. Jedni żądali gardła, coby się u miłościwie nam panującego króla Gustawa Adolfa, łacno uzyskało, inni chcieli zadośćuczynienia dokładniejszego.

Zawahał się chwilę, w jakich wyrazach dobrze myśli wypowiedzieć. Ona nienawistne spojrzenie mu rzuciła, ale nie spotkało się ono z jego wzrokiem błądzącym po zamarzłych szybach okna; wiedziała, że kłamie, wiedziała że oto przystąpi teraz do punktu, który obrażać będzie jej cześć kobiecą i godność szlachetnie urodzonej; jak na widok gorącego żelaza zwinęła jej się w sobie przerażona dusza, szukając podpory w kilku modlitewnych wyrazach, powtarzanych raz po raz: Boże, miłosierdzia! Boże miłosierdzia!

On odchrząknął kilka razy i mówił, ciągle unikając jej wzroku:

Zażądano, abym o rękę waszą, miłościwa pani zabiegał i za waszem pozwoleństwem, jako prawą mą małżonkę do rodu Urfeldów wprowadził.

Ognie biły na nią, a drżała na całem ciele.

— Rozumiem, jakby wam ciężko było bez przyzwolenia małżonka... Przedłoży-

łem mu onego wieczoru, w którym mówiłem z nim, jak łatwiejszy będzie los wasz, jako mojej prawej małżonki, aniżeli tułacza dola wdowy; mówiłem, jak dla wychowania syna twego, miłościwa pani, trudu i sumptu szczędził nie będę... No i małżonek wasz przyzwolił, gorąco polecając na mawiać waszą miłość...

— Kłamiesz! wyrwało się z ust Obertyńskiej.

— Na Boga i św. krzyż przysiąc mogę, jako mi uroczyście obiecał pismem do was własnoręcznem ową wolę swoją wyrazić i do wypełnienia polecić... Gdyby nie to nieszczęsne morderstwo, byłbym tu przed wami śmiałem czołem stojący, pismem rzetelnem poparty!

Podniosła na niego łzawe oczy.

— Zali chcecie, abym tak świeżą żałobą okryta?...

— Nie, nie żądam, abyście wnet przed ołtarz ze mną stanęli. Pragnę jeno, abyście publicznie oblubienicą moją się uznali. Do godów weselnych się sposobiąc, u matki mej zamieszkać raczyli, a post czterdziestodniowy, w popielcowym dniu wschodzący, jako prawa małżonka moja, powitali.

— A dziecko kiedy mi oddacie?

— Zaraz po otrzymaniu przyzwolenia waszego zwrócę wam go w zdrowiu i weselu.

— A zatem przystaję! przystaję! Ale biegnijcie po mego synusia, biegnijcie zaraz!

kich szlachetnych ojców miasta, od imci pana burmistrza Odelheima poczynając. Zwołano rajców do sali radzieckiej, gdzie w długich dyskursach nad wymiarem sprawiedliwości za owe podeptanie czci uczciwie urodzonego i wysoko postawionego mieszczanina, debatowali, różne arkana takowej przedstawiając. Jedni żądali gardła, coby się u miłościwie nam panującego króla Gustawa Adolfa, łacno uzyskało, inni chcieli zadośćuczynienia dokładniejszego.

Zawahał się chwilę, w jakich wyrazach dobrze myśli wypowiedzieć. Ona nienawistne spojrzenie mu rzuciła, ale nie spotkało się ono z jego wzrokiem błądzącym po zamarzłych szybach okna; wiedziała, że kłamie, wiedziała że oto przystąpi teraz do punktu, który obrażać będzie jej cześć kobiecą i godność szlachetnie urodzonej; jak na widok gorącego żelaza zwijała jej się w sobie przerażona dusza, szukając podpory w kilku modlitewnych wyrazach, powtarzanych raz po raz: Boże, miłosierdzia! Boże miłosierdzia!

On odchrząknął kilka razy i mówił, ciągle unikając jej wzroku:

Zażądano, abym o rękę waszą, miłościwa pani zabiegał i za waszem pozwoleństwem, jako prawą mą małżonkę do rodu Urfeldów wprowadził.

Ognie biły na nią, a drżała na całem ciele.

— Rozumiem, jakby wam ciężko było bez przyzwolenia małżonka... Przedłoży-

łem mu onego wieczoru, w którym mówiłem z nim, jak łatwiejszy będzie los wasz, jako mojej prawej małżonki, aniżeli tułacza dola wdowy; mówiłem, jak dla wychowania syna twego, miłościwa pani, trudu i sumptu szczędził nie będę... No i małżonek wasz przyzwolił, gorąco polecając namawiać waszą miłość...

— Kłamiesz! wyrwało się z ust Obertyńskiej.

— Na Boga i św. krzyż przysiąg mogę, jako mi uroczyście obiecał pismem do was własnoręcznem ową wolę swoją wyrazić i do wypełnienia polecić... Gdyby nie to nieszczęsne morderstwo, byłbym tu przed wami śmiałem czołem stojący, pismem rzetelnem poparty!

Podniosła na niego łzawe oczy.

— Zali chcecie, abym tak świeżą żałobą okryta?...

— Nie, nie żądam, abyście wnet przed ołtarz ze mną stanęli. Pragnę jeno, abyście publicznie oblubienicą moją się uznali. Do godów weselnych się sposobiąc, u matki mej zamieszkać raczyli, a post czterdziestodniowy, w popielcowym dniu wschodzący, jako prawa małżonka moja, powitali.

— A dziecko kiedy mi oddacie?

— Zaraz po otrzymaniu przyzwolenia waszego zwrócę wam go w zdrowiu i weselu.

— A zatem przystaję! przystaję! Ale biegnijcie po mego synusia, biegnijcie zaraz!

— Przyrzeczenie musi być przynajmniej przy powadze dwóch świadków orzeczone.

— Sprowadzę Szalitów!

— Ja swoich świadków postawię.

— Kiedy?

— Dziś już późno.

— Nie późno! nie późno jeszcze!

— Także wam pilno do onego ślubowania? zapytał złośliwie.

— Jakże mi jeszcze noc jedną bez mego dziecka przepędzić? On tam płacze, tęskni!

— Upewniam was, że bynajmniej nie zbywa mu na kobiecej opiece, przeto na pieszczotach i łakotkach.

— Luto mi bez niego!

— Niebawem mieć go będziecie.

— Zmiłujcie się nademną! Tyle już przez was strasznych chwil przeżyłam!

— Przezemnie?!

— Jako żywo!... O, nie negujcie!... Sami suspicji mieć nie możecie ,żebym wierzyła, że niebyło waszej woli, a działania w porwaniu dziecka i pojmaniu małżonka mojego!... Nagródźcie mi one łzy krwawe, które za nimi wypłakałam, wróćcie mi dziecko ninie, niech wiem, że macie serce, że mnie nie dla zemsty, ale z miłości pojmać chcecie. Toć boleść by dla mnie była niemała, że mnie jeno dla zadowolenia górnych pragnień ,alibo z rozkazu starszych w mieście pojmać pragniecie! Niech wiem, że mnie za coś macie, że we mnie choć oną macierzyńską godność szanujecie!

Porwała się z miejsca i przypadła mu do kolan, pokorna i błagająca. Zmieszał się Urfeld i jął podnosić ją z kolan.

— Miłościwa pani, co czynicie! powtarzał; mnie to przed wami na kolana paść, a koniuszki ciżemków waszych kornie całować!

Opierała mu się.

— Nie wstanę z kolan; podniesiona dziesięć razy upadnę, póki nie usłyszę wspaniałomyślnego zapewnienia, że synaczek mój dziś jeszcze zwrócon mi będzie!

— Jakże mi przyrzekać! Chociam nie szlachcic, słowo dla mnie świętość. Przyrzeknę, to nie omieszkam dziecię wam dziś odesłać. A kto mi zaręczy, że nie ujdziecie z nim w świat, nie omieszkając, dzisiejszej jeszcze nocy.

Porwała się pani Zofja, otworzyła kufer skórą łosiową obity, wydobyła z niego skrzyneczkę perłową masą wykładaną i podała Urfeldowi.

— Oto szkatułka, są w niej moje bogactwa... Naciśnij ten kołeczek, a wieko odskoczy; przekonacie się sami, jak wielkiej ceny są tam klejnoty. Weźcie to wszystko, niech jako zastaw wam służy!

Urfeld szkatułkę z rąk jej odebrał i postawił na stole, a oczu nie spuszczał z jej postaci. Stała przed nim z rozwianym włosem, jak w aureoli złotych promieni, z błyszczącemi oczyma, z wypiekami na twarzy. Bił od niej jakiś żar, jakaś siła, jakieś nieskończone pożądanie. Ujął ją za obie ręce, przycisnął do swej piersi, że wy-

czuła gwałtowne bicie jego serca i sunął ku niej swą twarz rozpaloną, topiąc wzrok w jej licu.

— Innego, innego zastawu chcę od ciebie, przyszła małżonko moja!

Cofnęła się przed nim, wzrok rannej gazeli zwracając na niego, aż opadła na fotel stojący za nią, dysząca, przerażona. Czuła ze wstrętem oddech jego przepojony wypitem niedawno winem, aż zadrżała usłyszawszy stłumionym szeptem wyrzucone:

— Jedyny zastaw, to ty sama!... Ciebie pragnę!... Choć chwil kilka! choć chwil kilka!

Szarpnęła ręce, tak, że wyrwała je z dłoni mężczyzny, kalecząc palec jego oprawą jednego z pierścieni. Nie mogąc zapanować nad sobą, rzuciła mu spojrzenie takiej pogardy i nienawiści pełne, że ochłonął cokolwiek, zawahał się chwilę i dodał zmienionym tonem, jak gdyby przez upór tylko obstawał przy swojem:

— Choć jeden pocałunek, choć jeden!

Wyciągnęła przed siebie ramiona, jakby gotowa do obrony.

— Inaczej nie odeszlę dziecka!... Pomyśl, miłościwa mi... Jeden pocałunek, a za godzinę będziesz miała dziecko w swych objęciach!

Zamknęła oczy, rozkrzyżowała ramiona, głowę rzuciła na wezgłowie fotela. Przypadł ustami do jej ust; były zimne jak lód, chłód jakiś i lęk go ogarnął, że ograniczył się jednym pocałunkiem, lek-

Nagle okrzyk wydarł się z jej piersi.....

kim, przelotnym, poczem wyprostował się podniósł kołpak, który mu upadł z rąk na ziemię, złożył niezgrabny ukłon i wyjąkał, zmierzając ku drzwiom:

— Idę po dziecko!

Długą chwilę Zofja leżała w fotelu jak nieżywą.

Krystka Szalitowa, ciekawości pełna, widząc wychodzącego Urfelda, bez zameldowania wpadła do alkierza.

— No co?... Odda, odda Jasieńka?

Pani Zofja wyprostowała się, bladą twarz zwróciła na wchodzącą i nagle zawołała z mocą:

— Wody mi dajcie, kubek wody gorącej! ukropu! wrzątku!

— Czemu? miłościwa pani?

— Tereska, wody gorącej, gotującej, wrzątku! rozumiesz?! Dziewczyna wybiegła wobec nakazującego głosu swej pani. Szalitowa, zaniepokojona, raz jeszcze zaryzykowała zapytanie:

— Zali odda Jasieńka?

— Odda, ale...

— Ale co?...

— Zbeszcześcił mnie pocałunkiem!

Porwała kubek z rąk wchodzącej w tej chwili Tereski i zanurzyła w nim wargi, aż jęk bólu wyrwał się z jej piersi.

Krystka zrozumiała; przypadła przy niej na kolana, przywarła ustami do jej zwisłej ręki i wyszeptała:

— Modlitwa lepiej zmyje ów wstyd z warg waszych aniżeli wrzątek.

XIV.

Doradcy.

Albin Urfeld wracał promienny. Był to jeden z tych ludzi, których uczuć nie rozdmuchują lecz gaszą duże przeciwności, najmniejsze zaś powodzenie podnieca i zachęca. Gdy zrekuzowany przez matkę Zofji jednakże pojechał za panną na Ukrainę, czynił to, budując nadzieję na kilku dobrych słowach, któremi panienka starała się przy pożegnaniu osłodzić rekuzę. Odepchnięty brutalnie na dworze wojewodziny, cierpiał bardziej przez obrażoną miłość własną, aniżeli zawiedzione uczucie, tem więcej, że próżność jego umiała zawsze wynaleźć jakieś dowody rzekomego przywiązania panny, ulegającej przemocy starszych. Nie przeszkodziło mu to dość prędko zapomnieć jej i szukać powodzenia u innych.. Spotkawszy Zofję w Toruniu, w warunkach dalekich od świetności, w jakiej widywał ją poprzednio, w szarych ramach gospody, w otoczeniu mieszczan, i to nie dygnitarzy miejskich, jak on, lecz rzemieślników i kupców, uwierzył, że zdoła ożywić domniemane uczucie, spodziewał się łatwego zwycięstwa i dlatego zabiegał o nie, ale i to ostrożnie, przez osoby trzecie, zwłaszcza posługując się zręcznym Rudolfem, bez narażania się osobiście. W rezultacie znowu przeszedł przez dotkliwe upokorzenie miłości własnej, która jedynie stała się sprężyną w zabiegach jego celem zgładzenia Obertyńskiego. U-

czucie to silne nie mogło jednak zagłuszyć nieustannej trwogi. Tchórzliwy z natury, drżał na myśl, iż odkryte machinacje mogą ściągnąć nań niebezpieczeństwo odwetu przyjaciół Obertyńskiego; z niepokojem myślał, że w najlepszym razie przyjdzie mu zwalczać opór Zofji do złamania, którego nie czuł się dość silnym.

Aż oto okoliczności składały się nad wyraz pomyślnie. Roman zginął, (jak sądził) nie z jego ręki, ani nawet na szafocie, coby zawsze w umyśle Zofji nasuwało podejrzenie jego w tem współdziałania. Przychylny los czynił ją wdową; już przy pierwszej rozmowie uzyskał jej przyzwolenie, przytwierdzone podaniem dumnych ust szlachcianki. Wzgląd, że uzyskał to wszystko nie od kobiety, lecz jedynie od matki, nie zapuścił korzeni w jego umyśle; chciał widzieć w tem dowód przychylności Zofji, przejaw rozniecającej się w płomień iskry, przysypanej rumowiskiem narzuconem przez ludzi złej woli i że tak jest, silnie uwierzył.

Z piosnką na ustach wszedł do mrocznej sieni, ukłonił się żartobliwie figurze rycerza, misternie wyrzeźbionej w drzewie, stojącej w postawie szyldwacha u stóp krętych schodów i wbiegł na nie, przeskakując po dwa stopnie.

— A cóż to imci pan Albin leci, jak nie przymierzając Tatarzyn w pościgu? zapytał stary Fryderyk, czyszczący właśnie metalowe części rampy.

— Gdzie pan?

— Gdzie pan?... Gdzie pan?... Nie w kordegardzie i nie na radzieckiej sali; nie na ubitej ziemi i nie na cmentarzu...

— O rety!... Co to za gaduła!... Gdzie jest?

— W paradnej izbie, jak zawdy o tej porze?

— Mogęż tam wnijść?

— A no, jeśli nie potrafisz sfrunąć, musisz wnijść!

— Et głupiś, jak kobiałka za wozem!

Wszedł do sali: Esken, jak zwykle o szarej godzinie siedział na pół rozdziany przy fajce i piwie.

— No co, będzie miał Fryc siła roboty z czyszczeniem górnej części twego dolnego odzienia?

— Wuju, bacz, nie szczęście a ukontentowanie li z liców mych promienieje?

— Zbliż je do mego oka waszmość, niech obaczę zali pazurami niewieściemi, jak to one snadno potrafią, nie scyzelowane.

— Wuju, gdyby pocałunek mógł zaszczytną pieczęć na ustach młodzieńca wycisnąć, ujrzałbyś takową na moich.

— W tak dobrą trafiłeś godzinę?

— Sama mi swe kraśne usta podała?

— Co mi tam usta!... Piękniejsze i gorętsze u byle dziewki tanio możesz dostać, ale u niewiasty zacnie urodzonej, a w złote pierze porosłej jedna jest tylko korpusu część zachodów wszelakich godna, to ręka!

— Za ustami i ręka pójdzie!

— Na, na!... Czy się aby w onej pokorności jakowa zdrada nie kryje?

— Wuju, bacz na jedno: ona mnie wcześniej od Obertyńskiego znała; ona mnie już w dawniejszych leciech w sercu swem nosiła. Ninie wolna jest komu chce rękę swą oddać...

—I mienie!...

— .... dosyć od rigorem et literam małżeńskiego prawa sentymentom swym gwałt czyni!

— Daj Bóg, żeby gadanie waści nie było kręceniem kołowrotka bez przędzy, żeby siostry mej syna potomstwo z krwie senatorskiej spłodzone było!...

— Nie minie rok, a snycerz będzie na oddrzwiach kopienicy Urfeldów w Kościerzynie herb Pawelskich rzezał.

— Wszelako boję się jakowej zdrady!

— Bądź waszmość bez strachu.

— Co się zanadto po szwie porze prędko się rozlata!... Kiedyż prosisz na wesele?

— Trza przeczekać nieco. Kościół nawet...

— Mnie nie pilno.

— Obiecałem jej dziecko jutro odwieźć.

Esken wykrzywił twarz i począł trząść głową.

— Tędy droga!... Na!... na!... to już rozumiem, czemu p. referendarzówna, a pani starościna, podkomorzyna, wojewodzina, czy jaka jej tam godność!... tak pochopnie pocałunki ci dawała... Zabierze dziecko i zmyknie gdzie pieprz rośnie; ty

się jej potem napatrzysz, co dymu po wystrzale z kuszy!

Urfeld się stropił.

— Tak myślicie?...

— Tyle ufaj niewieście, co zaczajonemu lisowi; związany tylko, z pyskiem spętanym — twój!... A jedyne łyko w tej okoliczności skutecznie służyć mogące, to one dziecko w rękach twoich!

Urfeld począł przechadzać się po sali: na skłopotanej jego twarzy znać było wytężenie i wahanie. Wreszcie stanął przed Eskenem i odezwał się głosem, któremu próżno usiłował nadać brzmienie pewności:

— Jest ci drugie łyko, jeszcze trwalsze. to jej dla mnie sentyment.

Esken zmrużył jedno oko, popatrzył na niego z sarkazmem i rzekł zjadliwie:

— Ono łyko rozmiękło od pocałunków, które imci pan Obertyński przez lat trzy na jejmości składał; pęknie ci w dłoni, pęknie jako żywo!

Urfeld znów się stropił.

— Żebyś wiedział, wuju, jak gorącym sentymentem płonie jej serce ku mnie!

— Niech płonie... ale ci nie zawadzi, jeśli wichry przeciwności podmuchają nieco na ono płonienie. Wiadomo, taki wicher wielki sentyment roznieca bardziej, jeno małe gasi.

— A właśnie!...

— Dobrześ, żeś nie nazbyt pewien; nie doznasz łacno zawodu.

— Jakiem czołem pokażę jej się bez dziecka!... słowom jej dał!

— Zabierz dziecko, pobaw u niej czasu nieco i weź z powrotem.

—Tak... chyba, że tak zrobię.

Klasnął trzykrotnie w ręce, poczem zbliżył się do stołu, nalał sobie kielich wina i pił skwapliwie, a że nikt nie nadchodził, zaklął siarczyście, podszedł do małych drzwi i kilkakrotnie z coraz większą pasją nawoływał Rudolfa. Nadbiegł wreszcie zdyszany, oberwał kilkakrotnie po łbie i skrzywiony okrutnie, stanął pod drzwiami, słuchając rozkazów Urfelda:

— Jutro przed południem powiesz Marcie, żeby wyszykowała dziecko w oną piękną szubkę, com mu sprawił i w ciżemki aksamitne; zabiorę go z sobą.

— Dokąd?

—Do gospody pod Modrym Fartuszkiem.

— Chcecie oddać matce? Co za myśl?!

— Milcz! pana swego zamysłów nie sądź! Ma lepszą głowę od ciebie!

— Jak do czego!

Urfeld znowu z pięścią doskoczył do chłopca, który umknął się szczęśliwie.

— Mniemam, wmieszał się Esken, że można wtajemniczyć Rudolfa w czem rzecz; przychylny jest i roztropny.

— Ale nadto zuchwały; wyobraża sobie, że nie obejdę się bez jego opieki.

— Źle czynisz, panie, gardząc mojemi rady! Pomnisz onego wieczora, kiedyś gotów był dziecko ojcu w więziennej celi

ostawić? Ja ci odradziłem i zali źle się stało? Obertyńskiemu łeb ucięli, byłoby i dziecko społem zginęło, wam broń z ręki byłaby wytrącona i zasie wieczna żalu do was w sercu jejmości przyczyna!

— Jako żywo! przytakiwał Esken.

— No tak, nie neguję, że miewasz szczęśliwe pomyślenia, wszelako w tem jeszcze nie rzecz, abyś w zuchwałości wzrastał, jako paw. Rudolf zdarł z głowy błękitną czapeczkę i o ziemię cisnął w rzekomej rozpaczy.

— Takaż to mi wdzięczność! Toż mi wdzięczność. Za moje wierne służby, za to, że w każdej chwili za jegomością w ogień, w wodę skoczyć gotówem, za to, że każdego wroga jegomości na wolnym ogniu bym smażył i gorącem sadłem oblewał...

— Na wolnym ogniu smażyłbyś nie dla mnie, jeno dla samego delektowania się ludzką męką, duszo kata i oprawcy!

— Żebym chciał dla samej delicji ludziom mękę zadawać, na kaciego pachołka do grodu bym się najął!

— Nie zarobiłbyś tyle, jako w mojej służbie.

— Jeżeli mi wasza miłość wymawia, to gotówem w każdej chwili do odejścia. Niewolnym chamem Bogu dzięki nie jestem! Jeno mi waszej miłości żal, bo z waszem sercem jak sadło, co się przy byle podgrzaniu topi niedaleko zajdziecie wśród tego grzesznego świata, gdzie człek, człeku wilkiem i szakalem!

— Przestańże wyć! zawołał Esken, bo nie masz po temu przyczyny. Pan twój łaskaw na cię aż do zbytku i chętliwie cię do konfidencyj dopuszcza! Powiedz raczej śmiało: nie radzisz dziecka matce nosić?

— Pewno, że nie!

— Przecz?

— Bo jak je tam zaniesiemy, to już nie zabierzemy stamtąd?

— Pan twój powiada, jako je matce pokaże jeno, pobawić się niem zezwoli i zabierze z powrotem.

— Tak, jak kur o północy psim głosem zaszczeka. Jak taka gładka białogłowa zacznie prosić, a nalegać.

— Oprę się; mężnego jestem serca.

— Serce wasze mężne, jeno, że z sadła, a niewieści dech tak gorący, że wnet je topi.

— We dwóch nie damy jej nad sobą panowania.

—Zważcie, jegomość, że imci pani Obertyńska w gospodzie pod Fartuszkiem mieszka siła czasu, ma tam samych znajomków. Gdy się wieść rozbiegnie, że dzieciak powrócił, wszystko to się zleci, a cieszyć się niem będzie. Będziesz li miał dość mocy, aby dziecko wyrwać z tylu ramion?

— Pewno, trzebaby je niemal siłą brać.

— Herodami już nas wołają, trzebaż, żebyśmy tam ludziom na oczach w posłannictwie w rzeczy jakoby herodowem się stawiali?...

— Tak, łacno to perswadować, ale co uczynić? próbował jeszcze oponować już przekonany Albin. Ja słowu danemu chybić nie zdolę.

— Słuchaj, Albin, wmieszał się Esken. A czemuby Obertyńska nie miała tu do mojego domu zstąpić? Za niskież to progi? Czerwonem suknem ljońskiem wymościć je każę!... Królowe nasze: szlachetna Elżbieta Rakuska, prawa Austrjaczka i Marja Ludwika czasu swego w Toruniu pobytu po piękniejszem nie stąpały.

— Nie zechce ona! nie zechce!

— A z tobą do ołtarza pójdzie?

— Na to jeszcze siła czasu... przywyknie!

— Przebóg, szlachcianki tych czasów dumniejsze aniżeli królowe dawnych! Kim że był Wierzynek? Mieszczanin, jako ja, którego kamienica w Krakowie później przez przodków jego wzniesiona była, niż nasza w Toruniu, a jednak królewski i cesarski majestat i książąt krwi poczty wspaniałomyślnie w progi jej wstępowały, chlebem, solą, winem i podarkami kosztownemi nie gardząc. Przedstaw to imci pani Obertyńskiej i niech potrudzi się do mej chaty. Godnie ją przyjmę, najgodniej.

— Mnie się widzi, odezwał się Rudolf, że imci p. Obertyńska nie przez pychę wahałaby się wejść pod on dach. Patrzałem ja na nią w gospodzie, widziałem jako do poufałości ubogie mieszczany dopuszczała, w długie gadki z nimi się wdając, więc

mniemam, że i tu bez wstrętuby szła zwłaszcza, gdyby dziecko miała tu odnaleźć.

Ale jest inna rzecz, która może ją powstrzymać.

— Co?

— Podejrzenie zdrady!

Zapanowała chwila milczenia.

— Jako jej udowodnicie, że uczciwe względem niej macie zamiary? Możnaż dziwować się niewieście, gdy się za nią ciężkie drźwirze pana Eskenowej kamienicy zatrzasną, że pomyśli sobie: „zali nie niewoli to dom?"

— Słusznie mówi Rudolf, odezwał się Esken. Matka w dzień św. Zofji począć go musiała.

— Matka ze świętymi w konfedencje nie wchodziła, bo jako prawa protestantka dostępu na dwór niebieski katolickiego Pana Boga nie miała. Ale dziad mój księdza Kopernikusa książki i globusy codziennie z kurzu obmiatał,

— Więc, przerwał mu Albin, dziecko nieść tam nie radzisz, tu sprowadzić matkę nie dajesz; więc co czynić? Odmówić i na gniew jejmości się narazić?

— Owszem, możecie dziecko pokazać, ale w takowych okolicznościach, w których jejmość nie będzie przez cały dwór poplecznikow obstawiona .

— Nie łatwo to!

— Łatwiej niż tu sprowadzić! Dość do jakowej gospody zaprosić!

— To i co; w każdej gościnnej izbie ciżba ludu cały dzień; ja sambym się sro-

mał na widowisko ludzkie podać z dzieciakiem się włócząc. Niewieda co pomyśleć mogą!

— Pokażecie jej dziecko w ustronnym alkierzu.

— Uczciwa niewiasta nie wstąpi do cudzego alkierza.

— Nie bójcie się miłościwy panie, już ja tak urządzę, że idącej do gościnnej izby ono ptaszę zaświergoli, a wonczas pójdzie za niem niepomna alkierz to, czy nie alkierz.

— Słuchaj, Rudolf, uwidziała ci się klamra koralami sadzona, com ją łońskiego roku z Gdańska przywiózł?

— Aż mnie mdli na podołku, gdy o niej pomyślę.

— Twojać będzie, gdy wszystko przebiegle przysposobisz i na miły Bóg tak, żebym śluzów umiłowanej białogłowy nie widział!

— Pobuczyć, pobuczy, gdy przyjdzie z dzieckiem się żegnać, ale wasza miłość przysięgnie się na Lutra i Matkę Boską, że dziecko codzień pokaże, a białogłowa o tyle ma długie włosy, o ile krótki rozum.

— Ależ ja najchętniej każdego dnia na godzin parę malca przywiozę, wszakże nam słodko będzie, tak jakbyśmy już w owocnem stadle żyli, pozostawać.

— Nie rozbecz się sam z rozczulenia, rzekł złośliwie Esken, a zastanów raczej, każ ono spotkanie z panią Obertyńską się odbędzie.

—Jak myślisz, Rudolf, która gospoda będzie godna naszych olimpijskich biesiad?

— Niełacno doradzić: „Pod Aniołkami" niema ustronnych pokoi. „Pod złotego gryfa" brać imci pani Obertyńskiej nie przystoi, boć tam i najgorsze dziewki bywają... chybać „Pod Trzy Korony"?.

— Tak przystojne tam izby i okna alkierzy na zaciszną ulicę Ciasną wychodzą. którą prawie nikt nie przechodzi.

— Wasza miłość może śpiewać i hukać do woli.

— Nie radziłbym „Trzech Koron", bo tam wszystka generalicja stoi wtrącił Esken. Nie dalej, jak wczoraj Drews z Gdańska próżno tam choć o kąt w gościnnej kołatał.

— Szkoda; widziałaby mi się ta gospoda!

— A czemu nie tentowałbyś o izbę pod „Złotym Pierścieniem"; piękniej urządzonych pokoi nie znajdziesz w Toruniu.

— Podobno, odparł Rudolf, ale właściciel, Szpotański, zaciekły Polonus, Niemcom okrutnie nieprzychylny.

— A cóż mi to może przeszkadzać? Wszelako Niemce często, gęsto tam mieszkają.

— Bez wątpienia, rzekł Esken; ja sam. gdy czasu pierwszej wojny szwedzkiej pociski dom mi uszkodziły, przez sześć niedziel w onej gospodzie mieszkałem.

— Tak, tak, doskonałe wspomnienie! Pamiętam, piękne izby!... Postaraj się

Rudolf zamówić mi on alkierz, okryty szpalerami*), co cienistą altanę przedstawiają. Będziemy tam gruchać jak dwie ptaszyny!

— Oj Albin, Albin, ty jednak ciężko głupi jesteś! Jakiś wyrodek w naszej rodzinie, co wszystka statecznego rozumu była.

— Jeśli tak jest rzeczywiście, wuju kochany, szczęście podzielonej miłości rozum mi pomieszało!

XV.

Wojewodzina Leszczyńska.

Nazajutrz rano Rudolf ruszył ku Chełmińskiej szosie, gdzie o kilkadziesiąt staj poza cmentarzem stała gospoda obszerna, zwana Pod Złotym Pierścieniem, znana z dostatniego urządzenia gościnnych pokoi. Właściciel jej, Wincenty Szpotański, szlachcic zagrodowy, za młodu z wojskami Żółkiewskiego chadzał, między kozakami czas jakiś pozostawał, z nimi w wyprawach na Carogród i Moskwę brał udział, a że śmiały i przebiegły był wielce, potrafił nie siłą, to fortelem, zawsze coś od mieszkańców zdobyć, wyłudzić, lub drogą zamiany piękny sprzęt nabyć, bo smak i znawstwo z przyrodzenia miał niepospolite.

Gdy różnych obić, makat, kobiercy i szpalerów, kantorków i szkatułek nabrało

*) zasłony tkane w desenie, naśladujące barwne rysunki.

się tak wiele, że niepodobna było kilka fur naładowanych za sobą włóczyć, a pchnięcie tatarskiej szabli pod biodro i moskiewska kula w stawie kolana zbyt dotkliwie przypominały się staremu Szpotańskiemu, odkupił za psie pieniądze posiadłość od umierającej stuletniej staruszki, bezpotomnie schodzącej ze świata i z prawdziwą lubością jął się urządzania gościnnych pokoi, o których niebawem szeroko mówiono na Pomorzu. Zwabiały też one tak przejezdnych bogaczy i dostojników, jak i wyszarzaną a ambitną szlachtę, która w wykwintnych pokojach bardziej niż u siebie w skromnych dworkach, mogła zadawać szyku, przyjmując przejezdnych panów i zagranicznych kupców. Tu najchętniej i najdłużej wypoczywali rycerze wracający z wypraw do Szwecji i Danji; tu wystawiali kupcy wschodni swój przebogaty towar; tu mieszkały miesiącami słabego zdrowia niewiasty, z odległych włości przybyłe, gdy pomoc pobliskich felczerów, drogistów i znachorów okazała się niewystarczającą.

W dniu, w którym Rudolf wybrał się, aby zamówić pokój dla Urfelda wyczuwało się jak zwykle to życie przejezdnych bogaczy, przestrzegających, aby wkoło nich było rojno a jednak zacisznie.

Pierwsze piętro zajął, wracający z Gdańska do Warszawy Radziejowski ze swym orszakiem. W dolnych pokojach sąsiadowali ze sobą pułkownik Weiss i były rotmistrz chorągwi pancernej, Ostrow-

ski, wreszcie domniemana wojewodzina Leszczyńska od trzech dni z gospody Pod Trzema Koronami przybyła.

Wyróżniony tak niepospolitymi gośćmi, wpadł w złość imci pan Szpotański, gdy Rudolf zaproponował mu odnajęcie jednego pokoju, dla pana, którego nazwiska wymienić nie chciał. Próżno chłopak pukał dukatem o dukat, próżno szeroko rozwodził się nad możnością i wdzięcznem sercem swego pana, Szpotański powtarzał wciąż od początku do końca listę swych gości, ze wszystkiemi tytułami, godnościami i domownikami, wykazując fizyczną niemożliwość odstąpienia komukolwiek którego pokoju do wyłącznego rozporządzenia choć by tylko na kilka godzin. Wreszcie, wobec niezmordowanych molestowań chłopaka zaproponował mu, aby sam uprosił którego z lokatorów o ustąpienie izby, gdy jakoweś okoliczności ich z onej wywiodły.

Ruszył Rudolf do pierwszej z brzegu izby rotmistrza Ostrowskiego. Napalone w niej było tak mocno, że żar aż dech zapierał, gdyż pan rotmistrz, korzystając z przymusowej bezczynności, leczył się potami z ciężkich przypadłości „kaduka". I w tej chwili, zawinięty w giezła od stóp do czupryny, pod pierzyną, ledwo wychylił górną część głowy, aby akląć siarczyście i przykazać pachołkowi wyrzucić „na łeb" nieproszonego gościa; skłoniło to Rudolfa do ucieczki co tchu ku przeciwległym drzwiom pułkownika Weissa. Stojący

przy nich żołnierz szwedzki wysłuchał jego prośby, ale zapewnił, że próżnoby próbował porozumieć się z pułkownikiem, bo każdego popołudnia przybywa doń cały zastęp towarzyszy broni, aby zabawiać się do późnej nocy kielichami i grą w kości.

— Porozum się chyba z wojewodziną, która przed trzema dniami najpiękniejszą izbę zajęła, o ustąpienie jej twemu panu na onych kilka godzin, bo i tak co dnia po zachodzie słońca wyjeżdża kolaską i kilka godzin kajsi, gdzieś przepada. Ale nie tuszę, abyś od niej cosi wskórał, dziwna to bowiem niewiasta; do rozmowy zgoła nie pochopna, z ruchów i postawy do mężczyzny podobna, a gębę białym zawojem otacza aż pod same oczy, rzekłbyś mniszka.

— Może ślubowała Panu Bogu z mężczyznami ani zbliska, ani zdaleka sprawy nie mieć?

— Co to to nie; co dnia tu jakiś starawy szlachcic przychodzi i większą część dnia z nią spędza; powiadają, że to małżonek wojewodziny, jeno, że oboje czystość ślubowali.

— Po pięćdziesięciu leciech!?

— A no... może!

Roześmiali się obaj; żołnierz rubasznie, Rudolf cynicznie.

— Za któremi drzwirzami ona rarytna dama mieszka?

— Za temi na których jeleń wyobrażony.

— Okrutnie się boję!

— Czego?... Wojewodzina ludzi nie zjada. Dziewki, co izbę jej sprzątają, prawią, jako politycznie z niemi poczyna; gadać do nich nie gada, jako, że polskiej mowy nie rozumie.

—A któż ona? Szwedka?

— Nie, Hiszpanka.

— Fi, fi!,... Hiszpański djabeł kuso się nosi. Negry go zdaje się zamieszkują?!... Słuchajno ,waszmość możeby się przez jaką służebną zameldować?

— Mówię i powiadam, że cię nie przyjmie; meldowali się u bliskie wojewodziny sąsiady, nawet jakieś w pokrewieństwie stojące persony i z niczem odchodzili. Sługus jej, co jako i ona z podwiązaną gębą chadza, ale ponoć z innej przyczyny, jako że poszczerbiony został, on jeden zawdy wychodzi i powiada, jako pani jego na popiele siedzi, pokutę czyniąca i żadnej żywej duszy widzieć nie chce.

— A kto jej pokoje oprząta?

— Różnie bywa; brak li tu dziewek?... Jak która kajsi z żołnierzami się zabawi, jakowa kompanjonka zastapi ją przy robocie, póki jej znowu lżejsza praca a większy profit się nie trafi; wiadomo jak to z dziewczętami.

— Każda ma folwarczek mały, ale intratny.

— Może do góry brzuchem leżeć!

— Cha, cha, cha, cha, cha!

Tłumili śmiech, który aż wstrząsał nimi.

— Skoczę przywdziać niewieście szatki, a wy, jeśli łaska, nie puście w tym czasie dziewki do uprzątnięcia pokoju; powiedzcie, że pani wojewodzina chce spać i ciszę przykazała. A żeby się wam nie cniło....

Wyjął z kaletki manierkę.

— W wasze ręce.

— Bóg zapłać.

Przepili do siebie raz i drugi. Jakichś kilka fig znalazło się również w kaletce Rudolfa.

Poczęstowany szyldwach czułym wzrokiem powiódł za odbiegającym chłopcem.

— Żebyż więcej takich!... żebyż więcej!

Nie upłynęło pół godziny, a stanęła przed nim rozpromieniona, śmiejąca dziewczyna. Spódnicę miała bufiastą, kaftan aksamitny, srebrnym sznureczkiem wyszywany, czerwona chusteczka, nisko nad brwiami, opasująca czoło bogatemi frendzlami spadała na plecy.

— Szwarna? zawołała wesoło.

— A jak mi Boga!... A toż to ty, coś mi sznapsa, a fig... A figaczu!... Niech cię kule biją!... Przysiągłby każdy, że dziewka i to jaka szwarna!

— Gdzie tu służba składa szmaty do wycierania podłóg i sprzętów?

— Co chcesz czynić?

— Pójdę rzekomo jako miejscowa dziewka służebna, wdam się w konfidencję z owym poszczerbionym, powiem mu jako mogę zarobić sobie przyzwoite wiano, jeśli dopuszczę dwa gruchające gołąbki na

te pokoje pod nieobecność jejmości... Potrzebujeż to ona wiedzieć, co czasu jej nieobecności tu się dzieje?... Sługusowi za to dam parę groszy, a obiecam więcej; będzie chciał dukata, dam dukata, a będzie chciał co więcej... Owa!... i co więcej przyrzeknę!

— A mnie co dasz?

Wyjął z kaletki kawał suchej kiełbasy.

— To przezorny pośrednik niewa zawsze dla psów i szyldwachów!

Roześmiał się, porwał z za jakiejś firanki wielką szmatę i miotełkę z piór, a nie włożony w służbę, przywykły do poufałych stosunków w domach mieszczańskich, otworzył drzwi z wyobrażeniem jelenia bez zapukania.

Obróciły się cicho na dobrze natłuszczonych zawiasach, dywan stłumił kroki Rudolfa, który ledwo wszedł do pokoju, stanął jak wryty. . . . . .

Na środku obszernej sali stała osoba, zwrócona do niego plecami, i wykonująca jakieś gwałtowne ruchy naprzód i wtył, przysiadająca do ziemi, to znowu podskakująca do góry. Głowa mocno podgolona, kark silny i obrośnięty, koszula męskim krojem, na szerokich barach wyraźnie męża wskazywała, poniżej stanu jednak spódnica suta z ciężkiego zielonego jedwabiu, przybrana różowemi falbankami, zębiasto strojącemi robron, otaczała robron i w sutych fałdach spływała ku ziemi. Mąż w spódnicy w ręku miał szpadę i fechtował

się gwałtownie. Właśnie w onej chwili uskoczył w bok i znalazł się przed wielkiem zwierciadłem. W ramach z polerowanego orzecha ujrzał Rudolf bez żadnej wątpliwości oblicze Obertyńskiego... Nie zdołał opanować okrzyku zdumienia! Odwrócił się na to Roman; twarz jego przybrała wyraz wściekły.

— Głupia dziewko!... Jak śmiesz wchodzić bez zapukania?...

I natarł szpadą, ale Rudolf był już za drzwiami.

Bez tchu wpadł do izby przy składach Eskena, gdzie, przy kantorku właściciel mozolnie zapisywał coś w wielkich księgach.

— Gdzie mój pan?

— Kto to?... To ty warjacie?... Pocóż te kiecki!... Maskarada?... A no, karnawał!... Niech cię djabli wezmą, wtargnąłeś z wrzaskiem i patrz!... plama z inkaustu właśnie na liczbie, którą zsumowałem!... Cóż u zarazy!... Pali się?

— Nie, ale znalazłem...

— Gospodę paradną?... Już nie potrzebna. Twój pan w tę porę i tak grucha ze swą gołąbką.

— Pod Modrym Fartuszkiem?!...

— Idź do djabła, powiadam!... Nie mam czasu!.

Cisnął ku niemu grubą, oberwaną laskę. Umknął się Rudolf, a widząc, że to nie przelewki, zatrzasnął dr
do mieszkania zasięgnąć języka. Jakoż dowiedział się od służby, że Albin skorzy-

stał z okazji przybycia krewnej Eskenowej z Brodnicy kolasą i uprosił o prawo skorzystania z tejże na parogodzi jażdżkę. Podczas gdy przepędzano konie, kazał Marcie przybrać pięknie dziecko, sam przystroił się odświętnie i wyjechali wszystko troje, ale dokąd i poco niewiedziano.

Rudolf był wściekły,; zrzucił kobiece szaty i długo błądził po mieście, między ulicą Białą a gospodą pod Modrym Fartuszkiem. Już było dobrze po południu, gdy skrzypiąc i dzwoniąc niemiłosiernie, zajechała kolasa przed dom Eskena; rzucił się ku niej Rudolf, który właśnie był w kuchni, rozgrzewając się polewką. Z kolaski wysiadła Marta z uśpionem dzieckiem na ręku.

— Gdzie pan? Gdzie mój pan?

—Przyzostał w mieście.

— Kiedy wróci?

— Bogać ja wiem. Odwieźliśmy panią, gdy mały usnął i wracaliśmy razem, ale na rynku zobaczył młody pan jakichś ichmościów i poszedł ku nim bardzo radosny.

— A gdzieście bywali? W gospodzie pod Modrym Fartuszkiem?

— W gospodzie byłam tylko ja, pan z dzieckiem ostali w karocy, wedle kościoła św. Jakóba.

— I co?... i co??

— A no powiedziałam pani jak mi pan przykazał, że wielmożny burmistrz z Kościerzyny pan Albin Urfeld słowa dotrzymał, dziecko przywiózł i prosi, aby jaśnie

wielmożna pani na przejażdżkę się z nim udała. Pani zaraz porwała za szubę i chciała biec, ale przyszła gospodyni i jęła, zda się perswadować.

— Co mówiła?

— Nie wiem; przecie nie rozumiem po polsku. Skutkiem onego gadania pewno dwóch dryblasów odprowadziło ją do kolasy i stało z ręką za pasem, rzekłbyś na sztyletach, pókiśmy nie odjechali.

— I co mówili?

— Nie wiem, po polsku szwargotali.

— Gdzie jeździliście?

— Daleko za miasto; dziecko zrazu się boczyło, ale potem snać przypomniało sobie, bo pieściło matkę i nie chciało iść do mnie od niej.

— No wobec tego, że malec do nas powrócił nic się złego nie stało.

— Dobrze się stało; patrz jakiś bicz korali dała mi jejmość na odchodnem.

— Coś lepszego dostanę od mojego pana za wiadomość, której mu udzielę!

XVI.

Narada.

Po południu Obertyński, ściślej jeszcze niż zazwyczaj osłoniony zawojem siedział w głębokim fotelu, odmawiając różaniec, choć twarz zdradzała roztargnienie i niecierpliwość. Ulegając widocznie tym uczuciom podszedł do drzwi, nadsłuchując pilnie. Ze trzy razy powtarzał ten manewr, wreszcie rozpromienił się i usunął od drzwi, tak, aby nie być widzianym z

korytarza. Jakoż otworzyły się podwoje i ukazał się w nich Jazłowicki, nie wszedł jednak, tylko przytrzymując takowe wpuścił dwie okutane w szuby i chusty kobiety.

— Zośka! radośnie wykrzyknął Roman i pochwycił pierwszą w ramiona, ale wnet się zachmurzył.

— Przecz tu przychodzisz?. Niebezpieczeństwo ściągasz na mnie i na siebie. Już z pod Trzech Koron uciec musiałem przed ludzkiemi domysłami...

— Tu mało ludzi i każdy przy swoim kominie, a ja mam ci...

— A i pani Szalitowa, przerwał Roman, miło mi żeście zajrzeli do mnie!

Podał jej rękę, a widząc, że dławi się z powstrzymywanego śmiechu, patrząc na jego przebranie, roześmiał się także.

— Wybacz Romku, rozpoczęła znów Zofja, żem wbrew twemu postąpiła rozkazowi, ale ja nie zdolna jestem odmówić sobie wielkiego serca ukontentowania, aby samej powiedzieć ci, że ja dziś Jasieńka widziałam, dwie godziny trzymałam go na swem łonie i pieściłam; usnął mi na rękach jak za dawnych czasów.

— A gdzie on tera?

— Zabrał go Urfeld z powrotem.

— Czemuś go nie uprosiła, żeby ci dziecko ostawił?

— Wątpisz-li, że prosiłam i gorąco.

— Gdzieżeście się widzieli? Przyniósł ci dziecko do gospody?

— Nie, przywiózł je w karocy...

— Patrzcie państwo, łyki już karocami jeżdżą, i ma tu dobrze dziać się w Rzeczypospolitej!.

— Dwie godziny jeździliśmy po Chełmińskiej drodze.

— Ty z nim we dwoje?! O Zośka!

— Urfeld całe politycznie postąpił. Stał w ustronnem miejscu, po mnie dziewkę przysłał, a usadził w karocy tak, że ją jeno ludzie mogli widzieć z ulicy.

— I pókąd, pókąd wy się tak wodzić będziecie społem?

— W Bogu nadzieja, że jutro ostatni raz przyjdzie mi on krzyż dźwigać.

— Jakiż novus finis suponujesz aśćka?

— Ułożyliśmy z panem wujem i ichmościami pani Szalitowej małżonkiem i braćmi, że skoro jutro, tak jak mi to uroczyście przyobiecał, znowu dziecko mi przywiezie, i na przejażdżkę zabierze, namówię, żebyśmy pojechali do chełmińskich borów, gdzie zaczajeni bracia Wendorfowie z kilku pachołkami obskoczą nas...

— Pójdę z nimi!

— Niech Bóg broni!

—Mamże zezwolić aby inna, nie moja prawica Urfelda usiekła?

— Przecz go zabijać?... Odbiorę mu dziecko, mnie wydrą z jego mocy, to dość.

— Och Zośka!... Czyż ty nienawiści do niego nie żywisz?

— Chrystus nienawiści zabronił... Miej nad nim miłosierdzie, Romku, on dobry dla naszego syna.

— Dobry!... on co go na sierocy żywot skazał!

— Mały garnie się do niego; snać krzywdy od niego nie zaznał.

— Jeszcze miałby mu krzyw być?... Szakale nie człowiecze serce w piersi musiałby mieć, gdyby wydarłszy dziecko rodzicom jeszcze krzywdę mu czynił. To się nie zdarza nawet na ziemi choć nieraz piekłu bliska.

— A baba Jaga?... naiwnie wtrąciła Zofja.

— Baba Jaga nie była człowiekiem, jeno czarownicą, a i to niewiadomo siłaż w tem prawdy... A ja ci powiem, Zosieńko moja, że go tak w opiekę bierzesz, szatan jakiś szepce mi w ucho, że Urfeld nie stracił czasu, żeby u ciebie zbudzić uczucie uczciwej białogłowie niestosowne.

— Roman, jak możesz!....

— Przecz go chcesz przy życiu oglądać?

— Oglądać go nie chcę, ani żywym, ani umarłym; jeno serce we mnie omdlewa, skoro pomyślę, że z mej przyczyny jedno stworzenie Boskie z tego świata bez pokuty, bez żalu za grzechy, odejdzie.

— I to heretyckie, wtrąciła Szalitowa.

— Siła dałabym za to, żeby obeszło się bez krwi rozlewu!

— Niezbędna to necesitas, odezwał się Jazłowicki, bo o ile Urfeld zostanie przy życiu, będzie ścigał cię i tropił za tobą.

— A i ja mam tego zajęczego ukrywania się dosyć i nadto!... Wiemy wszyscy,

że Urfeld nie szczędziłby mojej głowy i raz odkrywszy, że pozostałem przy życiu, zrobi co będzie w jego mocy, aby mnie zgładzić... Tu więc równe w naszych rękach karty; albo on mnie, albo ja jego!

— To prawda, szepnęła Zofja.

— Wolę, że dowie się jakom pozostał przy życiu, gdy mnie z bronią w ręku, w otwartem polu przed sobą zobaczy, aniżeli żeby mnie odkrył tu, jak tchórza w niewieście rańtuchy skrytego!.. A to stałoby się niebawem; dziś mnie jakaś służebna, znienacka wszedłszy fechtującego się zastała, kiedym z niewieścich osłonek nic krom kiecki na sobie nie posiadał.

— Tak ,tak, trza temu już koniec położyć. Słuchaj, Romeczku, wszyscy uwierzyli, żeś zabit został, już prócz Urfelda wszyscy i zapomnieli o tobie...

— Zresztą bram już nie strzegą, odezwał się Jazłowicki.

— Nieinaczej; przyszliśmy przeto namówić cię, abyś nie omieszkając, dzisiejszego jeszcze wieczora, z tej austerji wyjechał do pelplińskich dóbr wuja dobrodzieja.

— Tak, jutro całem sercem; ale nie dzisiaj!

— Przed wyjazdem możesz wstąpić do naszej gospody... Już ja w tem, że cię nieżyczliwe oko nie zobaczy... W alkierzu męskie szaty przywdziejesz...

— Ja radzę brodę przyprawić, wtrąciła Szalitowa; mamy taką długą, czarną, co Herodowi dajemy do żywych jasełek.

Roman porwał się i począł gwałtownie zdzierać chusty z głowy.

— Żadnej brody!... żadnego przebrania!... dość mam onej maskarady! W całej sile i świadomości swej siły, bez przyłbicy i puklerza stanę mu do oczu i napiję się onego przerażenia, jakiem oblicze jego się pokryje, skoro mnie przed sobą ujrzy!.. Pomyśli, żem upiór... Upiór, który go od boku wdowy płoszy!... Oto będzie chwila!... Konia z rzędem warta taka chwila!

— Tak, twoja to godzina, rzekł Jazłowicki; możesz się nią cieszyć. Wszelako pomnij, że nec Hercules contra plures; pomnij, że Urfeld i wszystkie tutejsze Niemcy potęgę szwedzką mają za sobą! Skoro wymierzysz sprawiedliwość bene merentibus, nie ostawaj tu ani godziny dłużej. Zośkiby z miasta bez glejtu nie wypuścili ale w Urfeldowej karocy wyjedzie bezpieczna, rzekomo na przejażdżkę. Może nawet klejnoty i pieniądze w kaletce zabrać, szat choćby potrójnie na siebie wdziać. Resztę musi na łaskę Opatrzności ostawić.

— Szalitowa przyobiecała mi wszystko przechować.

— Jako oka w głowie strzec będę.

— Skoro zgładzi się Urfelda, ciągnął dalej Jazłowicki, trza pozbyć się też woźnicy; niech jeden z braci imci pani Szalitowej miejsce jego zajmie...

— Z chęcią uczyni to mój Jędrek Bez-Ucha; najwierniejszy sługa i przyjaciel!

— Ty Romanie, zajmiesz przy małżonce miejsce w karocy.

— Wy wuju takoż.

— I z orszakiem złożonym z Wendorfów i ich pachołków bezpiecznie przejedziemy do mojej chaty w Pelplinie.

Zofja rzuciła się w ramiona męża.

— Romku! jutro! jutro już kres niedoli! naszej rozłąki, sieroctwa naszego dziecka! Pojedziemy na cichą wieś; pojedziemy nawet do matki mojej, kiedy Urfeld przestanie mi być groźny, między poczciwy kaszubski lud i żyć będziemy bezpieczni i szczęśliwi.

W tej chwili do komnaty wpadł Jędrek z głową jeszcze owiązaną płótnem. Ucieszył się na widok siostry, nie gwoli tego, żeby się był za nią stęsknił, ale że ambicję jego mile połechtało znalezienie jej w takowej komitywie z panami, jakby powiernicę i przyjaciółkę pani Obertyńskiej. Ze szczerą też radością zatrzymał oczy na rozpromienionej twarzy swego pana, który w uniesieniu radosnem poskoczył ku niemu, porwał go w ramiona, okręcił jak frygę i krzyknął w zdrowe ucho:

— Jędrek, od dziś już będziesz miał za pana prawego chłopa i rycerza, jeno trzapam wprzódzi usiec Urfelda!

— Usieczemy go, miłościwy panie, jako krogulca! Dzisiejszej nocy śniłem, że go na lamusie zbożem obsypałem; wiadomo, że to znaczy, że go ziemią zasypię ubitego.

— Ale moją rękę.

— Niewiadomo komu sądzono.

— Nie waż mi się do tej zwierzyny strzelić; chyba, żeby on mnie wprzód trafił; wtedy ty mnie pomścisz!

XVII.

Dwaj mściciele.

Zofja, wróciwszy do gospody, pierwszy raz od wielu tygodni rozśpiewała się i rozszczebiotała, pakowała łuby i pouczała Szalitową co chować trza staranniej, jako rzeczy wielkiej ceny, co strzec od wilgoci, moli i robactwa. Krystyna obiecywała co cenniejsze w dębowej skrzyni w ogrodzie zakopać nocą, a skoro łupieżcy szwedzcy wreszcie kraj opuszczą, odesłać je Obertyńskim, gdzie zażądają. Zofji narazie dość obojętnymi były cenne sprzęty i manele, wiedziała, że dwa prawdziwe swe skarby odzyska niebawem, wobec czego drogą przyzwyczajenia tylko okazywała troskliwość o jedwabie i klejnoty. Natomiast jak dziecko skakała i klaskała w ręce, przedstawiając Krystce, jak będzie zabawnie, gdy Roman wejdzie do izby w niewieściem przebraniu, z jaką rozkoszą zrzucać będzie suknie, które mu tak długo więzienną były szatą.

Nie przeszkadzało to jej zwijać się sprawnie przy robocie, tak, że nie minęła godzina, a kufer i łuby były upakowane, a na łożu przygotowane ubranie Romana i jej podróżna odzież. Rozejrzała się po izbie, czy nie pozostawia czego i oto przyszło jej na myśl, że te cztery ściany były

przez całe pół roku jedynym jej przybytkiem, jej, wychowanej w obszernym dworze, jej, która bezpośrednio przed przybyciem tu lata spędziła we wspaniał. zamku. Doznała uczucia jakby duszności, pragnienia odetchnięcia powietrzem pól i lasów, ogarnięcia wzrokiem szerszych przestrzeni, a że słońce zachodziło wspaniałe i krwawe, zaproponowała Szalitowej małą przechadzkę.

Otuliły się chustami i wyszły.

Szać osiadła na drzewach i krzakach, zaróżowiona odbiciem zachodu; okolica zdawała się czarowną krainą. Zofja wyciągnęła ręce przed siebie.

— Piękny, piękny ten świat! Boże, co to za niezrównane szczęście będzie mknąć jutro saniami długie godziny przy boku małżonka mego miłego, z dzieciną moją na łonie.

Radość ją rozpierała; zapragnęła śpiewać, krzyczeć, hukać. Instynktem jednak dobrze wychowanej kobiety obejrzała się, zali kto za nią nie postępuje; śnieżna droga, z ciemniejszą smugą ścieżki pośrodku, przepadała w dal siną, niezamąconą sylwetką żadnej postaci. Natomiast o kilkanaście kroków przed nią szedł jakiś wyrostek w pasiastych spodniach z żółtej i czerwonej wełny, w skórzanym kaftanie i kołpaczku z piórkiem głuszca.. Opanowała chęć krzyku, tylko szybciej iść zaczęła, w ten sposób czyniąc zadość potrzebie przeciwstawienia zmęczenia fizycznego nadmiernie pracującym nerwom. Prze-

strzeń między kobietami a wyrostkiem zmniejszyła się znacznie. Tarcza słoneczna stoczyła się do połowy poza wzgórze, a że od kilku chwil mgła poczęła podnosić się gwałtownie, cały horyzont przybrał kształt jakby wklęsłej konchy, od dołu zaróżowionej, ku górze i na bokach przechodzącej w fiolet i błękit.

— Jeszcze nigdy nie było tak pięknie na świecie, rzekła Zofja.

— Miłościwy pan, wasz małżonek także z okna swego na on zachód pogląda, ale nie cieszy się, radby, żeby słońce chutko w otchłani nocy się pogrążyło, by prędzej być już przy was najmilejsza pani, mówiła Krystka.

— Jeszcze dwie godziny!

— Już tylko dwie godziny!

— A potem złączenie, ucieczka i wyzwolenie.

Jezuniu miłosierny!

Ostatni wykrzyk wyrwał jej się tak głośny, że idący przed nią wyrostek przystanął i obejrzał się za siebie. Zofja zbladła i pochwyciła gorączkowo rękę Krystki.

— Widzisz?!

— Herod niecnota, szepnęła Szalitowa złe spojrzenie rzuciwszy na Rudolfa, który zmrużył oczy i długą chwilę mierzył je szyderczem spojrzeniem.

— Nie lubię go spotkać, szepnęła Zofja; on mi przynosi nieszczęście!

— Macie przy sobie co czerwonego?

Zofja spojrzała po sobie.

Nagłym ruchem ściągnął całun ze zmarłego.

— Nie; odkąd noszę rzekomo żałobne szaty....

Krystka przystanęła, uniosła rąbek spódnicy i wysunąwszy pulchną nogę, zdjęła z niej czerwoną podwiązkę.

— Macie, miłościwa pani, rzućcie to za nim i powiedzcie: na psa, na kota, a na przydrożnego wilka idź uroku, po raz pierwszy, po raz wtóry, po raz trzeci, a Ty Trójco święta i Józefie święty, ostańcie ze mną!... Jeśli wolicie wymienić św. Antoniego, albo Franciszka, to też możecie, oni też siła u Pana Boga zdołą.

Zofja wykonała polecenie i powtórzyła słowa Krystyny podczas, gdy ta skręconą chusteczką zastępowała podwiązkę, ale uczyniwszy to zaproponowała swej towarzyszce powrót do domu.

— Zimno mi, Krystuniu.

— A no i noc chutko zapadać zaczyna.

W domu ogarnął Zofję niepokój i zniecierpliwienie; stawała przy małem okienku wchodziła do gościnnej izby popatrzeć na drugą stronę i do mieszkania Szalitów, aby z góry objąć okiem szerszą przestrzeń. Ale noc zapadła czarna, a turkoty raz po raz próżno jej wyobraźnię mamiły.

Właśnie wróciła z jednej z takich peregrynacyj, gdy w sieni spostrzegła wchodzącego od strony podwórza Jędrka. Skoczyła ku niemu.

— Gdzie? gdzie pan?

— A no w kolasie.

— Czemu tu nie przyszedł?

— Miłościwa pani obiecała sama wielmożnego zabrać. Czeka; może tu nie ze wszystkiem przespiecznie mu iść; toć on jeszcze w niewieścich szmatach.

— Prawda! prawda! pójdę po niego!

Przycisnęła ręce do gwałtownie bijącego serca i wybiegła na podwórze.

— Ach, jak ciemno! zawołała mimowoli.

— Ja miłościwą zaprowadzę. Kolasę ostawiłem przy sadzie; w podwórzu zawiele obcych ludzi.

— Słusznie!... słusznie!... Ależ ślisko!...

— Ja miłościwą wezmę na ręce.

— Tegoby tylko brakowało!

— Bo ja radbym, żebyśmy jaknajprędzej tam przyszli; panu pilno do onego raju!

Niezmierna serdeczność brzmiała w jego głosie; wyczuła to Zofja i zwróciła na niego wdzięczne spojrzenie.

— Kochasz mego małżonka?

— A ktoby go nie kochał!... Ten chyba, co go nie zna; a my w tych ostatnich czasach poznali się jak dwa łyse konie!

Roześmiał się wesoło, przystanął, obejrzał i rozjaśnił ślepą latarkę.

— O niech patrzy, miłościwa; tam widna kolasa i konie; ten z białemi przedniemi nogami jak przebiera na mrozie.

Ktoś zdaje się stoi przy kolasie; pewnie małżonek mój wyszedł niecierpliwy!

— Nie, to słup od bramy; miłościwy pewnikiem usnął w kolasie, bo gdym tu zajechał zajrzałem ku panu i rzekłem ja-

ko idę po miłościwą, ale pan nic się nie odezwał; spał widocznie.

— Jak on może spać w takiej chwili; mnie ziemia pali pod nogami westchnęła rozżalona i nie mogąc opanować niecierpliwości pędem puściła się ku karocy.

— Romuś, zbudź się kochany, zawołała otwierając drzwiczki, jużeś w gospodzie! Poprowadzę cię do alkierzyka, do naszego alkierzyka, w którym siła dobrych chwil przeżyliśmy! Ostaniesz dziś przy żoneczce.

Pociągnęła go kilkakrotnie za rękaw, a że się nie odzywał, wsunęła się do kolasy, wyjęła rękę z zarękawka i pogłaskała nią twarz męża. Nagle okrzyk wydarł jej się z piersi, twarz wydała się lodowatą, usta do których przylgła jakoś dziwnie przytwarte i sztywne.

— Romek! Romek! co to!...

Na krzyk Zofji Jędrek przyskoczył do drzwiczek kolasy i oświetlił jej wnętrze blaskiem latarki.

Na poduszkach kolebki leżała głowa w obramowaniu białego zawoju, miała białość cery i ostrość już zastygłych rysów, jakie śmierć rzeźbi; do połowy przysłonięte powiekami oczy lśniły szkliwem martwoty; z przytwartych ust wyciekły strumyczek krwi już zaskrzepł, ręka kurczowo zastygła w ruchu, który zdawał się stwierdzać usiłowanie wydobycia tkwiącego w piersi sztyletu.

Rozpaczliwe jęki i krzyki Zofji, oraz Jędrka zwabiły kilka osób z podwórca

gospody. Wydobyto Romana i zaniesiono do alkierza, który niebawem napełnił się ludem ciekawym i współczującym. Tłok zrobił się w izbie, póki Szalitowa energicznemi słowy i dosadniem wytrząsaniem ożoga nie wyprawiła nieproszonych gości; pozostawiając jedynie najbliższych sobie i Obertyńskiej oraz przyzwanego do Romana medyka z Junkerhofu, który skonstatowawszy zgon, zajął się wpadającą w omdlenia Zofją, oraz Jędrkiem, który wybuchał kurczowym płaczem.

— Skorzystał jakiś łotr, zbójca z chwili, jakem poszedł wielmożną zawiadomić i...

— A kiedyś odszedł? zapytał medyk.

— Dopiero co, przed chwilą.

— Tu zgon nastąpił dobre pół godziny temu.

— Przed półgodziną chyba jeszcze byliście doma, rzekł Szalita.

— O nie, wyjechaliśmy wcześnie, aby dla bezpieczeństwa zajechać tu drogą od pól.

— Oglądałem kolasę, rzekł Jazłowicki; na podnóżu jej naniesiono śniegu, na niem odciski butów męskich, ale niewielkich, szpicem zwróconych do zamordowanego; takiż ślad na stopniu mocno wyciśnięty.

— Musiał ktoś wskoczyć do kolasy, gdyście ruszali, rzekł stary Wendorf.

— Wziąłeś się do służby, do opieki nad miłościwym, krzyczał na Jędrka Benek i dopuściłeś do tego, że za plecami ci go zamordowali.

— Przecież on musiał krzyczeć, wołać ratunku.

— Nic nie słyszałem!... Ale jak też miałem słyszeć, kiej dotąd mam łeb jak mniszka opatulony szmatami!

Nikt inny, tylko on szatański wnuk, Urfeld to uczynił.

— Pewno, pewno; szykowaliśmy się na niego, a on nas ubiegł.

Porwał się Jędrek; obie ręce wzniósł w niebo, dwa palce złożył na krzyżu, zawieszonym na ścianie.

— Zemsta! zakrzyknął, Bogu zemstę ślubuję. Ty sam panie mój ukochany pomścić się przykazał, jakoby w objawieniu. Nie spocznę, póki krwie tej na zabójcy nie pomszczę!

Jak szalony wybiegł z izby.

— Odkrył bestja, że imci pan Obertyński żywie i postarał się go usunąć, aby snadniej na nieszczęsną wdowę nastawać, mówił kiwając smutnie głową Wendorf.

— Urfelda, rzekł Pietrek, przed półgodziną w gospodzie Pod Trzema Koronami widziałem, nie on przeto śp. pana Obertyńskiego zamordował.

— Potrzebowałż sam zabijać? Nie mógł li nasłać zabójców?

— A ja was zapewniam, że morderstwa dokonał kto inny i nie z pana Urfeldowej poręki, obstawał przy swojem Pietrek. Szykując się do jutrzejszej wyprawy miałem go na oku, śledziłem i ucha nastawiałem, żebyśmy zaś w jakową matnię nie wpadli...

— O Pietrek jako wąż chytry, pochwalił swego faworyta ojciec. I cóżeś wyśledził chłopaku?

— O zmroku poszedłem pod Trzy Korony, świadom, że tam Urfeld ze swoją kompanją rad bywa. Piję piwo i słucham, co wokoło powiadają. Nie upłynęło pół pacierza a przyszedł bestja; wesół szczerzący kły do każdego; przysiadł się do jakowychś Niemczynów i dalej wina im nalewać, gościć, a przechwalać się, jak to on zawdy, to w duszy, to i na języku, z powodzenia jakiego doznał, jak to mu niewiadomy przyjaciel usługę oddał, pana Obertyńskiego zamordowawszy; opowiada, że syna szlachcicowego ukrywa tak, że go ludzkie oko nie dopatrzy, a nadewszystko jak go wdowa po panu Obertyńskim miłuje i rada z nim przestaje.

— Zamilczałbyś! ofuknęła go Szalitowa, niespokojne spojrzenie rzuciwszy na Zofję.

Ale ta, zupełnie obojętna na to, co się dzieje wokoło, klęczała przy trupie męża, półprzytomnie słowa rozpaczy i miłości powtarzając.

— Może symulował takowem gadaniem, rzekł Benek.

— Kto zna Urfelda wie, że symulować on nie zdolny; jeśli łże, dziecko nawet rozezna, że tak jest.

— Bo zagłupi na mądre łgarstwo!

— Juści!

— Ale poco kto inny zabijałby pana Obertyńskiego; wrogów, zda się nie miał wcale.

— Może dla rabunku jakiś łotrzyk to uczynił?

— Czy pan Obertyński miał przy sobie jakowe kosztowności?

— Nie wiem; zapytajcie Jędrka.

— Jędrek wybiegł.

— Wiem, że miał przy sobie torebkę borsuczą rzekł Jazłowicki; w niej musiał mieć pieniądze, które mu pozostały po opłaceniu gospody; miał w niej też niezgorszą koroneczkę z agatu i złota, obrazik na blasze w złotej ramce oblicze małżonki wyobrażający, a może co jeszcze. Ale wszystko to razem, a choćby dwa razy tyle, życia ludzkiego nie warte!

— Co dla takiego zbója!... Chrystusa dla 30 srebrników do krzyża przybili.

— Pewno się też i więcej spodziewał.

— Torebka znikła?

— Niema jej.

— Nic innego tylko o rabunek tu szło.

— Takie młode życie dla tak małego profitu zgasło!.

— I w przededniu z niebezpieczeństw wyzwolenia.

— Słuchajcie, waszmościowie, rzekł Jazłowicki, nic tu nie poradzimy, a godzina późna; idźcie na spoczynek, a ja tu z nieszczęsną wdową zostanę, aby modlitwą a trzeźwym argumentem jakowe pocieszenie jej zaaplikować.

— Ja jej też nie odstąpię, rzekła Szalitowa; pójdę Pietrka nakarmię, a potem powrócę; kobiety sprowadzę, aby pobożnemi pieśniami duszę zmarłego do bram niebieskich przeprowadziły.

Jakoż nazajutrz rano Zofja zdołała o tyle opanować rozpacz, że mogła z Jazłowickim i oddanymi sobie przyjaciołmi odbyć naradę. Wobec zasięgniętych obszernych informacyj, wszyscy doszli do przekonania, że morderstwo zostało popełnione bez wiedzy Urfelda i że wobec tego nie należy nic zmieniać w postanowieniu wywabienia go do lasu, w celu odebrania dziecka.

Ale ja nie zdołę opanować mojej boleści, wołała Zofja. Radosną twarzą witałam go wczora, gdyż Jasieńka miał na łonie, a dziś na widok sieroty łzami się zaleję.

— Przecież można nie ukrywać już przed nim rzekł Szalita, iż małżonka jej mości ktoś zabił wczoraj; toć go nie zabije po raz wtóry!

— Nie może to być, zaprotestował Jazłowicki. Zmiarkowałby się, że go jejmość do tej pory oszukiwała i miałby się przeto na baczności. To, że cię, Zosieńko, płaczącą obaczy nie jest jakoweś periculum. Wiadomo, że każda białogłowa jako ta żelazna sreczka na dachu, jaki wiatr na nią powieje, tam zwraca się i skrzeczy.

— A czyby nie można onego atentata na inny dzień ostawić? pytała Zofja. Toć

miłego małżonka mego muszę pochować i to z należnemi mu splendorami.

— Pewno, przywtórzyła Szalitowa.

— Odłóżcie rozprawę na popogrzebny czas.

— Nie radzę, rzekł Jazłowicki. Wieść o pogrzebie lotem sokoła rozniesie się po mieście; stąd o nieszczerości twej w umyśle Urfelda silne wynikłoby upewnienie i stosowna po temu ostrożność.

— Więc co czynić, radźcie!

— Zwłoki ukochanego siostrzana mego, a małżonka twojego w dębową truchłę włożyć, księdzu dać jeno pokropić, a ciche odmówić modlitwy, bez żadnej ostentacji, bez opowiadania czyje to zwłoki, na cmentarze wywieźć, w suchym piasku złożyć i niech tak prochy czcigodne czekają sposobnej chwili, w której uroczystym pogrzebem uczczone zostaną. Nam trza działać prędko i roztropnie. Nic z wczorajszego planu nie zmieniając, dziecko wywieźć, a że to jeno po trupie Urfelda uczynione być może, to potem nawet do kościerskiej ziemi możesz podążyć, serce stęsknionej matki twej ucieszyć.

— Byle tę dziecinę, byle tę dziecinę już mieć! Toż jedyna jaka mi pozostaje pociecha.

W tej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie; do izby wpadł Jędrek. Twarz jego nosiła ślady zmęczenia i bezsenności, ale oczy pałały blaskiem triumfu i wewnętrznej radości. Ubiór jego z jasnego samodziału zbryzgany był krwią; krwawą

niósł w ręku chustę. Przypadł do spoczywającego na środku izby ciała Obertyńskiego, przyklęknął i ową krwią przepojoną szmatę na splecionych, woskowo białych rękach trupa złożył.

— Ciesz się, miłościwy panie, zawołał. Oto krew jego za twoją śmierć wylana!

Mróz jakiś przeszedł zebrane grono.

— Nieszczęsny, coś uczynił? wykrzyknął Jazłowicki.

— Pomściłem śmierć mojego pana; usiekłem Urfelda!

I powiódł dumnym wzrokiem po zebranych.

— Ciesz się, miłościwa pani, twój prześladowca, morderca twego męża, już zimnym, jak i on trupem!

Ale Zofja nie kwapiła się z objawieniem zadowolenia, przeciwnie, ręce załamała, wołając rozpacznie:

— I któż mi teraz dzieciątko moje powróci!

XVIII.

Topielec.

Esken w głębokim fotelu drzemał, z rękoma splecionemi na okazałym brzuchu. U nóg jego, na miękkim kobiercu, twarzą zwrócony do ogniska komina, siedział Rudolf i gryzł orzechy; czynił to jakby z zaciętością, miażdżąc je gwałtownie i szybkiemi ściśnięciami szczęk, pospiesznie wypluwając łupiny i ciskając je w ogień zawzięcie. Od czasu do czasu przytem rzucał spojrzenie Eskenowi i ruszał ramiona-

mi, mrucząc coś ze wściekłością. Gdy wreszcie ręka próżno myszkowała w kieszeni, wyciągnął się na dywanie i krzyknął, załamując ręce nad głową:

— Gromy i pioruny! gromy i pioruny! ten stary śpi spokojnie, jakby....

Ale „stary" otworzył oczy, wypoczęte, przytomne, oczy człowieka czuwającego przy zamkniętych powiekach.

— Cóż cię gryzie?

— Ach!... jeszcze się pytacie!...

Esken ruszył ramionami i stroskaną twarz zwrócił do ognia. Nastąpiła chwila ciszy. Rudolf wpatrywał się usilnie w sufit, jakby pragnął utrwalić sobie w pamięci rysunek kasetonów. Esken zdawał się podziwiać haft tureckich pantofli, które miał na nogach. Długo wśród ponurych ścian sali słychać było tylko trzaskanie drzewa na kominie i dobitne cykanie zegara. Twarze starego i wyrostka powlekały się coraz głębszą troską. Dość gwałtowne wejście Fryca wstrząsnęło obu.

— Co się stało? zawołał trwożnie Esken.

— Co się miało stać!... Śniadanie na stole.

— Prawda, żeśmy jeszcze dziś nie jedli, a już tyle godzin jesteśmy na nogach, zawołał Rudolf żwawo podnosząc się z miejsca.

— A no, niema młodego pana, nikt nie pili kucharza...

Esken wstał również i wspierając się na cybuchu, przeszedł do jadalni, gdzie w

szerokiej, cynowej wazie dymiła polewka, rozszerzając woń wędzonego mięsa. Usiedli naprzeciw siebie; Rudolf dość łapczywie zabrał się do jedzenia, Esken ledwie spożył kilka łyżek i zażądał piwa, miast jadła. Po wypróżnieniu pierwszego kufla obtarł wąsy i zaczął, jakby kończąc myśl obu im wspólną:

— Przecie niepodobna, aby dał się porwać na ulicy, albo napaść tak, żeby... Odkąd rządzi w mieście szczęśliwie szlachetny naród Szwedów, wszędzie wojska i straży pełno...

— A jednak na Żeglarskiej obfite ślady krwi znalazłem.

— Ale ślady zmniejszały się w stronę Wisły, snać tam napadnięty uciekał, a toć Albinowi w górę, ku domowi wypadała droga!

— Może mu zastąpili od tej strony?

— To nie może być! gdzieby w tak ludnej ulicy, w ulicy zamieszkanej przez samych Niemców, odważył się ktoś napaść!... To gardłem pachnie!

— Więc może....

— Co?!...

— Ba, żebym wiedział!

Pospiesznie objadał mięso z kości, którą trzymał w palcach.

— Najprędzej to ta bestja zwabiła go k' sobie i zamordowała!

Esken porwał się z miejsca i całą siłą grzmotnął w stół pięścią.

— Nie mogę słyszeć i widzieć, jak ty społem jesz i takie straszne rzeczy głosisz!

Rudolf drgnął wobec wybuchu Eskena, a sam też zdenerwowany, przypadł do stołu, czoło wsparł na wyciągniętych ramionach i począł szlochać.

—Małoż mego nieszczęścia i rozpaczy!. Wczorajszego dnia nic zgoła w uściech nie miałem, jakby w Wielki Piątek! Chcecież mieć mnie wnet na marach?

— Cicho, nie rycz tak!...

— Toż wdzięczonść za moje psie przywiązanie!

— Zamilcz! mówię ci! Że kochasz mego siostrzana wiem o tem; ale mnie kazde zmartwienie nie tylko serce, ale i brzuch zapełnia tak, że nic już nie przyjmuje! Ty zasie płaczesz i żresz, żresz i płaczesz!.. toby i świętego zezłościło!... Jak to można jednocześnie mieć w gębie tak straszne słowo, jak zamordowanie człowieka i kawał świniny!

— Bo widzicie, jak mnie rozpacz ogarnia, lżej mi, gdy mogę zębiskami coś miażdżyć. Wy tego zrozumieć nie jesteście w stanie, boście do cna zęby pogubili.

Znowu zapadła cisza. Esken wypił drugi kufel i ciągnął jękliwym głosem:

— Przecie zgoła nie może to być, aby ona poważyła się go zamordować!... I przecz?... Gdybyż dziecko było już w jej rękach, to jeszcze.... Ale tak!... I za coby go mordowała biedaka? za co?...

— Mszcząc się śmierci małżonka!

— Gdyby to być miało aż zbrodni przyczyną, uczyniłaby to w pierwszej chwili rozpaczy. A toć Albin wyekskuzował się, jako nie on Obertyńskiego wówczas zabił...

— Bo wówczas Obertyński zabit nie był.

— Jakto?

— Obertyński aż do przedwczorajszego wieczora żył i codnia z małżonką obcował!

— Co za baśnie prawisz?!

Rudolf podniósł się blady.

— Obertyński do przedwczorajszego wieczora pełni zdrowia zażywał!

— A przedwczoraj?

— Zabiłem go ja!

Moc jakaś biła od chłopca; zdawało się że wyrósł, wyolbrzymiał. Esken cofnął się zdumiony.

— Przecz to uczyniłeś?

— A poco miał żyć?... Uszedłby mojemu panu; już wyjeżdżał gdzieś z miasta.

— A ona wie o tem?

— Może.

Esken wsparł łokcie na stole i twarz ukrył w dłoniach.

— Takim sposobem zemsta niewykluczona.

Znowu zapanowała cisza. Rudolf jakby mu ulgę sprawiło wyznanie, bębnił palcami w szybę i pogwizdywał przez zęby.

O Rudolf, Rudolf, zawołał po chwili Esken, przecz to uczyniłeś?! Lubujesz się w krwi i mordzie jak katowski pacho-

łek, a przeto mój chłopak padł ofiarą twej zawziętości!

Rudolf skoczył jak ranny ryś.

— Inszy kiesą złota nagrodziłby czyn taki, a wy jeszcze mi krzywi!

— Inszy preczby z domu wygnał, jeśli takowego czynu nieszczęsny rezultat!

Rudolf zbliżył się do starego, bladą, o złym wyrazie twarz, przysuwając prawie do samych jego oczu.

— Wygnał!... wygnał!... Na Boga i wy to śmiecie powiedzieć!... Nie mam to ja prawa pod tym dachem?... Nie zagarnęliście to fortuny ojca mojego podstępem?...

Esken pchnął chłopca.

— Co ci się roi!

— O ja wiem wiele!... Nie z łaski trzy maliście mnie pod swym dachem od pacholęcia. Nie z łaski zleciliście mnie burmistrzowi do Kościerzyny; chcieliście oddalić mnie z tych miejsc, aby ludzie...

— Milcz; ojciec twój był niedołęgą!

— Ojciec mój zawierzył wam jak tylu innych.

—Co ty wiesz!

— Wiem, wiem! ale milczę, bo siostrzan wasz dobry dla mnie, nie neguję.... Ale wy mi o wygnaniu nie wspominajcie!.. Nie przybłęda jestem i nie pies bezpański!

Esken sięgnął do kieszeni, wydobył z niej dukata i nic nie mówiąc ku chłopcu posunął, ten przyjął go, mrucząc pod nosem. Stary sapał chwilę ze złością, potem rzucił w formie pytania:

— Mówiłeś, że wyjeżdżał z miasta?

— Tak, karoca potoczyła się drogą ku chełmińskiej rogatce.

— I gdyś ty atentat uczynił woźnica nie wstrzymał koni? Czy nie zawołał pomocy?

— Wskoczyłem na tył; kędy był przytroczony kufer, jeszcze gdy zaprząg stał przed gospodą pod Złotym Pierścieniem; służba miejscowa myślała, że należę do orszaku wojewodziny, którą Obertyński symulował. Gdy za domostwami wjechaliśmy w pole, przesunąłem się na płozach, otworzyłem drzwiczki i... On zawołał radośnie: — Zośka, ty już tu!... I więcej nie powiedział słowa, musiałem w samo serce uderzyć, bo tyle tylko że zacharczał kilka razy.

— Ale woźnica!.. że nie zasłyszał otwierania i zamykania drzwierzy... batami zatłuc takiego!

— Głuchy, z łbem owiązanym po jakowejś bitce.

— Jej nie było przy boku męża?

— Nie; widziałem ją dzisiaj na Mokrem; szła drogą od cmentarza św. Walentego z szynkarką z pod Modrego Fartuszka.

— Jak wyglądała?

— Nie wiem, oblicze miała zakwefione, ale ona tak się nosi odkąd symuluje wdowę. Zresztą, widzi mi się, że raźno rozmawiała. Może myśli, że on kajsi w bezpiecznem miejscu żywie!

— Słuchaj, Rudolf, a nie byłożby to możliwem, żeby ona podstępem przymknę-

ła kędyś, uwięziła niejako mojego siostrzana, aby za wydanie jego żądać dziecka?

Rudolf jednym skokiem znalazł się przy jego nogach.

— Święte, święte wasze słowa! Nic innego, tylko tak być mogło. Męża wysłała przodem, jak sądziła cało, a sama przyzostała i wciągnęła mego pana w matnię!

— Tylko patrzeć jak zjawi się tutaj ona albo jej wysłaniec wszcząć układy.

— Pewnie przyszle dziedzica z Pelplina; to pierwszy jej doradca!

— Niech przyjdzie!... Oddam mu bachora, byle mego chłopaka wróciła.

— Pan Albin będzie się gniewał!

— Niech się pogniewa; mam już dosyć tych jego amorów.

— Sami chcieliście owego małżeństwa jak wilk owcy.

— Tak, pragnąłem splendor mojego domu podnieść!... Ale albo to nie znajdzie się prawa szlachcianka wśród rodów, które o swem polskiem pochodzeniu zapomniały, jak Camerowszky, co się wprzódzi Komorowskimi pisali, jak Pietraszów z Kitnowa, co gdy im Krystyn Kalinowski szlachectwa przyganił, sześciu szlachty postawili, którzy pod przysięgą zeznali, że Pietrasze herbu „Trzy golenie złote są" i zawołanie „Czuppe", nie „Czubate" z rodu dzierżą!

Podniósł się Esken i do okna zbliżył.

— Wiesz co, Rudolf, słońce tak pięknie świeci, chódźmy przejść się nieco.

Rudolf w milczeniu wyniósł z przyległej izby buty i niedźwiedzią szubę, przyodział w to starego, a sam narzucił płaszczyk wytarty, lecz podbity kosztownem futrem.

Wyszli na ulicę i zaraz skierowali się ku Wiśle. Lód skrzył się miljardem brylantów i znaczył ruchliwemi, barwnemi, plamami rybaków, ciągnących sieci od toni do toni.

— Lubię patrzeć na robotę rybitwów, rzekł Esken.

— Powiadają, że z ryb wasza fortuna wyrosła.

— Moja nie, ale dziadowa; w Kościerskiem rozległe jeziora dzierżawił.

Ostrożnie wstąpił na lód, wspierając się na Rudolfie, ale gruba warstwa suchego śniegu czyniła powierzchnię mniej śliską, niż chodnik ulicy, więc też śmiałym krokiem doszedł do pierwszej przerembli. Właśnie wyciągano sieć; cała masa ryb rzucała się w niej i podskakiwała; srebrzyły się olbrzymie szczupaki, złote karasie, jak ruchomy pas lity wiły się szeregiem, krwawe skrzele odcinały się od ciemnej łuski karpi.

Posługacze rybitwów zręcznie chwytali po kilka ryb odrazu, rzucając do wiader, by odnosić ku sadzom.

Esken gawędząc z rybitwami przeszedł do przeciwległej toni.

— Hale! hale! hale!... łap!... hale, ła...-a...paj!

Kierowano drągi olbrzymiej sieci, nawołując się wzajemnie; rybacy pomimo mrozu, potem się oblewali z wysiłku.

Jeszcześmy tak szczęśliwego połowu jako dzisiejszego dnia nie mieli; mówił stary rybak przerywanym skutkiem zmęczenia głosem; w toni przy św. Janie ryb złapaliśmy więcej za jeden raz niż innych dni od świtu do zachodu; teraz, widzicie panie, chyba się sieci poprzerywają, takie ciężkie.

Już w okach sieci ukazywały się trzepoczące większe i mniejsze ryby, ciągnęły się długie, zielone smugi wodorostów. Jeszcze jeden gwałtowny wysiłek kilkunastu ramion i sieć pełna ruchliwych stworzeń legła ciężko na lodzie. Jednocześnie krzyk wydarł się z piersi kilku, bliżej stojących:

— Co to?... Noga ludzka!... Ręka!... Topielec!

Rzucono się tłumnie ku sieci.

— Topielec, jako żywo!... I świeży!... Nie rozłożony całkiem!

Rudolf rozepchnął rybitwów i pochylił się nad trupem; krzyk rozdzierający wydarł się z jego piersi.

— To on! to on!

Zrozumiał Esken, pobladł śmiertelnie i wspiął się na palce. Przed głowami pochylonych ludzi spostrzegł tors męski, opięty kurtką zieloną aksamitną, i głowę ogromną, rozniesioną, o sinem, rozbitem czole i zapadłem oku, niemniej bliską mu i drogą, głowę Albina. Rękoma począł trząść i obsuwać się wolno.

lana i czołgając się na nich, przysunął się wśród ustępujących mu ze wzruszeniem ludzi do trupa w sieci i przywarł ustami do wzdętej jego ręki, wołając z płaczem:

— W takimż cię stanie znajduję! ty, ostatnia latorośli rodu naszego!

— Ojciec, ojciec, szeptano ze współczuciem.

— A ten mały co płacze; brat pewnie.

— Może syn?

— Et nie, zmarły młody jeszcze chłop.

— Co go w oną toń popchnęło?

— Pewno opił się i spadł z mostu, albo z promu.

— Gdzie zaś! Ranę ma na łbie, widzisz tył głowy jakby tępem narzędziem zgruchotany.

— Może uderzył się o skałę na dnie.

— Co też gadacie!... A to cięcie co ma od oka aż do ucha, też od uderzenia o skałę? Rana widocznie cięta.

— Sztylet?

— Na sztylet za szeroka; raczej jakby od rzeźnickiego noża.

— Ta rana z tyłu też na rzeźnicki obuch patrzy.

Porwał się Rudolf.

— Panie mój! panie mój miły! wołał Na toż ci przyszło, abyś jak bydle ginął od rzeźnickiego obucha i rzeźnickiego noża! Wendorfy! Wendorfy to uczynili!... Psie ich macie! odszczepieńcy!

— Jakoż ci ich odszczepieńcami nazywać, przy religji katolickiej wiernie stoją

od czasów króla Mieczysława, rzekł Rybka-Płotka.

— Od narodowości niemieckiej odszczepieńcy.

— A nie rodzili się tu od dziada, pradziada? Nie doznawali łask od królów polskich i od krzywd krzyżackich zabezpieczenia?

— Cichojta!... Co to przy trupie w takiej materji się przemawiać, upomniał najstarszy z rybitwów. Szanujcie pana Eskenową boleść i majestat śmierci.

Dźwignął się Esken z kolan; podniósł twarz szarą na obecnych i powiódł mętnym wzrokiem; zdawało się, że trzydzieści lat mu przybyło.

— Weźcie go, dobrzy ludzie, do domu odnieście!... Dość tej poniewierki nieboszczykowi.

— To syn wasz? zapytał ktoś ze współczuciem.

— Prawie jak syn; trzech nas braci bezżennych było; on, jeden czwartego najmłodszego jedyne dziecko!...

— Straszny wypadek!

— Nie wypadek, zbrodnia!... Ale ja go pomszczę! ja go pomszczę, na Boga!

XIX.

W niskie progi.

Salę pierwszego piętra w domu Eskena przybrano w kiry, olbrzymie kandelabry, dźwigające po pięć woskowych świec, ustawiono w czterech rogach, trumnę sto-

jącą pośrodku na katafalku, okryto srebrnolitym całunem.

Esken ociężałym krokiem, noga za nogą chodził po sali i raz po raz przystawał przy trumnie, załamując dłonie. Kilkakrotnie zrobił ruch, jakby chciał unieść całun, pod którym zarysowywały się kształty spoczywającego ciała, ale wnet stawała mu w myśli ta okrutnie zmaltretowana głowa, więc rękę cofał i zamykał oczy, wgniatając powieki w orbity, jakby chciał zdławić straszliwe wspomnienie. Po kilku takich próbach, podszedł do drzwi wiodących do sieni i zawołał zrazu szeptem potem coraz głośniej:

— Rudolf! Rudolf! Rudolf!

Na schodach ukazał się Fryderyk i począł wstępować ku górze.

— Czego chcecie, panie?

— Gdzie Rudolf?

— A no....

— Zostawia mnie tak samego... ja się boję.

Był bezdenny tragizm w tej niemal dziecięcej skardze starego człowieka.

— Rudolf cięgiem w pana Albinowym pokoju opłakuje go i rozpatruje pamiątki.

— Gorąco chłopiec ten miłował mego siostrzana!... Teraz, gdy nie mam komu fortuny swej zostawić, trzeba chyba będzie jego los jakoś zabezpieczyć.

— Pewno, że warto; bo tak myślę, że kto wie, czy ta przedwczesna śmierć waszego jedynego spadkobiercy, to nie kara

Boża, za oną krzywdę, której ojciec Rudolfowy doświadczył.

Esken syknął, jakby go kto dotknął gorącem żelazem. Fryc zorjentował się, że niepotrzebnie temat ten poruszył w tej chwili i chcąc prędzej zejść z oczu swego pana, zapytał:

— Przyzwać wam Rudolfa?

— Nie, ty ostań zemną, a on niech będzie tam; pono słodko zmarłym, gdy łzy po nich płyną.

Rzeczywiście Rudolf był w pokoju Albina. Zaryglował drzwi, na środku pokoju rozłożył wielką walizę łosią skórą obitą i wkładał w nią różne przedmioty wyjmowane z szaf, skrzyń i kantorka: kosztowne szaty, drobiazgi i klejnoty. Gdy obie połowy walizy zapełniły się po brzegi, zaciągnął troki, zamknął, zapiął jeszcze jedną parę rzemieni i walizę odłożył w kąt między łoże a klęcznik, stojący tu jeszcze z czasów, gdy rodzina Eskenów katolicką była. Potem zasiadł przy otwartym kantorku, zaostrzył pióro i jął na karcie bibułastego papieru mozolnie kaligrafować. Zniszczył jedną kartkę i drugą, dopiero na trzeciej wypisał bez poprawek wielkim gotykiem: „w razie mej śmierci wszystkie znajdujące się tu przedmioty otrzyma mój wierny sługa i przyjaciel Rudolf Weiss". Kartę wsunął za troki walizy, powrócił do kantorka, wyjął środkową szufladę, wyciągnął dwie kolumienki, przyczepione do wąskich szufladek i jął manipulować około deski, dzielącej kantorek na dwie połowy,

o której wiedział, że odskakuje za naciśnięciem niewidocznej sprężyny i że służyła Albinowi do przechowywania złota.

Zaabsorbowany był wielce tą robotą; gdy nagle wydał krzyk przerażenia i w bok uskoczył; jakaś miękka, chłodna ręka przysłoniła mu oczy! Nie śmiał się odwrócić, wybełkotał tylko drżącym głosem:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

Ale odpowiedział mu zupełnie ludzki, wesoły, zdrowy wybuch śmiechu.

— I ja go chwalę! ale nie chwalę ciebie!

Poznał głos Marty i odwrócił się z gniewem; stała przy kantorku w codziennej sukience niebieskiej w kwiatki, ładna w ramie złoto-rudych włosów, o twarzy zmysłowej i bezczelnej.

— Jakeś tu weszła? drzwi zaryglowałem.

— Dziurką od klucza!

— Nie opowiadaj!... Żeby zaś się nie rozniosło, żeś czarownica; uśmiecha ci się stos przed ratuszem?

— Wpierw zanim ja znajdę się na stosie przed ratuszem ty staniesz tam, ale pod pręgierzem.

Rudolf podszedł do drzwi i sprawdził, że szeroka zasuwa wykluczała możliwość wstępu do komnaty.

— Jakim sposobem ta dziewczyna weszła; chyba doprawdy czarownica!

— Widzisz, masz wątpliwość, czy ja nie jestem czarownicą, a ja mam pewność, żeś ty złodziej.

Rudolf pobladł.

— Mój pan mówił mi, że w razie jego śmierci mam zniszczyć papiery, które są tu w skrytce, ale zapomniałem, jak się ją otwiera.

Marta wycięła mu żartobliwie policzek:

— Mów to głupszej niż ja jestem!

— Ha, jak nie chcesz wierzyć!...

— Mówię ci mów głupszej niż ja jestem, to jest takiej, co się tem zgorszyć może.

— Jak to rozumiesz?

— Wiem, że są tacy ludzie, którzy powiadają: co cudze, to cudze, nie tknę tego, choćbym wiedział, że to się zmarnuje, a ja powiadam: głupi ten, co pozostawia drugiemu, jeśli on drugi ma dużo więcej od niego!..

— Ty doprawdy mądrze prawisz.

— Pewnieś myślał, wchodząc do tego pokoju: co będzie robił stary Esken z tylu cennemi przedmiotami, które mu po siostrzanie zostały...

— A no przecie!

— Ale widzisz, i ja to samo myślałam, wchodząc tutaj!

— To bardzo dobrze; jeśliśmy tak jednej myśli, to nie pokłócimy się przy podziale, ale powiedz mi przecie, którędy weszłaś tutaj?

Marta ze śmiechem podeszła do ściany naprzeciw okien i uchyliła szpaler przedstawiający lutnistę, grającego u nóg stroj-

nej damy, poza którym ukazały się wąskie drzwi bez klamki.

— A gdzie te drzwi prowadzą?

— Do pokoju niewiast; z tamtej strony jest niedźwiedzia skóra i skrzynia, w której się chowa bielizna do prania.

— Mój pan wiedział o tem tajnem przejściu?

Marta roześmiała się bezczelnie.

— Przecie!... Mówiłam ci, że za temi drzwiami pokój niewiast służebnych! Ale teraz ty mi musisz jedną rzecz wytłumaczyć: Jak się to dzieje, że ty tak gorąco swego pana opłakujący, zarazem umiesz z całym spokojem w komnacie jego myszkować?

— Zali wątpisz, że jednocześnie pamiątki po nim rozpatruję!... Ot, patrz, ta szmatka, zeszłej niedzieli pan Albin otwierając orzech nożykiem, skaleczył się i palec musiał sobie szmatką owinąć... Widzisz krew na niej zaschniętą!... Znalazłem ją w łóżku i chowam na pamiątkę na sercu! Pana mego krew, mego złotego, kochanego pana, co tyle dobrego wyrządził mnie, biednemu sierocie!

I zaczął szlochać, ukrywszy twarz w dłonie.

— No, no, nie płacz, nie płacz; ja wiem, że można razem żałować kogoś i myśleć o sobie. To też widzisz, ja także myślałam o sobie, wchodząc tutaj i mamże przez ciebie z pustemi odejść rękoma.

— A niechże Bóg broni!... Znajdzie się tu niejedno i dla ciebie.... Przedewszystkiem... wszak jesteś katoliczką?

— Tak.

— No, to ci się przyda.

Wyjął z kalety agatowy różaniec nizany na złoto.

— Podobno tam w niebiesiech aniołowie liczą, ile kto zdrowasiek na onych kulkach przeklepał....

— Nie bluźniłbyś!

— To ci mają urwanie głowy, jak tak wszystkie katoliki naraz!...

— Dawaj, a nie bluźnij!

Wyrwała mu koronkę z ręki.

— Czyś to u Albina znalazł?

— Nie, to wojenny łup.

— Wojenny?

— Znalazłem przy człowieku, którego utrupiłem.

— Katolik był?

— Przecie i Polonus!

— Nigdy nie powinno się nosić złota, znalezionego przy człowieku, którego się zabiło.

— Powiadasz?... No, to zabierz i to tu. Rzucił przed nią minjaturę w owalnej złotej ramce.

— O to ładne cacko!... Ale to ona!... matka naszego malca, co mi korale dała... Co to?...

— Co?

— Ktoś do drzwi wchodowych kołacze. Skoczyli do okna!

— Jakby na zawołanie, ona!

— Imci pan Obertyński. Mówiłem, że z nim przyjdzie. Pójdźmy przypatrzeć się, jak ich nasz pan przyjmie.

Gdy weszli do sieni, Fryc właśnie otwierał drzwi, wpuszczając przybyłych.

— Zawiadomcie pana, że Jan Nałęcz Jazłowicki, pan na Pelplinie i Rudnie, oraz jaśnie wielmożna pani Zofja urodzona Pawelska, wdowa po śp. Romanie Jastrzębcu Obertyńskim, widzieć go żądają.

— Przed oblicze jego dopuszczeni być pragną, znękanym głosem poprawiła Zofja.

Fryc odszedł ku schodom, a Rudolf podsunął się do gości.

— Zajmijcie jaśnie wielmożni miejsce, choć tu w sieniach tymczasowie, rzekł wskazując ławę futrem nakrytą.

Zofja wstrząsnęła się nerwowo i przytuliła do Jazłowickiego.

— Ale twój pan doma?

— Juści.

— Może śpi jeszcze w tak rannej godzinie?

— O nie!

— A co robi?

— W sali zabawia się z siostrzanem.

— Z którym?

— Z panem Albinem Urfeldem.

Rzucił im spojrzenie pełne nienawiści i wbiegł na schody; za nim podążyła Marta.

— Słyszeliście wuju?

— Uszom swym wierzyć nie mogę!

— Miałżeżby się Jędrzej omylić?

— Może to być; noc była czarna!

— Albo co możliwiej ranił go jeno, a on przyszedłszy do siebie...

— Jeśli tak, pożegnajmy się z nadzieją odebrania dziecka.

— O przeciwnie! Jeśli tylko on żywie, to ja już go uproszę, ubłagam, przecie on widzi, jakam ja biedna, jaka nieszczęsna, on nie pognębi mnie tak do ostatka.

W tej chwili drzwi sali pierwszego piętra otworzyły się z trzaskiem i ukazała się w nich okazała postać Eskena; podszedł do pierwszego stopnia, lewą rękę wsparł na barjerze schodów, a prawą z trzymaną czapką usunął aż do nóg w głębokim pokłonie.

— Witam, witam, w niskich moich progach tak dostojnych gości i proszę wyżej, wyżej, gdzie godniejsze miejsce i godniejsza kompanja!

Zofja odrzuciwszy kwef żałobny z twarzy, wsparła się na Jazłowickim i szła wzruszona, chwiejnym krokiem. Esken patrzał na nią i pomimo całego złamania odczuł zachwyt wobec tej pięknej i pełnej godności kobiety. A gdy stanęła przed nim, znowu złamał się w pokłonie i szerokim gestem do sali zapraszał. Weszli i stanęli oboje w progu zmieszani widokiem kirów, pochodni i trumny. Esken wszedł za nimi, kierując Zofję na środek pokoju, potem ujął woskową świecę z kandelabra, zbliżył się do katafalku i nagłym

ruchem ściągnął całun ze zmarłego. Ukazała się twarz okropniejsza jeszcze niż dnia poprzedniego, bo pokryta już sinemi i zielonemi plamami. Zofja nie poznała Albina, lecz nie wątpiła, że to on; poczuciem dobrej chrześcijanki wiedziona, obsunęła się na kolana, i poczęła szeptać pacierz za umarłych. Wstrząsnął się Esken, jakimś odmłodzonym, żywym krokiem zbliżył się do niej, ujął pod ramiona i na nogi postawił.

— Waćpani niech mi swoich katolickich obrzędów tu nie odprawuje, jeśliś przyszła przekonać się, czy nasłany przez was zbir dobrze zabił mego chłopaka, to napatrzcie się, nacieszcie oczy widokiem jego ran i obrażeń!

— Na dole przed chwilą,...

— Zabił go jak wołu obuchem i rzeźnickim nożem!... Czy tak wasza miłość zabić go rozkazała?

— Na dole przed chwilą powiedziano mi coś, co wzbudziło nadzieję jako imci pan Albin żywie; całą duszą ucieszyłam się z tego!

— Poco waćpani mówisz to, czego nie myślisz!

— Zapewniam waszmośćpana, wmieszał się Jazłowicki, że imci pani Obertyńska w zabójstwie waszego siostrzana żadnego nie brała udziału, przeciwnie szczerze zmartwiona tem była. Sam bowiem wzgląd na dziecko, które jest w waszych rękach...

— Już wy mi, miłościwy panie, nie odmówicie oddania mego synaczka; wam nie może zależeć na tem, aby mieć w nim zakładnika. A ja tak cierpię....

— Uważasz, miłościwa pani, że ja powinienem wam syna oddać?

— Nie wątpię, że to uczynicie, teraz bardziej jeszcze, gdy widzicie, jak ciężko jest tracić dziecko.

— To źle, że nie wątpicie!... Tem ciężej przyjdzie wam usłyszeć mój werdykt: Nigdy! nigdy! nigdy!

— Przecz? przecz tak okrutny wyrok! Klnę się Bogiem i męką Chrystusową, żem nijakiego udziału w zabójstwie waszego siostrzana nie brała; przeciwnie, cierpiałam dowiedziawszy się o jego zgonie!

Esken wsparł się plecami o trumnę i mówił przerywanym głosem:

— Siostrzan mój zamordowany został przez was!... Zabójstwa onego źródło w tem, że kochał waszmościpanią i przez nią zrekuzowany został? A przecz nakarmiliście go czarną polewką? Nie dlatego, że nie szlacheckiego był rodu, bo niejedna szlachcianka z mieszczaninem małżeńskim spoiła się węzłem; ale dlatego, że Niemcem się wyznawał! Tak one: Sumińskie, Knutówny, Konopackie, Czystochlebskie, starożytnego rodu Stanganów dziewice, dlatego wychodziły za Rebenów, Marzantów, Watzelrodów, Wachschlagerów, Lindów, że Polakami się wyznawali, że ojcowie ich do Jaszczurczego związku należeli, że wychodzili w pocztach panów polskich

przeciwko wrogom Rzeczypospolitej. A że z naszego nikt swej niemieckości się nie zaparł...

Zachłysnął się astmatycznie, skorzystała z tego Zofja i przerwała.

— Przecz wnikać w racje, jakie mnie od poślubienia waszego siostrzana powstrzymały? jest jedna najpierwsza i dla mnie jedyna: nie widział się sercu memu. Ale jeśli on mnie miłował choć trochę, czyż wątpicie, że dziś nakazałby wam oddanie dziecka, które jest jedyną nieszczęsnej wdowy pociechą!

— Próżno! próżno! krzyknął ze złością Esker.. Ja wiem, co mówię!... Za tyle upokorzeń i dowodów nienawiści, które od polskiego przyszło mi społeczeństwa, za ten mord dokonany na ostatnim z naszego rodu, ja mogę dziś zażyć słodkiej zemsty. Ja tego twojego syna, nie zabiję, jak wy mego zabiliście, ja go przy życiu ostawię, ja go strzec będę, jak źrenicy oka, ja go wychowam starannie, ale wychowam go na Niemca, wychowam go w okrutnej nienawiści do wszystkiego co polskie! Że jeśli go kiedy spotkasz, on nie zrozumie nawet wyrazu matka, jeśli w polskim wymówisz go języku! A jeżeli postarasz się wytłumaczyć mu kim jesteś polską mową, to ci w twarz plunie za to, że odkryłaś mu hańbę, iż polską krew ma w sobie!

Zofja podniosła rękę gestem nakazującym milczenie.

— Dość! zawołała. Już nie wątpię, że mi dziecka nie oddacie! Bóg niech ma je

Wyrostek przystanął i obejrzał się za siebie.

w swojej opiece; moja modlitwa nie opuści go nigdy! Ale wiedzcie, że jednego nie zdołacie przeprowadzić! Syn zacnego polskiego rodu, na tej ziemi urodzony, żyjący tem powietrzem, pijący polską wodę do czasu, może tylko o swej polskości zapominać, ale przyjdzie chwila, że ta narodowość upomni się o swoje prawa, a wtedy wam jedynie, coście ją tłumili i wydzierali złorzeczyć będzie! Polskość bowiem!... Słyszeliście o róży jerychońskiej?... Przywiózł mi wujo z Ziemi Świętej roślinę.... zda się suchy oset... ale rzućcie ją do wody, a rozwinie się pełnią kwiatu! Tak będzie nie tylko z synem moim, ale z tymi wszystkimi Polakami, którzy za dziadów czy pradziadów naszą narodowość wyznawali, że opamiętają się, otrząsną z siebie cudzoziemskie próchno i wrócą na łono ojczyzny!

— To wymowna białogłowa! wybuchnął Rudolf i zaśmiał się szyderczo. Śmiech przykro rozległ się w pustym, żałobnym pokoju.

Zofja usunęła się w ramiona Jazłowieckiego bezprzytomna.

XX.

Tułacze.

Noc była wyiskrzona miljardem gwiazd na niebie, całunem śnieżnym na ziemi.

Toruń spał.

Od czasu wtargnięcia Szwedów spokojniej było w mieście nocą, aniżeli za dnia;

rabowali oni bez skrupułu, zupełnie otwarcie, pozorując gwałty literą prawa, wymiarem sprawiedliwości, lub dobrem przyszłej im części mieszkańców. Czynili to za dnia, nie zakłócając sobie spokojności snu; więc ciche były noce w zdobytym Toruniu...

Przed gospodą pod Modrym Fartuszkiem stało czworo sań, zaprzężonych w silne i rosłe konie. Pierwsze kryte były budą z surowej skóry, od końca do końca płoz, osłaniając w ten sposób i woźnicę na przodzie i służebnych chłopaków na tyle, plecami zwróconych do koni. Troje pozostałych sań naładowane było różnej objętości i rozmiarów łubami i pakunkami. Około zaprzęgów kręcili się ludzie, szepcząc między sobą, jak zwykli czynić ci, co należą do tajemnicy i strzegą jej nawet, gdy niema jeszcze śladów niebezpieczeństwa Coraz ktoś wpadał do gospody, wynosił z niej jakiś przedmiot i pakował gdzie się dało.

Woźnice zajęli już miejsce, służba uniosła na saniach skórzane zasłony, wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom wyczekując. Otworzyły się niebawem jak szeroko. Wyszedł najprzód pachołek z kagańcem, za nim stary Wendorf, potem Jazłowicki z Zofją, dalej niańka z niemowlęciem na ręku i druga wiodąca dwoje starszych dzieci Szalitów, wreszcie oni sami; wszyscy okutani w opończe i chusty. Drzwi jednak nie zamknięto jeszcze, przeciwnie przytrzymywał je pachołek, rozja-

świecając ponury obraz światłem wnętrza gospody. Na tle tem w barokowem obramowaniu drzwi stanęła stuletnia staruszka na kiju wsparta i drżąca — Szalitowa babka, co wcześnie zmarłą matkę zastępowała wnukowi.

Podniosła krzyż w górę i rzekła głosem silnym jeszcze choć bezdźwięcznym: „Niech was Bóg prowadzi!"

Bez słowa porozumienia odwrócili się Szalitowie i padli na kolana przed nią. Wyciągnęła nad nimi ręce, które drżały w tej chwili.

— Z Bogiem idźcie! W każdem miejscu i przygodzie pozostańcie wierni Bogu, Ojczyźnie i cnocie!.

— O matko, że też ty z nami nie idziesz! zawołał Szalita. Zostajesz w tych ścianach, w których od jutra wróg się będzie rozpościerał!

— Ja tej chaty nie rzucę! W czternastym roku poślubiona, tu przez śp. małżonka mego sprowadzona zostałam, tu dziatki moje rodziły się, chowały, lub umierały, a zawsze na chwałę Bożą... I ja tu umrę!

— Oby wam krzywda się nie stała!

— Mnie?... Jedyne złó, jakie mogłoby jeszcze spotkać, to gdyby mnie z pod mego dachu wypędzono... Ulmachom przysądzono gospodę... Zaciekłe Niemce i cheiwcy, ale przecież Boga się boją; uszanują staruchę i prawą dziedzicę. Jedźcie; modlitwa moja pójdzie za wami w dalekie światy, na waszą drogę tułaczą!... Jedźcie!...

pora już!... Póki nie zbudzą się ludzie... Niech żadne złe serce nie zabije radośnie, że was wypędzonych oglądało!

Przypadli oboje czołem do progu domu, potem nogi jej ucałowali i podnieśli się zalani łzami.

W tej chwili zajęła ich miejsce Zofja.

Matko, w tem mieście w rękach obcych i wrogich pozostaje dziecko moje. Módlcie się za niem; Pan miłosierny modlitw ludzi, co tyle lat w służbie jego trwają rad słucha. Módlcie się; niech zostanie, albo choć kiedyś po leciech, uczuje się Polakiem!

— Przodkowie nasi tyle krwie w obronie religji św. katolickiej i swobody innych narodów wylali, że niepodobna, aby dał utonąć w morzu niemieckości latorośli zacnego rodu, co zawdy Bogu i Ojczyźnie służył. Wróci twój synaczek, tobie i ojczyźnie!

— Bóg zapłać!

Uściśnęła jej kolana i wstała pokrzepiona na duchu.

I sadowiono się w pierwszych saniach: Szalitowie, Obertyńska, Jaziowicki, Wendorf i piastunka z dziećmi. Krzych i Pietrek Wendorfowie zajęli miejsce przy woźnicy. Służba pakowała się na pozostałe sanie, tokując się tak, aby kożuchy i buty ciepła swego im użyczały. Nie ruszano jednak, raz po raz tylko zwracając się w stronę rogatki Chełmińskiej i wzrok wytężając w ciemności. Wreszcie od strony tej dał się słyszeć tętent konia. Benek

przypadł do sań na spienionym kasztanie i osadził go w miejscu.

— Można jechać... straże pewne... dobrze opłacone.

— A Jędrek i Tomek?

— Wyjechali przodem; czekać będą u swojego lasu.

— Jedźmy w imię Boże!

Same ruszyły; Szalitowie wychylili się jeszcze, unosząc zasłon. Krystka w głos zapłakała. W oknach pierwszego piętra tego dogodnego, miłego ich mieszkanka światło od wewnątrz pozwalało odróżniać doniczki kwitnącego łaku i bożego drzewka nadające piętno życia pustce, którą pozostawiali za sobą. We drzwiach gospody stała, chyląc się coraz bardziej ku ziemi stara Szalitowa.

— Matko!... wyrwał się z piersi Franciszka Szality krzyk łzami nabrzmiały. Babuniu nasza!

Nie odpowiedziała mu, bo już nie mogła dłużej panować nad sobą; łkała na cały głos. Czuła, że nie zobaczy już ich więcej; czuła, że nie będzie komu zamknąć jej powieki na sen ostatni!

Słońce wypłynęło ogromne i czerwone na sinawy fiolet nieba; brak wiatru czynił dzionek ciepłym i miłym, podmieniono przeto zasłony z obu stron sań, a choć nikt nie miał chęci do rozmowy, od czasu do czasu rzucano jakieś słowo, w odpowiedzi małemu Józkowi, który, zachwycony szybkością i nadzwyczajną odmianą w ży-

ciu, ciągle czynił uwagi i stawiał pytania.

— Rycerze! matuniu! rycerze! zawołał nagle, klaszcząc w ręce i rzuciwszy się tak nagle ku brzegowi sań, że ledwo Szalita zdołał wstrzymać go od wypadnięcia.

— Co robisz, bisurmanie, siedź spokojnie! Skąd przytroili ci się rycerze!

— O tam, tam! na konikach!

Ręką wskazywał w stronę śniegiem pokrytej polanki, cofniętej od drogi.

— Czerwony kobierzec kładą! Oj, zewnikiem któryś dostanie baty!

Droga załamywała się w tem miejscu. las, spalony minionego lata na znacznej przestrzeni, pozwalał objąć okiem drużynę złożoną z kilkunastu jeźdźców, w strojach skromnych, ciemnych, lecz błyskających stalą pancerzy, ile razy zwracali się przodem ku nadjeżdżającym.

Snać przygotowywali się do spoczynku, czy uroczystości, bo pachołkowie rozciągali kobierce i rozbijali pospiesznie namiot.

Droga łamała się znowu; podróżni strucili nagle z przed oczu rycerzy... Sen-li to był, czy nadziemska zjawa? Z bijącemi sercami, nie odwracając głów, wyczekiwano chwili zrównania się z polaną.

Odrazu, za zamarzłym strumieniem otworzył się na nią widok przed ich oczyma. Namiot już był rozbity, ołtarz w nim wzniesiony, przed namiotem kobierzec smyrneński, jaskrawy, z każdego boku po czterech jeźdźców w pełnem uzbrojeniu, za

nimi żołnierze w szarych kubrakach stali w pogotowiu.

— Nasi chłopcy! krzyknęła Szalitowa.

Rzeczywiście Jędrzej, Benek i Tomek siedzieli na koniach wysunięci naprzód, obok kapłana w pontyfikalnych szatach.

Woźnice zatrzymali konie bez niczyjego rozkazu; nie porozumiewając się też z sobą wysiedli z sań: Jazłowicki, Wendorf, Obertyńska i Szalitowie. Młodzi Wendorfowie i służba również, kto mógł, opuszczał sanie, ciekawy widowiska. Gdy podróżni z pierwszych sań wstąpili już na dywan, trzej Wendorfowie zeskoczyli z koni i równym żołnierskim krokiem posunęli się ku nim. Na chwilę przypadł każdy na jedno kolano, potem podnieśli się jak na komendę, uszeregowali i Jędrek, wsunąwszy rękę za pas i odchrząknąwszy rzekł głosem donośnym:

— Miłościwy ojcze nasz dobrodzieju, siostro ukochana i ty czcigodna nieodżałowanego pana mego małżonko i ty, wielkiego rodu opiekunie jej przezacny, panie, a panie nasz i dobrodzieju! Bóg zrządził, żem ostatniemi czasy zgoła niezasłużonej dostępował poufałości ze strony szlachetnie urodzonego i wielkiego imienia rycerza, pana Obertyńskiego, Jastrzębca z herbowego klejnotu, który mnie, prostaka w różnej materji informował i w najskrytsze myśli swe wtajemniczał. Wiedziałem przeto, to, czego nawet czcigodna małżonka jego nie wiedziała, że śp. pan Obertyński gotów był zara po odwiezieniu małżonki swej

z dzieckiem do kaszubskiego kraju, samemu w pole ruszyć, aby w myśl konfederacji tyszowieckiej oddział swój jednemu z prawych obrońców ojczyzny przyprowadzić i za przykładem panów Czarnieckich, Sapiehów, Gosiewskich, stanąć Szwedowi do oczu, za gardło schwycić i do zguby doprowadzić! Nie sądzonem było śp. panu memu ono postanowienie w czyn wprowadzić, gdyż jako nam wiadomo, legł ze zbrodniczej ręki w przededniu wykonania. Ja sam, oby mnie za to pierwsza kula nie minęła, do onej przedwczesnej śmierci, choć z wielką ducha mojego udręką, się przyczyniłem. Niemniej czuję się obowiązany do wykonania ślubu śp. pana Obertyńskiego. Obiecywał wziąć na oną wyprawę mnie, moich braci i co chętliwszego serca chłopaków, tak z mieszczan, jak i z nagromadzonej w grodzie szlachty postronnej. Przysposabialiśmy się oddawna; nie braknie Bogu chwała, kraj miłujących; przybyło ich z pośród tych, co wprzódzi obojętne, albo zgoła niechętne serca mieli, a ninie, szwedzkich praktyk zaznawszy, do prawej matki ojczyzny się nawrócili. Dążymy do Wielkopolski, która pono jak długa i szeroka, choć małemi [illegible] ku panom Lubomirskim i Czarnieckim, za prawym królem się opowiadając. Ale wróg niegodny silnie stawia czoło, nierad nasz piękny kraj opuścić; boje nastaną srogie, zgoła wątpliwe przeto jest, abyśmy wszyscy z onej wojny wrócili. Chcemy przeto ciebie, ojcze ukocha-

ny, o błogosławieństwo i odpuszczenie grzechów prosić i ciebie siostro miła i dziewierzu*) kochany, abyście nam przebaczyli, jeśliśmy zawinili w słowie, mowie, uczynku, czy pomyśleniu. I zacnego pana Jazłowickiego z Pelplina, jedynego przyjacielskiego tu stryjca herbowego miłościwego pana mego o przebaczenie i błogosławieństwo prosić. Nakoniec ja oto padam jeszcze na kolana przed tobą, zacna pani panu moim wdowo, abyś złożeniem na czole mojem znaku krzyża świętego serce me utwierdziła w słodkiem pocieszeniu, bez którego nawet za ojczyznę nie umierał bym spokojny, żeś mi ciężką krzywdę uczynaną z mej przyczyny wybaczyła!

Wszscy trzej padli na kolana.

Postąpił ku nim imci pan Jazłowicki.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki, wieków, amen!

— Witam was, zacny poczcie obrońców ojczyzny! Z radością serca mego widzę, jako i w tej, oddalonej od macierzy, pruskiej ziemicy nie brak gorliwic ją miłujących i to nawet wśród mieszczańskiego stanu! Wszelako bowiem, rzecz to zgoła możliwa, że Bogu, który zstępując na ziemię, w podłej stajence żywot rozpoczął i hołd pierwszy nie od wielmoży i wysoce urodzonych, ale od pastuszków otrzymać raczył, taki z podlejszego rodu, ale gorącego serca sformowany poczet jest najmi-

*) szwagrze.

lejszy, jednakowoż i to prawdą jest, że Bóg jako w niebie tak i na ziemi hierarchias postanowił, to jest porządki królów panów, szlachty, mieszczan i chłopów, którzy to, ci, lepiej urodzeni, mogliby zawsze na was krzywo patrzeć. Przeto ja, primo, nie mając męskiego potomka, secundo, bacząc, że ostatnia rodu mojego latorośl za kratą klasztorną, Bogu na chwałę cichego, a bezowocnego dopełnia żywota, postanawiam was, Jędrzeju, Benedykcie i Tomaszu, synów uczciwego mieszczanina, Wendorfa, szlachetnymi uczynić i do klejnotu mego przyjąć. Rozumiem, że prawo uczynić, to mi każe przez sejm i króla, wszelako niezawsze trzeba brać prawo ad literam, bo wiadomo, litera occidit Spirytus verifikat. Stąd wszystkie herezje poszły, że Pismo Boże brano ad literam nie przyjmując sensum interpretationem Kościoła Bożego i Ojców Świętych. Przeto ja, Jan Łodzia Jazłowicki, do sposobniejszego czasu formalności ostawiając, jak chrzest z wody, tak pasowania was na szlachetnych rycerzy z serca przed Bogiem dokonywam. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Szanujcie klejnot, którym was obdarzam, idźcie śladem wszystkich tych, co się Łodzią pieczętując, zawdy na najburzliwszych falach umieli być ojczyźnie arką Noego!

Dotykał każdego szablą i z kolan podnosił, całując w policzki. Przypadli mu do nóg.

— Niech żyje, dobrodziej nasz, pan Jazłowicki na Pelplinie! Ojciec nasz i dobrodziej!

— W dobry czas ruszacie na wojnę, ciągnął dalej Jazłowicki, i ja oto słuszów powstrzymać nie mogę, że mi niedołęstwo moje, z wieloletnich trudów wojennych wynikłe, ruszyć z wami nie pozwala, bo i mnie słuchy dochodzą, że Rzeczpospolita nasza zrywa się zwycięska. I wiedzcie, że wojna i on nacisk od Szweda tak długo trwać będzie, póki Polacy przez impressją złych ludzi, odstąpiwszy króla Kazimierza, Szwedów za przyjaciół trzymać będą, ale skoro za Tyszowiecką Konfederacją cały kraj ich jako nieprzyjaciół ojczyzny zadeklaruje i wszyscy się do ich wygnania virilіter chwycą, wróg ujdzie ze wstydem, a prawy nasz król znowu nad złączonym zapanuje krajem, w myśl słów zacnego kanonika Starowolskiego: Fortuna variabilis Deus mirabilis!.

— Niech żyje wolna i potężna Rzeczpospolita nasza! huknęli wszyscy.

A że wzruszony stary Wendorf, nie mogąc opanować radości, buchnął płaczem i począł synów brać kolejno w ramiona, Zofja, poważna, lecz słodko uśmiechnięta, zbliżyła się do Jędrzeja, niosąc w ręku ryngraf, wydobyty ze szkatuły, którą z chwilą gdy Jazłowicki przystąpił do obrzędu pasowania, kazała sobie podać z sań jednej ze służebnych.

— Mylicie się, panie Jędrzeju, mniemając jako żal jakowy w sercu do was

żywię. Wiem, że w ciężkich ostatnich czasach śp. małżonek mój lepszego nad was nie miał przyjaciela i żeście, niepomni na niebezpieczeństwo, śmierć jego pomścili. Przeto wam, jako niedoszłemu towarzyszowi broni małżonka mego miłego ten ofo ryngraf poświęcany przed ołtarzem cudownej Matki Boskiej Poczajowskiej ofiaruję. Niech was strzeże od wszelakiej złej przygody, a miejcie go w poszanowaniu, bo jeśli Bóg pozwoli syna mego mi odzyskać, jego będzie własnością, jego po ojcu pamiątką.

Jędrzej na kolanach ryngraf przyjął i rękę Zofji ucałował.

— Da Bóg, sam mu jeszcze on puklerz na piersi założę i sam, stary, wysłużony sodalis Marianus w bój przeciwko wszelkiemu wrogowi ojczyzny powiodę!

Z namiotu rozległ się dzwonek. Kapłan do odprawiania Mszy św. na intencję odjeżdżających rycerzy przystąpił.

Koniec.

Dalsze losy bohaterów „Gospody pod Modrym Fartuszkiem“ opowiedziane będą w powieści „Ku polskiemu morzu“.

Księgarnie GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Poznaniu i Wilnie polecają następujące wydawnictwa własne „Biblioteczki Uniwersytetów Ludowych."

Asnyk A. Wybór poezji	N 96	90 —	Mk.
—— Poezje patrjotyczne i społeczne	N 189	90 —	„
Brodziński K. Wiesław	N. 145	40.—	„
Byron. Korsarz	N. 203	90.—	„
Chrzanowski I. Liryka patrjotyczna Asnyka	N. 188	45.—	„
—— Za co powinniśmy kochać Pana Tadeusza	N. 101	60.—	„
Descartes. (Kartezjusz). Rozprawa o metodzie dobrego powodowania swoim rozumem	N. 220	250.—	„
Dubiecki M. Bohaterski naczelnik powstania styczniowego. (Romuald Traugutt)	N. 208	75.—	„
Dynowska M. Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego. (Bielski, Górnicki, Stryjkowski, Paprocki)	N. 170	175.—	„
Fredro hr. A. Pan Geldhab	N. 149	100.—	„
—— Zemsta za mur graniczny	N. 150	120.—	„
Galle H. Czytanki polskie cz. I.	N. 16	320.—	„
—— Czytanki polskie cz. II.	N. 17	360.—	„
Gomulicki W. Wybór poezji	N. 195	60 —	„
Hoffmanowa Kl. Obiad czwartkowy	N. 191	36.—	„
Konarski K. O obowiązkach Polaka	N. 212	45.—	„
Kochanowski J. Treny	N. 192	60.—	„
Konopnicka M. Miłosierdzie gminy	N. 73	36.—	„
—— Nasza szkapa	N. 3	90.—	„
—— Niemczaki	N. 4	30.—	„
Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Szkolne czasy	N. 146	50.—	„
—— Wybór poezji	N. 73	90.—	„
—— Ułas	N. 91	75 —	„
—— Wielki czwartek	N. 95	60.—	„
Korzeniowski J. Kollokacja	N 214	180.—	„
—— Wąsy i peruka	N 197	90.—	„
Krasicki I. Bajki i przypowieści	N. 102	60.—	„
—— Powieść o narożnej kamienicy	N. 198	45.—	„
—— Satyry i listy	N. 154	160.—	„
Kraszewski I. J. Profesor Milczek. Rejent Wątróbka	N. 26	50.—	„
—— Upiór	N. 24	90.—	„
—— W oknie. Nauczyciele sieroty	N. 27	90 —	„
—— Z dziennika starego dziada	N. 25	100.—	„
Lenartowicz T. Wybór poezji	N. 74	100.—	„
Mickiewicz A. Ballady i romanse	N. 127	90.—	„
—— Grażyna	N. 167	60.—	„
—— Konrad Wallenrod	N. 168	120 —	„
—— Bajki i powiastki	N. 128	60.—	„
—— Sonety krymskie. Farys	N. 143	30.—	„
Mościcki H. Twórca pieśni „Jeszcze Polska . . ." J. Wybicki	N. 213	45 —	„
—— Wernyhora. „Ksiądz Marek"	N. 176	45.—	„
Niemcewicz J. U. Śpiewy historyczne	N. 142	140.—	„
Oppman A. (Or-Ot) Pieśni o belwederskiem powstaniu	N. 210	60.—	„
—— Pieśni o legionach	N. 211	75.—	„
—— Pieśni o księciu Józefie	N. 193	45.—	„
Orzeszkowa E. A. B. C. . . .	N. 12	75.—	„
—— Babunia	N. 9	50.—	„
—— Dobra pani	N. 137	100.—	„

Orzeszkowa E. Ogniwa	N. 10	75.—	zł.
—— Panna Antonina	N. 11	90.—	„
—— Siteczko. Czy pamiętasz?	N. 8	60.—	„
Pol Wincenty. Pieśń o ziemi naszej	N. 98	90.—	„
—— Wit Stwosz	N. 207	75.—	„
Prus B. Antek	N 6	75.—	„
—— Kamizelka. Michałko	N. 35	90.—	„
Reymont Wł. St. W porębie. Przy roboc.	N. 19	55.—	„
—— Z ziemi chełmskiej	N. 180	160.—	„
Rzewuski H. Kazanie konfederackie			
Ksiądz Marek	N. 28	40.—	„
—— Tadeusz Reytan	N. 29	40.—	„
—— Sawa. Jan Borowski	N. 30	75.—	„
Siemieński L. Portret króla Jana. Posłowie siewierscy	N. 56	55.—	„
—— Wieczór u gen. Kopcia. Wiązanka konwalji	N. 57	45.—	„
Sienkiewicz H. Bartek Zwycięzca.	N. 15	120 —	„
—— Janko muzykant. Latarnik	N. 13	65.—	„
—— Na oceanie Atlantyckim	N. 33	65.—	„
—— Niewola tatarska	N 50	95.—	„
—— Stary sługa	N. 215	45.—	„
—— Za chlebem	N. 53	180 —	„
—— Z puszczy Białowieskiej	N. 49	60.—	„
Skarbek hr. F. Łukasz Stempel	N. 42	55.—	„
Słoński E. Wybór poezji. „Ta, co nie zginała . . “	N. 196	45.—	„
Słowacki J. Anhelli.	N. 164	60.—	„
—— Jan Bielecki. Mich. Arab. Hugo	N. 131	75.—	„
—— Liryki	N. 147	90.—	„
—— Ojciec zadżumionych. W Szwajcarji	N. 130	60.—	„
—— Rozmowa z matką Makryną Mieczysławską	N. 206	60.—	„
—— Kordjan	N. 217	120 —	„
Smoleński Wł. Przyczyny upadku państwa polskiego	N. 60	36.—	„
—— Znaczenie Konstytucji 3 maja	N. 205	30.—	„
—— Znaczenie T. Kościuszki w dziejach Polski	N. 203	25.—	„
Swiętochowski A. Hymn niemych. Woły.	N. 169	36.—	„
Szajnocha K. O „Jaźni“ Bolesława Chrobrego Kopja hussarska	N. 204	36.—	„
—— Matka Jagiellonów. Skic hist.	N. 199	45.—	„
Szekspir W. Juljusz Cesar. Przekład Paszkowskiego	N. 190	140.—	„
—— Kupiec Wenecki	N. 216	120.—	„
—— Makbet Przekład Paszkowskiego	N. 172		
— Sen nocy letniej. Przekład Koźmiana	N. 168	100.—	„
Szujski J. Tadeusz Rejtan na sejmie 73 r.	N. 185	45.—	„
Szymański A. Stolarz. Kowalski. Opowieści syberyjskie	N. 163	60.—	„
Tetmajer K. Wybór poezji.	N. 103	75.—	„
Ustawa rządowa z dnia 3. maja 1791 r.	N. 178	45.—	„
Wilkoński A. Gorzkie wspomnienia słodkiej nadziei	N. 46	90.—	„
Włodek L. Bolesław Prus	N. 221	80.—	„
Wyspiański St. Kazimierz Wielki	N. 219	90.—	„
Zmorski R. Wybór poezji	N. 209	60.—	„
Zeromski St. Rozdziobią nas kruki, wrony . . . Do swego Boga	N. 218	60.—	„
—— Zmierzch. Cokolwiek się zdarzy	N. 41	30.—	„

(Do cen powyższych dol. się 20% dodatku drożyźnianego.)

„Księgarnia Polska“

Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej

W WARSZAWIE, ul. Warecka 15

poleca następujące tanie

powieści i opowiadania:

Antoszka. Dola Marynki podrzutka. Wyd. 2-gie.

Bogusławska M. Duch zamku Olsztyńskiego. Powieść dla młodzieży.

—— Dziecko legionu. Powieść hist. z końca XVIII w.

—— Ofiara Wiktosi. Powieść. Wyd. 3-ie.

—— Tomasz Ptak z Wielebna. Powieść hist. Wyd. 2-gie.

Junosza Kl. Dziadowski wychowanek. Wyd. 4 e.

—— Na chlebie u dzieci. Powieść. Wyd. 4 e.

Kowerska L. Pani Anielska. Legenda.

—— Wydalona. Obrazek z życia Polaków pod panowaniem pruskiem.

—— Za głosem serca. Opow. z życia w W. Ks. Poz.

—— Za wiarę. Z życia unitów. Wyd. 3-ie.

Kraszewski J. I. Cygańskie dziecko. Z powieści „Chata za wsią“.

—— Jaktowie. Z powieści historecznej „Bracia Zmartwychwstańcy“. Wyd 3-cie.

—— Kordecki. Powieść historyczna. Wyd. nowe.

Kresowiec Z. Zatrute ziarno.

Morzycka T. Kuźma Jeż. Opowiadanie z dawnych czasów. Historja o pra-pradziadku.

Nikowski J. Niemrawa. Opowiadanie.

Orzeszkowa E. Czarownica. Opowiadanie. Wyd. 4-te.

—— Romanowa. Wyd. 4-te.

—— W zimowy wieczór. Wyd. 5-te.

Prus B. Michałko. Wyd. 5-te.

Hubiatycka J. Bez plewy. Opowiadanie.

Rawita Gawroński Fr. Z dziejów rodziny Żywotowskich. I. Marzenia. (Rok 1892).

—— Z dziejów rodziny Żywotowskich. II. Czyn. (Rok 1863).

Rutkowska Br. Zerwany kwiat polny. Powieść współczesna. Wyd. 2-gie.

—— Wiek z Warszawy. Trzydzieści morgów. Opowiadanie.

Włodkowna Br. Opowiadanie.

Zorjan E. Bohaterskie boje. Opow. hist. z czasów Króla Jana III. Wyd. 3-cie.

—— Dopust Boży. Powieść hist. z XVII. wieku. Wyd. 3-cie.

—— Hołd pruski. Powieść hist. z XVI. wieku. Wyd. 2-gie.

—— Opowiadania historyczne. Wyd. 2-gie.

—— Pod godłem krzyża. Powieść z XII. wieku. Wyd. 3-cie.

—— W walce z pohańcami. Powieść hist. Wyd. 4-te.

Zycka L. Cichy bohater. Historja zwyczajnego człowieka z lat niewoli.